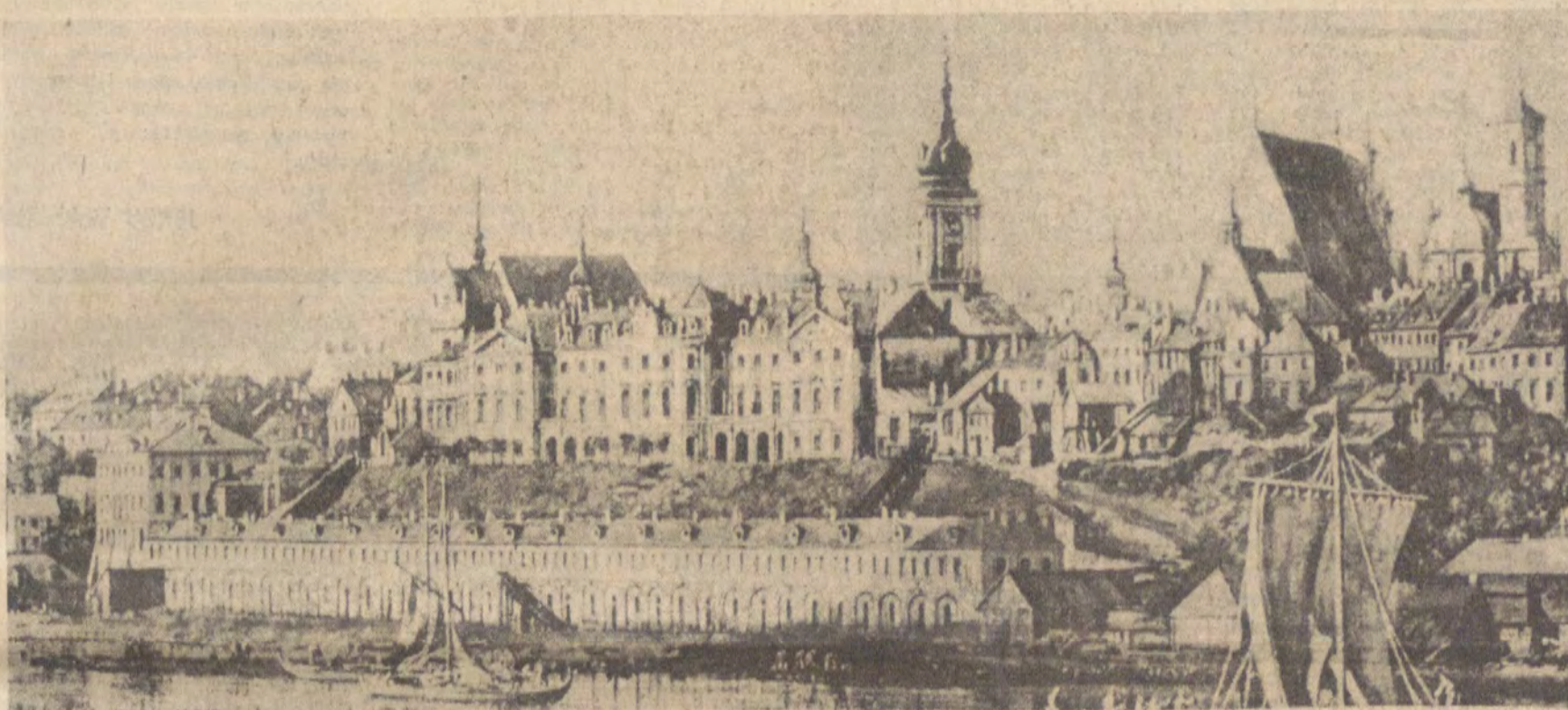




ODGŁOSY

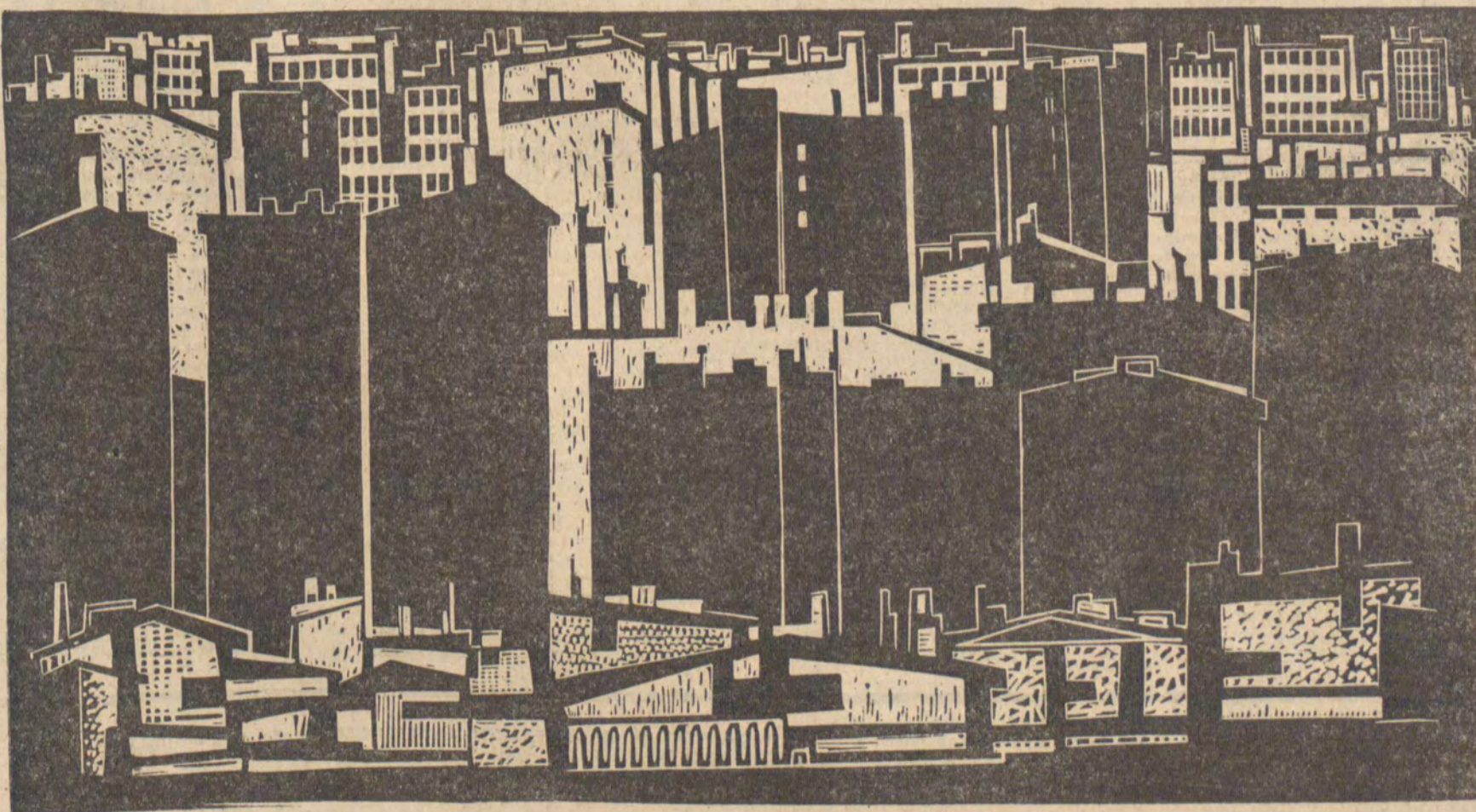
**PRACA I TYLKO PRACA BYŁA JEST I BĘDZIE
PODSTAWĄ WSZYSTKICH NASZYCH OSIĄGNIĘĆ**



Fragment „Widoku ogólnego Warszawy od strony Pragi” malowanego w 1770 r. przez Canaletta (Benrarda Belotto), ukazujący bogatą rokokową elewację wschodnią Zamku po przebudowie z lat 1741–1746.

O ZAMKU WARSZAWSKIM

Czytaj na stronie 8 i 9



WJAZD ŁÓDZKI — linoryt — Antoni Wirhanowicz

30 LAT POLSKI LUDOWEJ

30 lat temu, w dniu proklamowania Manifestu o utworzeniu władzy ludowej w Polsce, dokonał się historyczny zwrot, otwarty został nowy, socjalistyczny rozdział w życiu narodu, jedynie słuszna alternatywa przyszłości. Po raz pierwszy w naszych dziejach interes klasowy mas ludowych stał się racją nadrzędną polityki państwa, zgodnie z idealami o które walczyły całe pokolenia polskich rewolucjonistów. Naród polski wkroczył na drogę rewolucyjnych przeobrażeń swego bytu politycznego społecznego i gospodarczego.

Kierowniczą rolę w tym procesie przemian odegrała Polska Partia Robotnicza, ideowa poprzedniczka naszej partii, kontynuatorka chlubnych tradycji rewolucyjnego nurtu polskiego ruchu robotniczego. To właśnie PPR w okupowanym kraju stała się jedynym ośrodkiem politycznym, który walczył o narodowo-wyzwolenie, konsekwentnie wiązał z walką o wyzwolenie społeczne mas ludowych. PPR swą działalnością programową, organizatorską, ideowo-wychowawczą i wysiłkiem zbrojnym, stworzyła niezbędne przesłanki dla lipcowego przełomu, a następnie przeprowadziła narodził w trudnym okresie odbudowy kraju i umacnianiu ludowej państwowości.

Dzięki mądrości politycznej PPR, bohaterstwu żołnierza polskiego, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, Polska wyłoniła się z wojny jako państwo ludowe, jednolite etnicznie, w historycznych granicach. Wejście do wspólnoty państw socjalistycznych wyrwało nasz kraj z izolacji, a granice z sąsiadami stały się po raz pierwszy granicami przyjaźni i pokojowej współpracy.

Podjęcie na tak ogromną skalę dzieła odbudowy, wytyczenie nowych perspektyw, było nie do pomyślenia, bez rewolucyjnych przemian społeczno-politycznych i gospodarczych. Reforma rolna, nacjonalizacja podstawowych dziedzin gospodarki narodowej zlikwidowały ekonomiczne podstawy siły politycznej klas posiadających, zdecydowały o przestawieniu gospodarki na tory socjalistycznego rozwoju. Nowy, socjalistyczny porządek społeczny powstawał jednak w dalszej walce. Jeszcze przez trzy lata po zakończeniu wojny istniał front wewnętrzny, trwały ostre starcia klasowe. Skrytobójczy mord, sabotaż gospodarczy, dywersja polityczna — to była broń reakcji. W tej walce oddało życie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, nim ostatecznie przekreślono nadzieje prawicy na zdobycie władzy politycznej.

Z tej walki wyszła zwycięsko władza ludowa, bo socjalizm uruchomił potężne dzwignie aktywności mas: rozwinęły się społeczne i ideowe motywacje działania klasy robotniczej, która stała się siłą napędową procesu rozwojowego kraju. Dzięki temu już w roku 1948 produkcja przemysłowa i dochód narodowy przekroczyły poziom przedwojenny. Polska weszła na drogę socjalistycznego uprzemysłowienia i przebudowy swej struktury wewnętrznej.

Dalszy ciąg na str. 2

Dalszy ciąg ze strony 1.

Z perspektywy trzydziestolecia widać wyraźnie ogrom dokonanych, jakie stały się udziały naszego narodu w wyniku konsekwentnie realizowanej polityki uprzemysłowienia. Najlepszą miarą jest dziesięć lat temu poziom rozwoju polskiej gospodarki, szóste miejsce w Europie i dziesiąte na świecie pod względem rozmiarów produkcji przemysłowej. W okresie powojennym rozbudowaliśmy i unowocześniliśmy tradycyjne gałęzie przemysłu, tworzyliśmy nowe dziedziny wytwarzania. Zbudowaliśmy mocne hutnictwo żelaza i metali kolorowych. Niemal od podstaw powstał przemysł elektromaszynowy i elektroniczny, obrabiarkowy, motoryzacyjny, taboru kolejowego, stoczniowy, powstało szereg nowych gałęzi przemysłu chemicznego. Rozbudowaliśmy energetykę, krajową bazę paliwowo-energetyczną i surowcową.

W okresie od 1950 r. produkcja polskiego przemysłu powiększyła się dziesięciokrotnie, a w porównaniu z rokiem 1938 — dwudziestokrotnie. Polska z zacofanego kraju rolniczo-przemysłowego przekształciła się w nowoczesny kraj przemysłowo-rolniczy. Osiągnięty poziom rozwoju i struktura naszej gospodarki potwierdzają, że etap podstawowego uprzemysłowienia kraju dobiega końca.

Istotne przeobrażenia społeczno-gospodarcze dokonały się w trzydziestolecie na wsi. Wiele polska w okresie międzywojennym była przeludniona, przeżywała chroniczny kryzys agrarny. Dopiero reforma rolna, osadnictwo na ziemiach zachodnich i północnych, a następnie dynamiczny proces industrializacji kraju — otworzyły drogę do stałego wzrostu produkcji rolnej. W roku 1973 jej poziom dwukrotnie przekroczył przedwojenny. W tym okresie rozbudowana została i unowocześniona baza materialno-techniczna rolnictwa, wzmożone jego produkcyjne związki z przemysłem

Na gruncie nieustannego postępu ekonomicznego przeobrażenia uległy warunki życia ludzi pracy, całego narodu. Pod wpływem uprzemysłowienia nastąpił głęboki proces urbanizacji kraju, rozwinęły się

30 LAT POLSKI LUDOWEJ

baż powstały zupełnie nowe od podstaw silne ośrodki przemysłowo-miejskie. Nastąpiła charakterystyczna zmiana struktury ludnościowej kraju. Ok. pięć milionów ludzi przeniosło się w trzydziestolecie ze wsi do miast. Obecnie ok. dwóch trzecich ogółu ludności mieszka lub posiada trwałe (poprzez pracę) związki z miastem.

Urbanizacja kraju, rozwój budownictwa przyniosły widoczne (choć w związku z ogromnymi potrzebami, nadal niezadowolającą) polepszenie warunków mieszkaniowych. W okresie od 1950 r. zbudowano ok. 2,5 miliona mieszkań w miastach i ok. 1 milion na wsi. Procesom urbanizacyjnym towarzyszyły fundamentalne przemiany o charakterze społecznym i kulturalnym, oświatowym, cywilizacyjnym. Wysoka aktywizacja zawodowa, w tym również kobiet, osiągnięta w następstwie konsekwentnej realizacji konstytucyjnego prawa do pracy — przyniosła powszechny awans społeczny i materialny.

Poprawa sytuacji materialnej społeczeństwa szła w parze z systematyczną rozbudową szerokiego kompleksu gwarancji i zabezpieczeń społecznych. Prawie cała ludność Polski korzysta z bezpłatnej opieki lekarskiej. Powszechny dostęp do bezpłatnej nauki i oświaty tworzy coraz lepsze warunki wychowania i kształcenia osobowości człowieka, zapewnia wzrost kwalifikacji pracowniczych. Już w roku 1972 ponad 740 tys. osób posiadało dyplomy wyższych uczelni (ponad 10-krotnie więcej niż w r. 1938), blisko czterdzieści milionów ukończyło szkoły średnie, prawie osiem milionów uczy się w szkołach różnych stopni. Pod względem wykształcenia wyprzedzamy dziś wiele krajów o wyższym od nas poziomie rozwoju ekonomicznego.

Wybitne osiągnięcia na polu oświaty i szkolnictwa w połączeniu z re-

zultatami prawdziwej rewolucji kulturalnej, rozwojem literatury i sztuki, rosnącymi nakładami książek, ekspansją prasy, radia, telewizji, kina, teatru, teatrów, działalności ruchu amatorskiego — przyniosły wzrost poziomu kulturalnego społeczeństwa.

W bogatym dorobku trzydziestolecia szczególnie uwidoczniają się rezultaty ostatnich trzech lat. Drogę do nich otworzyły doniosłe decyzje VII i VIII Plenum KC oraz VI Zjazdu partii. Wytyczona tymi decyzjami polityka społeczno-ekonomiczna wysunęła na czoło zapewnienie szybszej i systematyczniejszej poprawy materialnych, społecznych i kulturalnych warunków życia społeczeństwa w oparciu o dynamiczny i nowoczesny rozwój całej gospodarki. Ścisłe zespolenie celów społecznych i zadań gospodarczych skupiło wokół ich realizacji cały naród, wyzwało poważne rezerwy, pobudziło aktywność produkcyjną i społeczną.

Polityka ta przynosi dobre, wyższe od pierwotnie zakładanych, rezultaty. W latach 1971—1973 dochód narodowy wzrósł o 32 proc., to jest średnio 9,4 proc. rocznie, wobec 6 proc. założonych w planie 5-letnim. W ciągu trzech lat płace realne wzrosły średnio o ok. 25 proc. a dochody ludności rolniczej wzrosły w podobnym tempie. Są to rezultaty bez precedensu w świecie tym bardziej, że już czwarty rok obowiązuje stabilizacja cen na podstawie artykułów żywności.

W styczniu 1974 r. XII Plenum KC PZPR, a następnie Sejm PRL uchwaliły dodatkowy program socjalno-placowy, zakładający objęcie w obecnym pięcioletnim regulacjami plac wszystkich pracowników gospodarki społecznej, podwyższenie najniższych plac, rent i emerytur, zwiększenie dodatków rodzinnych, rozszerzenie po-

mocy dla młodzieży studiującej. Pomysłinie przebiega realizacja programu zapewnienia w ciągu 10—12 lat każdej rodzinie samodzielnego mieszkania, co wymaga zbudowania 7 milionów nowych mieszkań. Jesteśmy świadkami zakrojonej na szeroką skalę, nowoczesnej reformy systemu edukacji.

Ogromny wysiłek i przeznaczanie coraz większych środków na poprawę warunków życiowych społeczeństwa nie znają przednią skalę wzrostu na rozwojowych kraju. Przeciwnie, na nieznanej przednią skalę wzrostu nakłady inwestycyjne na rozbudowę i unowocześnienie gospodarki.

Dokonując przeglądu dokonań w trzydziestolecie utwierdzamy się w przekonaniu, że odmiana losu naszego narodu sprężyną jest nierozdzielnie z socjalizmem. Rewolucyjne przemiany, czyniące z ludzi pracy autentycznych gospodarzy kraju, pobudziły ich aktywność, uskrzydliły codzienny trud, inspirowany i organizowany przez partię. Tylko poprzez integrację wysiłku mas z kierowniczą rolą PZPR mogliśmy osiągnąć tak wspaniałe rezultaty. Dziś bilansując dorobek 30-letniej młodości pełną prawem stwierdzamy, że kierowniczą rolą PZPR była i jest podstawowym czynnikiem historycznych osiągnięć naszego kraju.

Nasze sukcesy wewnętrzne łączyły się z aktywną polityką zagraniczną. Wiele naszych pokojowych inicjatyw zyskało nam szacunek i uznanie w świecie. Przynależność do wspólnoty socjalistycznej, sojuszu i przyjaźni z Krajem Rad, pozwoliły nam spełnić należną nam rolę na światowej arenie i stanowiły ważną dźwignię rozwoju społeczno-gospodarczego Polski.

Trzydzięci lat temu rozstrzygnięła się walka o polityczny i społeczny kształt powojennej Polski. Naród nasz wykorzystał historyczną szansę wyzwolenia ojczyzny z socjalizmem i postępem. Dorobek trzydziestolecia dowodzi, że szansy tej nie zaprzeczaliśmy. Lecz to nie zaspokaja naszych ambicji i nie wyczerpuje możliwości. Współczesność daje nam kolejną szansę polegającą na zespoleniu walorów ustrojowych socjalizmu z osiągnięciami rewolucji naukowo-technicznej. Od tego czy sprostaty wyzwaniu współczesności zależy miejsce Polski w rodzinie narodów, zależy nasz dobrobyt. Dziś, w roku trzydziestolecia wytwarzamy sobie cel wielki: w ciągu dwudziestu lat przekształcić Polskę w wysoko rozwinięty kraj socjalistyczny, gwarantujący swoim obywatelom wysoką jakość życia. Oznacza to w praktyce, że w okresie najbliższych 20 lat musimy dokonać relatywnie więcej niż w ciągu lat 30. Musimy wytworzyć czterokrotnie większy dochód narodowy niż obecnie, potroić majątek narodowy. Oczywiście nie chodzi tylko o postęp materialny, ale na jego bazie o harmonijny rozwój materialny i duchowy społeczeństwa i jednostki.

Jak szybko zdążymy zrealizować nasze cele strategiczne zależy będzie od naszej pracy, od jej wydajności i efektywności, od patriotycznego zaangażowania, dyscypliny społecznej, wytrwałości, odwagi i wyobraźni w kreśleniu śmiętych planów i ich konsekwentnej realizacji. Doświadczenie 30 lat Polski Ludowej pokazuje w sposób jednoznaczny, że tych cech narodowi polskiemu nie brakuje. I jest to najlepsza gwarancja powodzenia, wiary i pewności, że nową kartę w naszych dziejach zapiszemy chwalebnie po wszystkie czasy.

JERZY WAWRZAK

KRAJ NAD WISŁĄ

POLSKA — kraj nad Wisłą, położony między Bugiem i Odrą, między Morzem Bałtyckim a Karpatami. Kraj 33 milionów Polaków, mających swoje codzienne radości i troski, budujących swoją przyszłość w mozolnym trudzie. To wszystko wiemy. Patrzymy bowiem często w przeszłość, aby ocenić przebieg drogi i aby ocenić zawarte w niej przesłanki przyszłości, nakreślić kierunki dalszego rozwoju naszej ojczyzny. Patrzymy na teraźniejszość, aby ocenić, jak pracujemy, co mamy do poprawienia. Rządziej zdarza się nam spojrzeć na nasz kraj w szerszej perspektywie, zastanowić się, jakie miejsce zajmujemy na mapie świata.

Gwarancja sukcesów odnoszonych na arenie międzynarodowej jest i będzie zawsze potencjał wewnętrzny kraju, jego stały i dynamiczny rozwój we wszystkich dziedzinach. Tu, nad Wisłą, tworzyliśmy podstawę dla wszelkich naszych sukcesów poza granicami Polski.

NA TLE INNYCH

Sięgamy do podstawowych porównań. Zobaczymy, jak wyglądamy na tle innych, jakie miejsce zajmujemy w świecie.

Kraj nasz zajmuje 0,2 proc. powierzchni świata i 3 proc. powierzchni Europy. Zajmujemy pod tym względem 61 miejsce w świecie i 7 miejsce w Europie. Trzydzięci lat temu Polaków to zaledwie 0,9 proc. ludności świata oraz 7 proc. ludności Europy.

Jednak o miejscu danego kraju na mapie świata decyduje nie tylko wielkość jego powierzchni i liczba ludności, ale przede wszystkim jego potencjał gospodarczy. W pełni zdajemy sobie sprawę, że w chwili dokonywania u nas rewolucji społecznej, kraj był zniszczony, wylęczony przez wojnę, ale i jego poprzednia pozycja w świecie nie należała do najlepszych. Musieliśmy latami odraabiać zaniechania i w znacznej części to już nam się udało.

Dziś — biorąc pod uwagę wielkość dochodu narodowego, przypadającego na jednego mieszkańca — zaliczamy się do krajów o średnim poziomie rozwoju i znajdujemy się na czele trzeciej dziesiątki państw świata. Wyższy dochód narodowy przypadający na jednego mieszkańca ma 20 krajów, najwyższe rozwiniętych, w których zamieszkuje około 20 proc. ludności świata. Zdajemy sobie jednak sprawę, że należymy obecnie do krajów o wysokiej dynamice rozwoju gospodarczego, a utrzymując takie tempo, będziemy stale zmniejsza-

dystans, jaki nas jeszcze dzieli od krajów wyżej rozwiniętych.

Posługując się nadal wielkością dochodu narodowego, przypadającego na jednego mieszkańca możemy stwierdzić, że jeśli w 1947 roku wielkość ta była u nas 4-krotnie niższa niż w wyżej rozwiniętych krajach Europy, to w 1970 roku — różnica ta wynosiła już tylko 2,2 raza. Posługując się dalej tym porównaniem możemy uznać, że jeśli w 1947 roku od tych krajów Europy dzielili nas około 20 lat rozwoju, to obecnie dystans ten zmniejszyliśmy o połowę, a ostatnie lata pozwoliły na dalszy krok w doganianiu przodujących. Przy czym trzeba pamiętać, że przez cały ten czas kraj wysoko rozwinięty Europy nie stał się w miejscu i nie czekał na nas. A więc było to doganianie w marszu, doganianie w warunkach ostrej rywalizacji gospodarczej.

RWPG — 25

„Realizacja podstawowych celów i kierunków rozwoju społeczno-gospodarczego kraju — głosi uchwała VI Zjazdu PZPR — zależy w dużej mierze od handlu zagranicznego i współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej z zagranicą, szczególnie z krajami RWPG. (...)”

W celu pogłębiania specjalizacji produkcji oraz zaciśnięcia więzi kooperacyjnych między naszym przemysłem a przemysłem krajów socjalistycznych należy w pełni wykorzystać możliwości współpracy gospodarczej stworzone przez XXV Sesję RWPG, która nakreśliła kompleksowy program współpracy oraz rozwoju socjalistycznej integracji krajów członkowskich.

Niedawno obchodziliśmy 25-lecie powstania i działalności Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i choć przez tych 25 lat różne były losy procesu integracyjnego państw socjalistycznych, to przecież proces ten dokonywał się nieustannie. Dziś już po-

wszechnie jest przekonanie, że państwa naszego obozu mogą szybciej i skuteczniej nadrobić opóźnienia i dokonywać przyspieszenia swego rozwoju społecznego i gospodarczego w oparciu o wzajemną współpracę. Jak wykazały rezultaty XXVIII Sesji RWPG proces integracji wszedł już w wyższy etap. Charakterystyczne jest to między innymi tym, że niezależnie od planowania dwustronnych stosunków między państwami — członkami RWPG dokonuje się też planowania współpracy wielostronnej. Poza tym państwa członkowskie RWPG w swoim planowaniu wewnętrznym wydziela pewną ilość środków finansowych na prowadzenie wspólnych inwestycji, na rozwój wzajemnej kooperacji i współpracy specjalistycznej. Ma to dlatego duże znaczenie, gdyż wszelkie wewnętrzne korekty planów, wszelkie wewnętrzne wahnięcia i przemieszczanie środków nie mają wpływu na całość procesów integracyjnych, a tym samym przyczyniają się — niezależnie od sytuacji poszczególnych krajów — do dalszego umacniania gospodarki wszystkich krajów socjalistycznych.

Według danych szacunkowych z lat 1971—1973 eksportowaliśmy do krajów członkowskich RWPG około 80 proc. maszyn i urządzeń, około 66 proc. kompletnych obiektów przemysłowych oraz około 72 proc. artykułów powszechnego użytku. Importowaliśmy w tym czasie około 45 proc. wszystkich sprzedawanych maszyn i urządzeń, 85 proc. rudy żelaza, około 60 proc. bawełny i około 90 proc. ropy i produktów naftowych.

Jednocześnie rozwijaliśmy handel z krajami kapitalistycznymi, zdobywając sobie coraz to nowe rynki. W 1970 roku eksport Polski do krajów rozwiniętych gospodarczo wyniósł 28,4 proc. całego eksportu i 25,8 proc. całego naszego importu pochodzącego z tych krajów. Do krajów rozwiniętych się sprzedaliśmy 7,7 proc. całego naszego eksportu, a sprowadziliśmy stamtąd 5,6 proc. importowanych towarów, urządzeń, materiałów i surowców.

Ostatnio na przykład „Polimex-Cekop” podpisał umowę na budowę kombinatu produkującego kwas siarkowy i fosforyt. Partnerem jest OCP — państwowe towarzystwo fosforytowe z Maroka. Nieodwołalność tej umowy polega na tym, że Maroko uniknęło do niedawna kontaktów z krajami socjalistycznymi, wiać się bardziej z państwami-członkami EWG.

Poza tym budowa marokańskich kombinatów kwasu siarkowego i fosforowego — a ma ich do 1980 roku powstać 7 odbywa się pod patronatem Banku Światowego, którego Polska nie jest członkiem, a który to Bank zaprosił „Polimex-Cekop” do przetargu na budowę kombinatu. I po trzecim — prezes OCP, Karim Lamrani zaproponował Polsce podpisanie następnej umowy na budowę podobnego kombinatu. I po czwartym wreszcie — Marokańczycy zrezygnowali z pomocy znanej duńskiej firmy profesora Topse, która specjalizuje się w nadzorowaniu budowy fabryk chemicznych. Maroko zamierza złożyć Polsce wiele jeszcze innych ofert handlowych i inwestycyjnych, rozszerzając współpracę z naszym krajem. Przed laty sprzedano do Maroka jedną lokomotywę „Fabloku”, dziś „Kolmotex” jest dostawcą taboru kolejowego do tego kraju.

A Polska budując fabryki i sprzedając urządzenia i maszyny do innych krajów korzysta ze współpracy kooperacyjnej innych producentów, w tym głównie partnerów z RWPG.

NA POLITYCZNEJ MAPIE

Socjalistyczne przemiany, jakie dokonały się w kraju, wytrwały dążenie Polski do pokojowego rozwiązywania wszelkich międzynarodowych spraw spornych, pokojowe inicjatywy z jakimi występowała Polska w ostatnim trzydziestolecie — wszystko to razem spowodowało, że zaczęliśmy się liczyć na międzynarodowej arenie politycznej, że staliśmy się partnerem w dyplomatycznych negocjacjach.

Ostatnie trzy lata przyniosły Polsce dalsze niewątpliwie sukcesy międzynarodowe. Zawarliśmy z Francją doniosłe porozumienie, wyrażone Deklaracją o Przyjaźni i Współpracy między PRL a Republiką Francuską. Zawarliśmy również z Francją układ o 10-letniej współpracy gospodarczej, przemysłowej, naukowej i technicznej. Rozpoczęliśmy normalizowanie stosunków wzajemnych z krajami skandynawskimi. We wrześniu ubiegłego roku podpisano porozumienie wszystkich krajów nadbałtyckich w sprawie ochrony bałtyckiego zbiornika wodnego. A jest to zaledwie początek realizacji programu zacieśnienia współpracy wzajemnej wszystkich państw nadbałtyckich przy rozwiązywaniu wielu praktycznych problemów tego rejonu Europy.

Osobną sprawą, mającą wielkie znaczenie jest uregulowanie wzajemnych stosunków z Republiką Federalną Niemiec. W odwiecznych stosunkach między państwem niemieckim a polskim były okresy, o których nie może zapomnieć naród polski. Jednakże przeszłość nie może też zdecydowanie ważyć nad teraźniejszością i przyszłością. Polska stojąc na gruncie pokojowego współistnienia

państw o różnych ustrojach społecznych, dążyła również do unormowania stosunków z RFN. W RFN działały siły, które były przeciwnie zimnej wojnie, które rozumiały, że grozi ona wybuchem zbrojnego konfliktu, który może doprowadzić ludność do nieodwracalnej klęski. I te siły były za uregulowaniem stosunków z ZSR i Polską i były za przerwaniem zimnej wojny. Ale w RFN były i są też siły przeciwnie normalizacji, których credo polityczne opiera się na nieuznawaniu faktów historycznych.

Znaczenie układu podpisanego 7 grudnia 1970 roku przez przedstawicieli PRL i RFN, a ratyfikowanego 17 maja 1972 roku przez Bundestag i 26 maja 1972 roku przez Radę Państwa PRL, polega przede wszystkim na tym, że w 20 lat po NRD, również i RFN uznała nasze granice zachodnie, jak i granice wszystkich państw w Europie „za nienaruszalne — obecnie i w przyszłości”, uznając tym również granice między NRD i RFN.

Jednakże dalszy proces normalizacji stosunków Polska — RFN nie jest i nie będzie łatwy, gdyż hamują go siły prawicowe w RFN. Rosnąca potęga obozu socjalistycznego, zdecydowane stanowisko ZSR, aby wiele spraw konfliktowych rozwiązywać w sposób pokojowy i przy stołach konferencyjnych, pomniejsza wpływ i znaczenie wszelkich sił wstecznych, które chciałyby za wszelką cenę utrzymać na świecie atmosferę napięcia.

W ostatnich trzech latach polscy dyplomaci nawiązali wiele bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami państw Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk. Te kontakty, jak i wizyty wzajemne przedstawicieli kierownictwa partii i rządu pozwalały na dalsze zawieranie układów handlowych i gospodarczych korzystnych dla Polski i jej partnerów, na rozszerzanie współpracy naukowej, technicznej i kulturalnej. Pozwalały też na konsultacje polityczne przedstawicieli różnych państw, dążących do wzrostu bezpieczeństwa i pokoju w świecie.

„Celem naszej polityki zagranicznej — czytamy w Rezolucji VI Zjazdu PZPR w sprawie bezpieczeństwa współpracy w Europie — jest zapewnienie warunków dla wszechstronnej i przyjaznej, opartej na zasadach pokojowego współistnienia, współpracy państw i narodów Europy.

Opowiadamy się za wypracowaniem zasad rozwoju równoprawnej, nie skrepowanej żadnymi dyskryminacyjnymi barierami współpracy gospodarczej, naukowej, technologicznej oraz w innych dziedzinach. Popieramy konstruktywne idee zbliżenia między narodami, przewidywania narosłych uprzedzeń, tworzenia klimatu współdziałania i odpowiedzialności za przyszłość.”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

BOLESŁAW BIERUT

Urodził się na Lubelszczyźnie 18 kwietnia 1892 roku, w pamiętnym roku strajku powszechnego w Łodzi. Z Łodzią łączyły go później krótkotrwałe, niemniej serdeczne więzy, bowiem w latach 1931–1933 kierował pracami Sekretariatu Komitetu Okręgowego KPP.

Jak słusznie przypomniał Leon Kruczkowski, wystarczy sięgnąć do literatury polskiej z przełomu XIX i XX stulecia, aby znaleźć w niej niemal wszystkie elementy życiorysu Bolesława Bieruta. Bo też typowe były losy rodziny małopolskiego chłopca, Wojciecha Bieruta, zrujnowanego przez powódź i przez to zmuszonego osiąść na lubelskim bruku. W najmłodszym z członków tej rodziny, kiedy około 1900 roku sięgał po pierwszą książkę, jarzyła się ta sama iskra, której blaskiem ożywiało najlepsze piśmiennictwo polskie postaci swoich Antków i Michalków. Jednakże małemu Bolkowi przypadło w udziale więcej niż im, bowiem wszedł na karty nie powieści, ale żywej historii narodu.

Pasja czytelnicza pozostała mu do końca życia. Musiała mu zastąpić brak formalnego wykształcenia inteligentckiego, ponieważ po pamiętnym strajku szkolnym w 1905 roku wyleciał ze szkoły z wilczym biletem, wręczonym mu jako aktywnemu przywódcy lubelskich uczniów.

Jako 13-letni chłopiec cisnął kałamarzem w portret carski, dając tym sygnał do rozpoczęcia strajku szkolnego w Lublinie. Na ten znak młodzież przemarszerowała przez miasto i w ich szeregach zjawiał się niczym błysk płomienia czerwony sztandar. Z tym rewolucyjnym symbolem udali się na cmentarz, aby zgodnie z tradycją wiecować przy grobie Piotra Sciegłennego, symbolizującego okres zmagania o wolność z okresem nowym, kiedy na czoło ruchu radykalnego wysunęła się młoda klasa robotnicza.

Spragnionemu wiedzy chłopcu dała edukację mogło zapewnić już tylko twarde, bezlitosne i surowe życie młodego robotnika. Podobnie jak dla Maksyma Gorkiego, językiem wykładowym w tej trudnej szkole była mowa nędzy, wyzysku i poniewierki, twardy język doświadczeń klasowych, tworzący zręby solidarności proletariackiej.

Można bez przesady powiedzieć, iż kwestia upowszechnienia kultury stała się w centrum uwagi Bieruta już jako prezydenta i przewodniczącego KC Partii. Wczuwając się w rosnące ze wzrostem gospodarczym potrzeby duchowe społeczeństwa, od pierwszej chwili władzy ludowej dbał o rozwój szkolnictwa, instytucji naukowych, bibliotek, czytelnictwa, pobudzał do ofensywy kulturalnej aby rozprzestrzeniła się na wszystkie warstwy narodu.

Odsłaniając w styczniu 1950 roku pomnik Adama Mickiewicza mógł bez przesady zameldować:

„Chciałoby się powiedzieć Wieszczo- wi: książki Twoje wędrują pod strzechy. Ziściły się Twoje prorocze słowa...”

W trakcie pamiętnej sesji sejmowej na jesieni 1948, której jednym z owoców była uchwała o wydaniu dzieł wszystkich Mickiewicza (stad tzw. edycja sejmowa), Bierut podzielił się z posłami troską, wypływającą z postulatu udostępnienia kultury masom ludowym:

„Trzeba, aby przy wysokim poziomie artystycznym książka była tania, dobra i dostępna dla najszerszego ogółu. Trzeba, aby teatr dążył do najwyższego poziomu artystycznego był tani i nastawiony swoją treścią nie na elitę...”

Wprowadził pierwszą połowę lat

pięćdziesiątych nie zawsze przynosiła świadectwo właściwego poziomu artystycznego dzieł kultury, to przecież postulat powszechności nie spotykanej



Fot. Archiwum

nigdy tanioci książek, biletów teatralnych i filmowych, koncertowych i muzealnych musi do dziś wywoływać jednoznaczne refleksje.

Bolesław Bierut wykazał niejednokrotnie odwagę i prawdziwy hart ducha, jak dowodzi tego chociażby sprawa odbudowy Warszawy. Wbrew sugestiom proponowanym przez niektórych polityków przeniesienia stolicy z Warszawy do Łodzi, Krakowa, a nawet Poznania, przeorsował decyzję o pozostawieniu dotychczasowego status quo. Na pierwszym wiecu w wyzwolonej Warszawie ślubował:

„Warszawo, przyrzekamy Ci dziś święcie: na mogiłach bohaterów, na gruzach Twych najpiękniejszych dla nas gmachów, ulic i placów, wysiłkiem, na jaki zdobyć się tylko zdoła miłujący Cię naród, wzniesiemy pomnik godny Twojej sławy dziejowej”.

To nie była tylko kwestia wiary w

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LIST DO PREZYDENTA

(fragmenty)

Bo kiedy, Prezydencie, Ty dobrze wiesz, Jakaż trzeba iść drogą i jak nas prowadzić Ja zbyt zaufałem przebrzmiałej mądrości, Zmęczone oczy pasąc piękności widokiem — I olśniony tęczęmi, wtedy nie doszłem Ugiętego pod jarzmem prostego człowieka.

Ale kiedy mi ciężko i kiedy się gubię, Myslę zawsze o Tobie. Wiem, że Ty tak samo Kochasz Polskę szeroką i tych prostych ludzi, Którzy nową ojczyznę z wysiłkiem budują, I wiem, że Ty masz rację. I ta myśl o pracy Jest jak powiew wiosenny na śnieżnej równinie, Jest jak olśnienie światłem w porannej jesieni, I wiem, że Ty rozumiesz, iż los mi przeznaczył pisać wiersze: układać słowa dla Polaków, I że więcej nie mogę nic. I że to jest także Budowa nowych rzeczy i droga do światła. I że tkacz nad warsztatem, ja nad moim piórem, Ty nad mapą ojczyzny schylił obrymą Oddychamy tym samym: ogromną miłością Odrodzonego świata i wiarą w człowieka.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NA BAŁUTACH WIELKIE PORUSZENIE

— Cieszysz się, że mieszkasz na Bałutach?

— Bardzo się cieszę — odpowiada Zbigniew E., gitarzysta basowy z kawiarni Agawa. Mruży inteligentnie oczy i uzasadnia: — Grałem niedawno w mordowni na Wybrzeżu... Przy stoliku siedział gość z kobietą; wiercił się niespokojnie; wreszcie przywołał kelnera i zaczął mu coś nawijać. W powietrzu błysnęła setka. Niebawem kelner podszedł do nas i powiada, żeby zagrać na życzenie tego pana Paryskie Tango z dedykacją dla jego narzeczonej. Zagraliśmy z rozpędu, a potem złapaliśmy kelnera za frak, żeby oddał pieniądze.

— Jakie pieniądze? — zdziwił się kelner. — Te, coś pan wyszukał od klienta. — Jezus kochany, nie żem nie wyszukał!

— Panie Manius — mówię wtedy do niego. — Niech pan się łaskawie nie zapomina! Niech pan łaskawie weźmie pod uwagę, że my jesteśmy z Bałut!

No i kelner pękł. — Przestraszył się? — pytam. — Tak. — Bo z bałuciarzami nie ma żartów? — A jak?

1.

Niewykluczono, że ktoś weźmie mi za złe ten klezmerski wtręt. A przecież trafnie oddaje on istotę rzeczy. Wedle powszechnych mitów i wyobrażeń, które krąży o Bałutach po kraju, do dzisiaj jest to dzielnica synonimem wskiego nędzy, brudu, brzydoty; do dzisiaj ciąży na niej brzemie historii i drukowanego słowa, które pod płaszczykiem taniej troski i fałszywego współczucia przez wiele powojennych lat karmiło nas dętą sensacją.

Nie! Nie ma w Polsce drugiej dzielnicy tak splugawionej przez reporterów, tak skrzywdzonej i zgnójonej przez opinię społeczną. Kiedy o tym myślę,

łapie mnie za gardło święty gniew. Jak długo jeszcze kaza nam czytać o bałuckich rymstokach, walących się kamienicach, mieszkaniach ciasnych bez szaleństw, gazu i wody; jak długo jeszcze będziemy babrać się w historii, wspominać Poznańskiego i upodlonych robotników, których każdego ranka podrywał do pracy przeraźliwy świst syren; bandytów, sutenerów i Żydów, którzy handlowali po zaułkach koszer- nym drebniem; anemicznych dzieci, które zaczynały tyrać w dziesiątym roku życia, a w czternastym umierały na suchoty...

Wiem. Dla każdego autora (pisarza, reportera, historyka, socjologa), który od czasu do czasu z takich czy innych względów (połeczenie szefa, konkurs, książka, praca naukowa) zmuszony jest zająć się Bałutami, ucieleśnia w przeszłość stanowią pokusę nie do przewyższenia albowiem wybitnie uatrakcyjnia (ta ucieleśniona) zawartość dzieła, poszerza jego rozmiary, kamufłuje luki w postrzeganej na gorąco współczesności oraz stwarza okazje do łatwych porównań: (kiedyś, panie, szumiały tu łany zboża, a teraz...) Tak. Wygodnie bryknąć sobie w historię, ale w przypadku Bałut zabieg ten przynosi raczej opłakane skutki. Nieprzerwana i nudna komparatystyka, zwichnięte proporcje

między WZORAJ i DZIS nie pozwalają na obiektywną ocenę dzielnicy i zdarzeń z niej płaszcza czarnej sławy.

A przecież dzisiejsze Bałuty są dzielnicą, przed którą trzeba schylić głowę. Mało! Odwołując się do statystyk i własnych spostrzeżeń, powiem bez wahania, że dzisiejsze Bałuty to najpiękniejsza i najczystsza część Łodzi.

2.

Gdyby wziąć pod uwagę obszar (6366 hektarów) i liczbę mieszkańców (235.000), okazałoby się, że Bałuty są siódmym co do wielkości miastem w Polsce i drugą (po warszawskich Bielaniach) dzielnicą.

Nie przesadzaj, jeśli powiem, że po wojnie Bałuty zostały zbudowane od nowa. Powstało tu przecież w ostatnim trzydziestolecu 150.000 izb, a zatem, nie licząc domków jednorodzinnych, siedemdziesiąt procent bałuciarzy wprowadziło się do nowych mieszkań.

Aż dziw, że te nokautejące liczby nie znalazły dotychczas jakiegos sugestywnego piewcy.

A inne? W 1960 r. kanalizację posiadało zamieszkało tylko 44,6 procent bałuckich mieszkań — w 1974 roku obejmuje już 76 procent.

W 1960 roku kanalizację posiadało zaledwie 27 procent mieszkań — w 1974

roku notujemy wzrost do 65 procent. Gaz: 1960 rok — 23 procent; 1974 — 66 procent.

C.o.: 1960 rok — 22 procent, 1974 — 60 procent.

Czytelnicy nie przepadają za cyframi, autorzy brzydzą się ich jeszcze bardziej. Cyfry psują graficzny obraz reportażu, kiedy zaś przychodzi opatrzyć je słowem „procent”, reka sama staje na papierze. Niemniej cyfry mają swoją ekspresję. Na Bałutach jest dokładnie tak, jak mówią cyfry.

3.

Jeśli gorąco pragniesz, znajdziesz enklawy starego budownictwa w rejonie Limanowskiego, w końcu Zgierskiej, na Rybnej, Piwnej, Prusa, Złocieniowej, Jagiellońskiej, Zioliowej, w okolicach Rynku. Ale stare budownictwo też podlega remontom i modernizacjom, przestaje być koszmarem. Zresztą, każda taka enklawa ulega systematycznemu rozgęszczeniu.

— Panie! — mówi mi Jan Rybiński, który od czterdziestu lat mieszka na Łagiewnickiej. — Żebyś pan chodził i wszedł cały dzień, nie spotkasz już pan takiego miejsca na Bałutach, co by nie miało przebiegu do świata. Stoisz na Bałuckim Rynku, ale przez szczeliny w murach, ponad głowami handlarzy i da-

chami czynszowych kamienic, widzisz bloki. Jesteś na Limanowskiego, ale w oddali piętrzy się Teofilów, a po bokach Pojezińska i Lutomska. Idziesz Wojaskiego, a tam, na łakach i gruzowiskach, powyrastały jakieś obce osiedla: jedenastokondygnacyjne wieżowce, pawilony, szkoły, stadiony... Wydawało mi się niedawno, że znam Bałuty, ale wiesz pan co... wcale nie znam! Strzyka po latach odwiedziłem na Inflanckiej i aż mnie zatkało. Kuli się strzyk ze swoimi królikami i gołębiami w murowanej norce, a jego stara przeklina jak dzień długi murarzy, zbrojarzy, traktorzystów i ludzi, którzy zaczęli ścigać do wybudowanych już domów. Aż strach patrzeć, jaka ta strzyka norka przy nich paskudna i mała. Wiece strzyk podchodzi ze mną do okna, celuje paluchem w jakiś wieżowiec i powiada: tam stał kiedyś owocowe drzewko; padł! Mieli ludzie kozy i owce? Mieli! Ale jak tu je wypasać, kiedy dokoła robi się miasto. Fronczakowi kurw przestaly nieść przez ten diabełski harmider. Popatrz, stare bałuciarze cierpią ze wstydu i nie mają życia... sadza kwiaty, malują furtki i płoty, smolują, dachówki albo nawet odnawiają całe ściany, wszystko, żeby tylko wpasować się

Dalszy ciąg na str. 4

Trzydzieści lat dzieli nas od daty 22 lipca 1944, daty ogłoszenia Manifestu PKWN, który zapoczątkował nową Polskę. Do Łodzi wolność przyszła dopiero 19 stycznia 1945 roku.

Leży przede mną trzydzieści roczników gazet. Przechowały one pamięć o zdarzeniach, które stanowiły kamienie milowe drogi przebytej przez Łódź w nowej rzeczywistości społecznej. Tej drogi, która uczyniła z naszego miasta jeden z najważniejszych w naszym kraju ośrodków nauki i kultury, sztuki i twórczej myśli.

1945

W szóstym dniu wolności ukazują się pierwsza łódzka gazeta (łącznie 6 numerów). Czytamy w niej: „WOLNA ŁÓDŹ” jest gazetą prawdy, gazetą zjednoczonej demokracji. Każdy uczyliw Polak znajdzie przyjaciela w naszym dzienniku.

Do Łodzi przenoszą się redakcje gazet i czasopism centralnych. Zaczynają ukazywać się „GŁOS ROBOTNICZY” i „DZIENNIK ŁÓDZKI” oraz tygodnik społeczno-polityczny „KURJER” (redagowana przez S. Żółkiewskiego).

Organizuje się Uniwersytet Łódzki (rektor prof. dr. Tadeusz Kotarbiński) i Politechnika Łódzka (rektor prof. dr. Bohdan Stefanowski). Wolewózka Rada Narodowa tworzy fundusz stypendialny dla niezamożnej młodzieży, która wstąpi na wyższe uczelnie w Łodzi.

Rozpoczyna działalność Filharmonia Łódzka pod kierownictwem Zdzisława Górzyńskiego. Na scenie Teatru Wojska Polskiego Jacek Woszczerowicz reżyseruje „WESELE” Wyspiańskiego.

Kino „Hel” (dziś „Młoda Gwardia”) wyświetla kronikę „PROSTO Z PIERCA”. Tak rozpoczęło swoją pracę studio PP „Film Polski” (dzisiejsza Wytwórnia Filmów Fabularnych).

Mieczysław Jastrun zostaje laureatem nagrody artystycznej miasta.

1946

Miasto przeznacza poważne kredyty na ukończenie gmachu teatralnego przy ul. Śródmiejskiej. Reżyser Leon Schiller obejmuje Teatr Wojska Polskiego.

W Łodzi obraduje zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Nagroda artystyczna miasta zostaje przyznana pośmiertnie wybitnemuastykowi Karolowi Hillerowi (1891–1939).

1947

Na terenie miasta oprócz Miejskiej Biblioteki Publicznej istnieją 3 wy-pozyczalnie książek dla dorosłych i 4 dla dzieci. Ogólna liczba posiadanych przez nie książek: 60.694 tomy.

Komitet Obywatelski „Święta Oświaty” w Warszawie poinformował za pośrednictwem prasy, że w zbiorce pieniężnej na cele oświatowe przoduje Łódź (679 tys. zł) przed Krakowem (625 tys. zł). Społeczeństwo Łodzi przodowało także w zbiorce książek (24 tys. tomów).

Politechnika Łódzka, na której o-twarto nowy wydział włókienniczy, przenosi się do gmachu przy ul. Gdańskiej.

Powstaje Zespół Pieśni i Tańca im. Sz. Harnama.

1948

Powstaje Muzeum Sztuki z jedyną w Polsce galerią sztuki nowoczesnej i jedyną w kraju Szkoła Filmowa.

Wyższa Szkoła Ekonomiczna otrzymuje nowy gmach przy ul. Armii Ludowej.

LEON SCHILLER zostaje laureatem nagrody artystycznej miasta i pierwszej po wojnie nagrody państwowej.

1949

Politechnika Łódzka przyznaje tytuł doktora honoris causa swemu

KRONIKA NASZYCH DNI

pierwszemu rektorowi prof. B. Stefanowskiemu.

Grupa młodych, utalentowanych aktorów zakłada własny zespół pod nazwą TEATR NOWY, gdzie K. Dejmek reżyseruje „BRYGADĘ SZLIFIERZA KARHANA”.

„To, że się w Łodzi urodziłem, że w niej wzrosłem i blisko połowę swego wieku spędziłem – to nie jest ważne. Ważny jest natomiast inny fakt: że mnie Łódź ukształtowała” pisał Julian Tuwim, kolejny laureat nagrody artystycznej miasta.

1950

W Teatrze Powszechnym, który wystawił „NIEMCÓW” L. Kruczkowskiego, jubileusz pracy scenicznego Karola Adwentowicza (1872–1958). Jubilat kreował rolę prof. Sonnenberga.

W Łodzi działają 22 licea ogólnokształcące, w których kształcą się 6.528 uczniów.

Nagrodę artystyczną otrzymuje zespół architektów: R. Szymborski oraz J. i W. Korscy, autorzy rozwiązania architektonicznego dzisiejszego Teatru Wielkiego.

1951

Liczba studentów – na 10 wyższych uczelniach Łodzi wzrasta do 13.806.

1952

Księgozbiór Biblioteki im. Waryńskiego przekracza liczbę 70 tys. woluminów.

K. Dejmek otrzymuje Order Sztandaru Pracy II klasy. Odznaczenie to jest jednocześnie wyrazem uznania dla pracy młodego Teatru Nowego.

1953

Łódzkie teatry dają 24 premiery. Powstaje Wojewódzki Dom Kultury (dziś LDK).

1954

Powstaje Opera Łódzka, która inauguruje swoją działalność wystawieniem „HALKI” St. MONIUSZKI. Marian Piechal zostaje laureatem nagrody artystycznej miasta.

1955

Rada Narodowa m. Łodzi funduje Nagrodę Literacką im. Juliana Tuwima. Otrzymał ją Stanisław Czernik Zespół im. Sz. Harnama otrzymuje Orderu Sztandaru Pracy II klasy.

1956

Powstaje Łódzki Ośrodek Telewizyjny wyposażony we własne studio. Nagrody naukowe miasta otrzymują: prof. dr K. Jażdżewski i prof. dr W. Bratkowski, artystyczne zaś: W.

Słobodnik (literatura), K. Jurdziński (muzyka), A. Lubniewicz (plastyka) i J. Mieczysław (teatr).

1957

Miasto rozpisuje konkurs na pomnik-mauzoleum w Radogoszczu.

Z inicjatywy St. Czernika powstaje Wydawnictwo Łódzkie.

Nagrody naukowe miasta otrzymują: prof. dr A. Dorabalska oraz prof. dr S. Skwarczyńska, artystyczne zaś Wł. Rymkiewicz (literatura), K. Bacewicz (muzyka) i K. Dejmek (teatr).

1958

Kino „Bałtyk” otrzymuje panoramiczny ekran.

Operetka Łódzka przenosi się do

Nagrody naukowe miasta otrzymują: prof. dr J. Dylak (UL), prof. dr Z. Jerzmanowska (AM), prof. mgr inż. E. Jezierski (PL), oraz prof. H. Małkowska (PWSTIF). Stanisław Czernik otrzymuje nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia.

1964

19 stycznia zmarł Stanisław Chruszczewski, 77-letni senior dziennikarstwa łódzkiego.

Oddano do użytku Instytut Przemysłu Skórzanego.

Odbywa się „I Łódzka Jesień Poetycka Młodych”.

Nagrody naukowe miasta otrzymują: prof. dr A. Himmel (WAM), prof. dr P. Prindisz (PL), prof. dr B. Za-

(UL), prof. dr A. Pruszczyński (AM) oraz za widowisko „BALLADA PARTYZANCKA” zespół: J. Nitecki, Wł. Orłowski, R. Sykała, T. Szewera i M. Wawrzekiewicz.

1969

Zapoczątkowała działalność Łódzka Wiosna Artystyczna.

Przebudowano gmach Teatru im. St. Jaracza.

Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali: I stopnia dyrygent H. Czyż oraz plastyk K. Mackiewicz, III stopnia literat W. Biliński oraz zespół muzyczny „No To Co”.

Nagrody m. Łodzi otrzymali: prof. dr Wł. Pelczewski (PL), plk dr med J. Pruszczyński (WAM), prof. dr J. Michalski (UL), prof. dr W. Janowski (UL) oraz plastyk W. Kondak i literat W. Jażdżewski.

1970

Odbyła się sesja wyjazdowa ZG ZLP na temat „Praca w literaturze”. Odbywają się I Łódzkie Spotkania Baletowe.

Nagrody m. Łodzi otrzymali w 25-tą rocznicę wyzwolenia Łodzi: prof. dr E. Józefowicz (PL), prof. dr J. Bardach (AM) i prof. dr Antonina Kłosowska (UL). Ponadto aktorka J. Andrzejewska, muzyk Z. Łafoszewski i architekt A. Zwierko.

1971

Nagrody m. Łodzi otrzymali: plk prof. dr J. Borsuk (WAM), prof. dr W. Szubert (UL) oraz socjolog dr J. Marczak i plastyk B. Liberski.

1972

Odbywa się I Ogólnopolskie Triennale Tkaniny.

Uruchomiono Prasowe Zakłady Graficzne.

W Łodzi obradował XVIII Zjazd Związku Literatów Polskich.

Nagrody m. Łodzi otrzymali: prof. O. Olgińska-Mackiewicz (WSM), prof. dr T. Pawlikowski (AM), dyrygent H. Debiech, plastyk Wł. Bojko, zespół realizatora z „Semafora” oraz zespół Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto za osiągnięcia w dziedzinie techniki.

1973

Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali: literacką III stopnia J. Wawrzak, muzyczną II stopnia T. Kubiak, plastyczną II stopnia B. Liberski, teatralną J. Andrzejewską oraz za upowszechnianie kultury nagrodę II stopnia Zespół im. Sz. Harnama i jego kierownik artystyczny J. Hryniewicz.

Nagrody m. Łodzi otrzymali: prof. dr W. Hahn (UL), prof. dr J. Nofer (IMP), prof. dr St. Zagrodzki (PL), literat I. Sikirski oraz Zespół im. Sz. Harnama.

1974

Nagrody m. Łodzi otrzymali: budowlanowie Zalewu Sulejowskiego dr inż. M. Badiak i mgr inż. Zdz. Włazłowicz, dziennikarz H. Rudnicki, prof. dr W. Smiech (UL), prof. dr J. Leyko (PL) oraz zespół projektantów przemysłowych jedwabniczego i tkanin dekoracyjnych.

Odbywa się Plenum KL PZPR poświęcone problematyce kultury.

Ukazuje się miesięcznik informacyjny „KALEJDOSKOP” poświęcony wydarzeniom kulturalnym w Łodzi.

Oto tylko cząstka wynotowanych przeze mnie zdarzeń, które składają się na obraz łódzkiej nauki, kultury i sztuki. Każdy dzień dopisuje nową kartę dla nowych, wstępujących dopiero pokoleń.

Opracował: JERZY DARNAL

NA BAŁUTACH...

Dalszy ciąg ze str. 3

jakąś w te bloki, żeby przetrwać, ale wiesz co... o... taki wali Niki się tu długo nie utrzyma. Helena – melduje strykiem sykiem – co dzień po obiedzie wypija pół flakonu waleriany i nie może zasnąć bez proszka. I wiesz co ci powiem? Gdyby tak, nie dał Bóg, odjechała, to ja zwinę interes, sprzedam krócie, wrzucę do garnka gołębie, palnę sobie z sąsiadami kielicha i też pójdę do bloków. – A posiada strykiem możliwości? – Chł! – powiada stryj i rozgląda się za starą. – Już żem się o wszystko rozpytał...

Bałuty już dawno przekroczyły półmetek i po prostu ciąża teraz ku nowemu. Tak jest zawsze: najpierw z wielkim trudem wtłacza się w starą dzielnicę pierwszy nowy dom, potem, kiedy tych nowych domów jest już więcej niż starych, wszystko odbywa się automatycznie: strupy spadają ze zdrowego ciała, ani się człowiek obejrz...

4.

Bałuty miały to szczęście, że zostały zaatakowane totalnie, niemal na całej swojej powierzchni. Na jednym krańcu powstał Teofilów, na drugim, odległym pół godziny jazdy autobusem – osiedle Wład. Bytowski. I Doly; na granicy z Polesiem, przy Drewnowskiej, Kasprzaka, Łutomskiej, a także glebie! oraz Poljerskiej, Złazskiej – Stefana, Wielkopolskiej, wspomnianej już Inflanckiej i Łagiewnickiej panuje wielki ruch budowlany. W najbliższych

latach, w kierunku zachodnim, rozciągnie się Teofilów D, osiedle dla trzydziestu dwóch tysięcy mieszkańców, a jeszcze bardziej na zachód, już poza dzisiejszymi granicami miasta – Teofilów E. Bałuty zbliżają się także niebezpiecznie do Złaz. Planuje się budowę nowego Radogoszcza (dwadzieścia tysięcy mieszkańców) i osiedla przy ulicy Bolesława Prusa (cztery tysiące).

Doczekają się Bałuty swojego centrum, które zawarte zostanie pomiędzy Franciszkańską, Zachodnią, Wojska Polskiego, Dolną i Tokarzewskiego. Bałucki Rynek, którego likwidację zapowiada się już od kilku lat i który dzielnie stawia tym zapędom czoła, zmuszony jednak będzie ustąpić. Powstana wokół niego jedenastokondygnacyjna wieżowca; bardzo możliwe, że zmieści się pośród nich okazały gmach teatralny. Tak czy owak, będzie to centrum o charakterze kulturalnym i administracyjno-handlowym, świadczące usługi nie tylko dla dzielnicy, ale i całej Łodzi.

Zamyślam się, kiedy snuje przede mną te plany naczelnik dzielnicy.

Mówię: – Bałucki Rynek też świadczy usługi dla całego miasta. Zawszad, przyjeżdżają tu gosposie na zakupy. Zresztą – nie tylko gosposie... Gdzieś będziemy zaopatrywać się w śrubki, pasowate klucze, nabywać przedwojenną lekturę, plankton i karmę dla ryb?

– Nooo, przecież damy handlarzom inny plac.

– A ten?

– Ten zostanie dla historii.

– Pośród nowych gmachów?

– Tak. To będzie interesujący kontrast.

– Ludzie są zaniepokojeni – mówię – czy na tym zastępczym placu dla handlarzy będzie to wszystko, co na starym: drób spod Lutomska, warzywa z Łęczycy...

– Będzie, będzie – uspokaja mnie naczelnik.

– I zaprzęgi będą miały wolny wjazd?

– Konne?

– Tak.

– Nie wiadomo jeszcze, jak będzie z tymi zaprzęgami. Ale... widzę, że zaczyna pan martwić się o stare Bałuty.

Kręcę głową, ale w duchu przyznaję naczelnikowi rację. Rzeczywiście zaczynam się martwić, i to wbrew swoim reporterskim założeniom, na przekór temu, co napisałem w wstępie.

Czyżby naprawdę miały ze szczeniem zginąć na Bałutach resztki dawnej egzotyki? Czyżby było aż tak dobrze?

5.

Dostrzegam z ulgą na Placu Kościelnym cztery ostatnie łódzkie dorożki. Jeszcze niedawno było ich pięć, ale zmarło się sędziemu woźnicy i tylko cztery zostały; czterech ludzi drzemających na kozłach, cztery konie ze spuszczonymi łbami, cztery czarne, polatane landary.

– Jak stoja sprawy? – zaczynam Jana Nowakowskiego, który ma sześćdziesiąt sześć lat i wygląda krzepko.

– Klepsko stoja – odpowiada Nowakowski.

– Pasażerów brakuje?

– Lili – potrząsa batem. – Pasażer zawsze się znajduje, ale władza nas tępi. Na milicję nie powiem złego słowa, lno na jednego takiego cywilnego inspektora. Rozchodzi się o to, że nie wolno nam wjeżdżać do śródmieścia; przy Podrzecznej „konika” postawili, znaczy się – dalej ani pół metra, a nam mus wjechać nieraz na Wschodnią, Jaracza, Więckowskiego, bo tam

są różne prywatne sklepiki. Rozumiesz pan... warzywa tam z Bałuckiego Rynku dostarczamy, robota społeczna, a ten inspektor zaczyna się na drodze i mandaty po stówie nam wrzuca...

Nieraz żem go ze łzami w oczach prosił – odstęp pan, kochany inspektor, daj nam pożyć, a ten lno się marzeczy i grzymoli w blozku. Te jak przyszli kiedyś do mnie z Radia, o wszystkim żem powiedział na całe gardło: że nie daję nam zarobić, że nie mamy emerytury...

– Ile lat pan powozi?

– Trzydzieści.

Nie bez podziwu patrzę na ten żywy, bałucki pomnik trzydziestolecia.

– I jak zdrowie?

– W porządku. Ale co mi pan wyjeżdża ze zdrowiem. Zrób pan coś, żeby mi dostali emerytury i żeby przestał się nas czeplić ten inspektor. Jakżem w Radiu przemówił, to się trochę odstąpił, jak w gazecie moje zdjęcie pokazał, też odstąpił, ale teraz znówu się czał.

– Panie Nowakowski, dzisiaj samochodem ciężko się przebieć przez śródmieście, a co dopiero dorożką.

– Przecie my nie jeździmy w największy ruch, lno rano. To jak, opieszsz pan nasze trudności?

Mówię wykrętnie, że przyszłe niebawem fotoreportera... Chcę odejść, ale dorożkarz łapie mnie za rękaw.

– Chwileczkę – powiada. – Widzisz pan ten magazyn meblowy?

– Widzę.

– I widzisz pan, co tam jest?

– No jak to? Kanapy, krzesła, komplety kuchenne z Wyszkowa...

Ogorzałe oblicze dorożkarza przybiera wyraz niebywałej zgrozy.

– Tfu! – pluje. – Czepiają się nas za kursy do śródmieścia, a państwo-wych kierowców, co obracają po godzinach towaram, nikt nie widzi. Przecie to kryminał! Ze dwudziestu naganaczy sto każdego dnia pod składem, pięć albo i sześć samochodów nabytych pod plandekę rozwiozi meble

po mieście. Tu stolik, tam szafa; to są kursy wiazane i jak dobrze pójdzie jedna taka trasa przynosi zoferakowi nieliczy grosz.

– Kiedyś – przypominam sobie – magazyn miał własny transport.

– A miał, miał. lno że nie opłaciło się go trzymać. To my myśleli: tera dla nas słoneczko zaświeci, będziemy rozwiozi mebelki po blokach. Niedoczekanie! Oszusty interes wczuwały, a ty człowieku, stoisz beczynnie na postoju i przyglądasz się kombinacjom. Wykończ ich pan?

– Wykończę – powiadam, wiedząc z własnych obserwacji i doświadczeń, że dorożkarz w tym wypadku nie przesadza.

Wycofując się, słyszę: – I napisz pan, żeby nie likwidowali Bałuckiego Rynku, bo nam się uenie z warzywami!

6.

Jeśli komuś się zdaje, że serwuję te obyczajowe scenki gwoli rozweselenia czytelników, to jest w błędzie. Przyswiewia mi wyższy cel. Chcę udowodnić, że w erze krystalizowania się nowych Bałut, pojawiły się automatycznie nowe grupy przestępcze. Już nie cegła i nóż, tak często oplewane w reportażach. Już nie bandy „wrestków” i legendarna bałucka dintojra ze „Le-pym Maksem i Kabanami na czele”.

Bałuty przestały być dzielnicą rozwodzonych chuliganów; nikt specjalnie na stan bezpieczeństwa nie narzeka; po zmierzchu można wyjść spokojnie na ulicę, noca awantury i wrzaski pijaków wzbuchają rzadziej niż w śródmieściu. A jednak...

Bałuty mają swoje punkty zapalne. Pod składem meblowym żerują cwanalicy. W parku „śledzia” kwitnie hazard. W Łagiewnikach, które są najcięższym w Europie miejskim lasem komunalnym, zdarzają się gwałty. W okolicach monopolowego sklepu Pekao przy Zachodniej urzędują waleriarze. Rto by pomyślał, że tak bardzo zmienia się przestępcze obyczaje: w miejsce cyklis-tów, butów na słoninie i trzydniowego zarostu pojawiły się typy schlud-

PREZENTACJE

— Mówiłam o naszych sprawach na ostatniej sesji Sejmu. Rzeczywiście osiągnięcia są niezaprzeczalne. No, nawet samo to, że mamy już i 18 i 16 tygodni urlopu macierzyńskiego, że można wziąć sobie trzy lata bezpłatnego urlopu na wychowanie dziecka, że na kalek dziecko matka dostanie 500 złotych niezależnie od zasiłku rodzinnego, że tworzy się bank alimentów, że od początku ciąży matka jest pod opieką lekarską, że lekarz może już po dwóch miesiącach ciąży wystąpić z wnioskiem o przesunięcie do lepszej pracy, bo tego wymaga stan zdrowia matki...

Tyle mamy pięknych osiągnięć, ale to wszystko gdzieś ludziom po drodze umyka; przez jedną błahą, małą, łatwą sprawę nie załatwioną czy w urzędzie, czy gdzieś indziej traci się z oczu sprawy większe i ważniejsze...

Przez 30 lat Polski Ludowej doszliśmy do dobrych wyników, osiągnęliśmy znaczną wydajność, i to nie tylko przez zwiększony wysiłek, a przez usprawnianie pracy. Czy wszędzie?

Wybudowaliśmy na Widzewie, wspólnym wysiłkiem przedsiębiorstw produkcyjnych, przychodnię specjalistyczną. Przychodzą robotnicy i mówią: — to miało być na badania specjalistyczne, a jak my tam idziemy, to odsyła się nas na rejon. Więc, jak to jest? Albo przychodzą z inną sprawą i mówią: — dyrektor wydał zarządzenie, że nie można korzystać z godzinach pracy z poradą lekarskiej. Moim zdaniem słusznie. Człowiek przychodzi na 8 godzin do pracy i powinien przez ten czas pracować. Ale takie zarządzenie można wydać dopiero wtedy, jeśli się wie, że pracownik po swoich godzinach pracy, zastanie lekarza. A więc trzeba do godzin pracy robotników dopasować czas pracy lekarzy.

I takich różnych drobnych spraw jest więcej. Nie mogą one urastać do rangi problemów, nie mogą przesłaniać tego wszystkiego, co osiągnęliśmy w trzydziestoletnim. A osiągnęliśmy przecież немало. A jeśli coś przeszkadza w życiu, utrudnia je nam, to trzeba dążyć do usunięcia zła, a nie tylko czekać, aż zrobią to inni.

Nie bądźcie obojętni...

— Z czym stykam się na spotkaniach poselskich? To są różne sprawy. Z wyborcami rozmawiam z resztą nie tylko na spotkaniach. Przy najmniej raz w miesiącu, zawsze we wtorek, od 10 do 18. mam też dyżur poselski. Wtedy przychodzą ludzie z interwencjami. Do niedawna wiele osób zgłaszało się w różnych sprawach konfliktowych. W zakładzie pracy, w instytucji nie tak mi załatwił sprawę, poczuł się skrzywdzony, nie honoruje się takiego czy innego jego prawa. Przychodzi więc prosić o pomoc posła.

Teraz mniej jest takich problemów. Więcej natomiast jest spraw mieszkaniowych. Znamy wszyscy naszą sytuację. Wiadomo jest, ile budujemy. Ze coraz więcej. Ale to wszystko ciągle jeszcze nie wystarczy. Ludzie są niecierpliwi, bo nie zawsze wiedzą, jaką mamy aktualną sytuację mieszkaniową. Więc muszę tłumaczyć,

wyjaśnić, uspokajać. Tam, gdzie trzeba i można — pomagam. Wszystkim nie pomogę, bo my przecież prowadzimy politykę mieszkaniową. Przebudowujemy miasto i trzeba burzyć domy. A ludziom z tych domów trzeba dać nowe mieszkania. I nie wszyscy to rozumieją. Często jeszcze wiedzą tylko jedno — dajcie, bo nam się należy!

Przychodzi do mnie na poselski dyżur młoda kobieta. 25 lat. Maż, dwoje dzieci. I woła, że postąpiłmy z nią po chamsku. Dlaczego? Bo wyrzuciliśmy ją z samowolnie zajętego

mnieszego przejawu złej roboty, szkodliwości...

Najważniejsze...

— Gdybym miała wybrać z ostatnich trzydziestu lat to, co dla siebie uważam za najcenniejsze...? Nie potrafię tego podsumować. Bo to nie jest proste. Człowiek zawsze na pierwszym miejscu stawia to wszystko, co jest dla niego, dla rodziny, dla domu. A sprawy ogólniejsze stawia na drugim planie. Mnie się zdaje, że ja bardzo mało zrobiłam dla rodziny,

wojny. W czasie okupacji, kiedy „Widzewska Manufaktura” stała, bo okupant wywoził maszyny, pracowałam „u Leonarda” przy Placu Niepodległości. Po wojnie wróciłam do swego zakładu i do dziś pracuję w WZPB i Maja.

Zaczęłam jako pomagaczka prządki. Przadką było wówczas trudno zostać. Pracowały tu wtedy kobiety, które po 15 lat były tylko pomagaczkami, cierpliwie czekając, aż zwolni się któraś z maszyn. Po wojnie z tym już było łatwiej, zostałam więc przadką. Później — instruktorką.

A jeśli się jeszcze zdarzają, to należą do rzadkości...

Jestem łodzianką nie tylko z urodzenia, ale i z miłości do tego miasta. Wiem, co się jeszcze powinno tu zrobić, bo żyję w Łodzi i poruszam się po mieście tak, jak każdy inny jego mieszkaniec. Jak wychodzę z pracy idę tak jak wszyscy stać w kolejce do sklepu, jeżdżę tramwajami i autobusami. Mam takie same, jak i inni łodzianie poglądy na komunikację na handel, na usługi. Spotykam się z wszystkimi bólami łodzian i czasem nie potrafię sobie i innym wytłumaczyć, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Wydaje mi się, że w bardzo wielu wypadkach wystarczyłoby trochę dobrej woli, odrobina pomysłu, a można byłoby zrobić tak, aby nam wszystkim było łatwiej żyć...

Mój Widzew...

— Jak zmienił się Widzew? Zbyt późno i zbyt powoli przychodziło nowe budownictwo na Widzewie. Inne dzielnice rozwijały się szybciej. Ale teraz i dla Widzewa przyszły lepsze czasy i będzie się tu budowała wielka dzielnica mieszkaniowa „Widzew — Wschód” oraz kolejna elektrociepłownia...

To pozostawianie Widzewa na uboczu łódzkich przemian spowodowało, że mamy poważne zaniechania i to głównie w wyposażeniu dzielnicy. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze szybkemu budowaniu domów nie towarzyszy równie szybkie budowanie żłobków czy przedszkoli. Odczuwam to w swojej pracy. Do Komitetu Zakładowego partii przychodzi wiele kobiet widzewskich, a spotykam się z tym również jako poseł do Sejmu PRL, z prośbą o pomoc i interwencję, bo nie mogą umieścić dziecka w żłobku, czy przedszkolu, a to im uniemożliwia pracę zawodową.

Wielu naszych pracowników mieszka na przykład na Zarzewie. Mają dobrą komunikację z fabryką, ale nie mogą umieścić dziecka w żłobku w dzielnicy czy w przedszkolu, muszą wozić je do zakładowego, a to dla dzieci jest bardzo męczące. Dla matki zresztą też. Życie matkom utrudniają też niedostateczne usługi.

Będziemy budowali teraz wielkie osiedle „Widzew — Wschód” zapowiada się pięknie. Mają tam być boiska, baseny, dom kultury, kino. A jeśli w tym pięknym osiedlu zabraknie dostatecznej ilości miejsc w żłobkach i przedszkolach, to znów zepsuje się cały efekt, osiedle będzie niekompletne, nie będzie gwarantowało dobrego życia. A tak nie można postępować, tak nie można myśleć. Trzeba budować i domy i sklepy, punkty usługowe, żłobki i przedszkola. I nie czekać z tym do nieokreślonej przyszłości, nie odkładać na później...

Sięgam pamięcią w lata przeszłe. Tego już nie można porównywać. Widzewa z tamtych lat i Widzewa dzisiejszego. A przecież wiemy, że to, co zrobiliśmy do tej pory w tej dzielnicy, to mało. Będzie się więc zmieniał Widzew dalej. Jaką będzie dzielnicą w przyszłości, to tylko od nas zależy...

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

STANISŁAWA ŚWIDERSKA

mieszkania. Więc tłumaczę jej, żeby spojrziała i na swój postępek krytycznie. Czyż ona też nie postąpiła — skoro tak już mówimy — po chamsku? Nie, bo mieszkanie stało puste. Więc znowu tłumaczę, że miasto musi mieć niewielką rezerwę, gdyż mogą zdarzyć się nieprzewidziane wypadki, że to nie waży na ogólnej sytuacji mieszkaniowej. I pytam: — od kiedy jest w spółdzielni? Od roku. A od kiedy jest mężatka. Od 5 lat. Dlaczego wcześniej nie pomyślała o nowym mieszkaniu, zakładając rodzinę, rodząc dzieci? Przecież wiedziała, że trzeba czekać, a teraz chce wymusić na władzach miasta mieszkanie dla siebie, nie licząc się z tym, że przedłuży to czas czekania innym.

Niedawno na spotkaniu poselskim kobiety wystąpiły do mnie z pretensjami, że mamy wiele artykułów złej jakości, że handel nie pracuje należycie. Mam. I handel nie pracuje należycie. Ale przecież my sami to robimy. To ktoś spośród nas wypuścił zły towar. To może nasza sąsiadka pracuje w sklepie i lekceważy klientów. Nie bądźmy więc obojętni — powiedzmy — włączmy się do różnych społecznych form kontroli. Pracujmy lepiej sami i wpływamy na to, aby inni pracowali lepiej. Ale u nas zbyt dużo jest cwaniactwa i pobłażania dla cwaniactwa, a ciągle jeszcze za mało szacunku dla dobrej, rzetelnej pracy.

Jadę autobusem i wsiada elegancko ubrany, młody, a dobrze podпиты mężczyzna. Jedzie bez biletu. Na którymś przystanku wsiadł kontroler. — Jedziesz bracie bez biletu, będziesz płacił mandat. Słusznie. Ale nagle kilka kobiet z autobusu wystąpiło w obronę podpitego mężczyzny. Wtrącił się i mówię, że kontroler pełni swój obowiązek i każdy człowiek podejmując się pewnej pracy musi spełniać swoje obowiązki. I nie należy mu w tym przeszkadzać. Bardzo się to tym kobietom nie podobało...

Jeżeli jednak w jednym wypadku przymyka się oczy i występuje w obronę cwaniaka, to dlaczego w innym, kiedy samemu człowiek jest pokrzywdzony zgłasza się pretensję? To przecież nielogiczne, ale niektórzy tego nie rozumieją. Nie potrafią patrzeć szerzej na nasze sprawy. Ciągłe jeszcze myślą: moje i nie moje. To co moje to ważne, a to co nie moje, to niech się o to martwią inni. Dziś już tak nie można myśleć. Dziś już nie można być obojętnym wobec naj-

dla siebie, dla domu, a chyba sporo swego życia poświęciłam społeczeństwu, sprawom ogólnym. I to daje mi satysfakcję.

Budowniczy Polski.

— Czy wielkim zaskoczeniem było dla mnie nadanie Orderu Budowniczych Polski Ludowej? Ogromnym, rzeczywiście ogromnym. Nie wyobrażałam sobie, że mogę otrzymać tak wysokie odznaczenie. Zawsze myślałam, że takie ordery daje się ludziom już w podeszłych latach. Ale okazało się, że nie. Przecież Wanda Gościńska też otrzymała Order Budowniczych Polski Ludowej w młodym wieku...

W pierwszej chwili nie bardzo to mi wierzyłam, wydawało mi się, że to niemożliwe. Teraz przyzwyczaiłam się już do tego, że to fakt, ale też wiem, że mnie to zobowiązuje. W trudnych chwilach przypominam sobie zawsze, że Polska dała mi tak wysokie odznaczenie i że nie wolno mi, zawieść. I to mi pomaga.

Teraz mi łatwiej...

— Wychowałam dwie córki. Jedna jest już zamężna, druga niedawno poszła do samodzielnej pracy. Zostałam sama z mężem. Teraz spotykam się z dziećmi, kiedy potrzebują rady, pomocy czy serdeczności, kiedy do mnie po to przychodzi. Po 35 latach małżeństwa łatwiej jest porozumieć się z mężem, wytłumaczyć mu, że jeszcze musi na mnie poczekać. Zresztą on też ma swoje sprawy, ale narzeka. Czasem mówi, że mu przykro, sam chodzi na spacer, nie ma z kim porozmawiać, czuje się niczym wdowiec.

Za dwa lata skończy się moja kadencja jako posła, będę wtedy miała 56 lat i będę mogła skorzystać z prawa do wcześniejszego przejścia na emeryturę. Myślę, że wtedy będę miała więcej czasu na pracę społeczną, a i więcej czasu dla meża. Ale z pracy społecznej nie chciałabym zrezygnować.

Moje życie...

— Urodziłam się i wychowałam na Widzewie. Tu pracowałam całe życie. Zaczęłam w 1936 roku w „Widzewskiej Manufakturze” i pracowałam do

było to w 1938 roku, kiedy w naszej fabryce powstała pierwsza eksperymentalna szkoła przadki.

Instruktorką byłam do 1971 roku. Wtedy zostałam przewodniczącą Rady Zakładowej, a od roku jestem sekretarzem organizacyjnym w Komitecie Zakładowym partii. Prze-

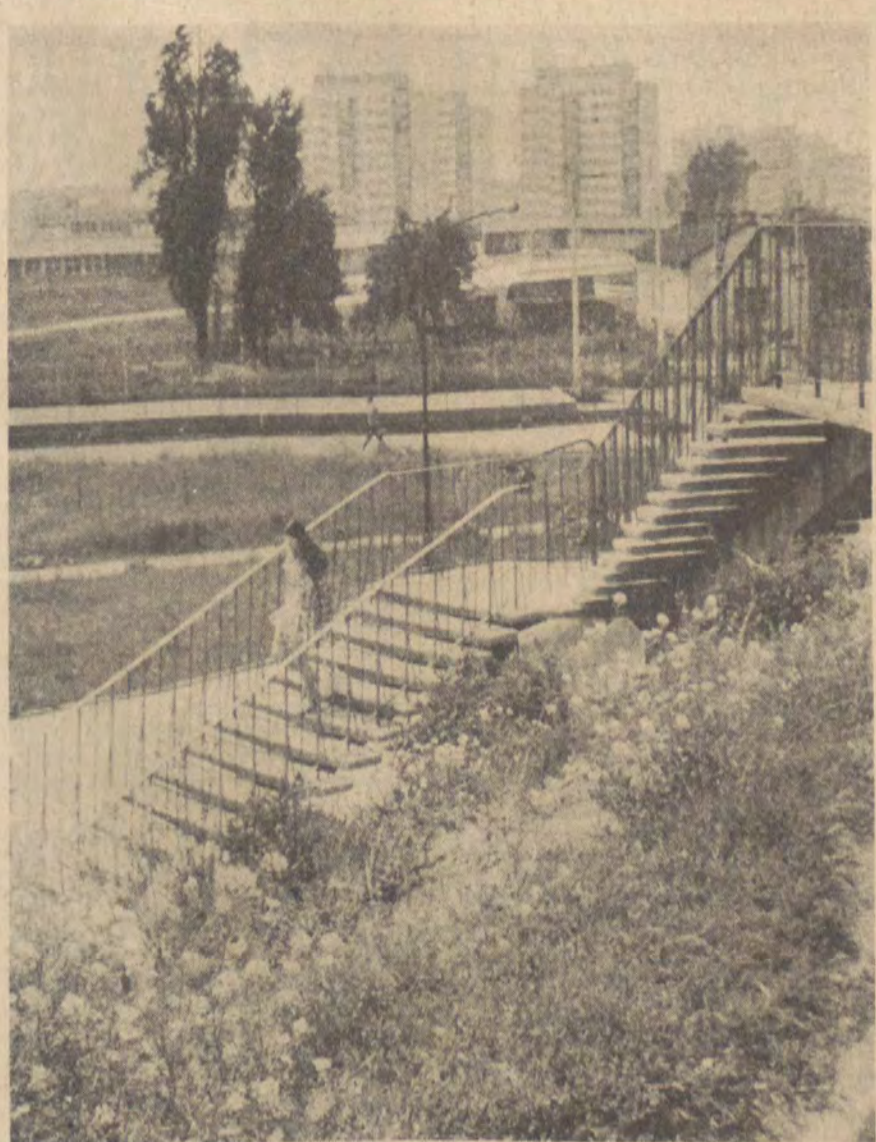


Foto: W. Parys

stałam więc pracować w swoim zawodzie, ale zaczęłam zajmować się sprawami ludzi, bo i w Radzie Zakładowej, i w Komitecie Zakładowym wiele jest takich spraw, ludzie tu przychodzą ze swoimi kłopotami, po radę i pomoc...

Przez wiele lat mieszkaliśmy w domu kunitzerowskim przy ulicy Kazimierza. Jedenaście lat temu rozegrali ten domek i dziś na jego miejscu stoi wieżowiec. Przeniosłam się wtedy do bloku. Ale muszę się przyznać, że z rozczuleniem wspominam czasy, kiedy gronał mieszkalni w tych starych, niewygodnych domkach. Zrobiłam sobie zdjęcie tego swojego, na pamiątkę. Mieszkałam tam wtedy wiele osób, było ciasno, było trudno, ale byliśmy jedną wielką rodziną. Żyliśmy nie jak sąsiedzi, ale naprawdę jak rodzina. Każda matka była ciocią dla dzieci swojej sąsiadki, często opiekowała się nimi na równi z własnymi. Dż nie ma już takiej zażyłości, nie ma już takich sąsiedzkich przyjaźni.

NA BAŁUTACH...



ne, natarte wonnościami. Jak wśród nich rozpoznać gangstera?

W marcu tego roku weszło do kawiarni „Jedyna” pięciu strojnych młocjów. Nastąpiła typowa uvertura: gaz i próba podważenia dziewczyny, siedzącej w towarzystwie okularknika. Goście ujęli się za niechętnym i dziewczyna, co bardzo rozowścieło młocjów. Zaczęli kłócić, tłuc butelki i szklanki, poszturchiwali przerażonych ludzi. Bufetowa nie dała się zastraszyć. Zamknęła na klucz drzwi wyjściowe i wydzwoniła milicję. I od tego momentu akcja rozgrywała się już nietypowo, świadcząc o tym, że bałucka chuliganeria całkowicie odcieła się od tradycji i nawiązała do najlepszych zachodnich wzorów.

Trzech młocjów zdołało przebić się na podwórko kuchennymi drzwiami. Skoro i te zostały zamknięte, a przyjazd milicji był już tylko kwestią minut, uciekinierzy schwyłali oaletającego się nieopatrznie na zaplecze perkusiste, zawlekli go do opuszczonej komórki w charakterze zakładnika, a potem jeden z nich wrócił pod zamknięte drzwi i zaczął wykrzykiwać, że jeśli dwaj jego przytrzaśnięci w lokalu kumple nie odzyskają natychmiast wolności, zakładnikowi stanie się straszne kuku.

Bufetowa jednak nie przyjęła zaproponowanej konwencji w stylu zachodnich ekstremistów i wszyscy młocjowie trafili do aresztu.

Nacoczny obserwator tych wydarzeń wspomina z wypiekami na twarzy: — Bałiliśmy się potem wyjść z lokalu,

musiała ubezpieczać nas milicja.

— Często zdarzają się takie incydenty?

— O to chodzi, że nie. Dzielnica jest cicha, spokojna, już nie pamiętam kiedy była tu jakaś większa draka. Przyzwyczailiśmy się już do bezpieczeństwa na ulicach, w parkach i lokalach i dlatego był to dla nas duży szok.

7.

— Bałuty mają ofiarną młodzież — mówi mi w Urzędzie Dzielnicy — Dzięki inicjatywie i wysiłkom młodzieży powstał pod Zgierzem, przy ulicy Sianokosy, dwudziestoosobowy park, który z czasem wzbogaci się w wiele obiektów rekreacyjnych. Inne bałuckie parki też są przebudowywane w czynie społecznym przez młodzież. Ten Helenowski zostanie wybitnie powiększony: dojdzie aż do ulicy Franciszkańskiej i połączy się ze Staromiejskim. Natomiast park im. Andrzeja Struga otrzyma całkiem nowy wystrój...

Co to znaczy „nowy wystrój”?

W towarzystwie Andrzeja Borskiego, który stosunkowo niedawno przejął się ze środowiska do bloku przy ulicy Przemysłowej, zwiedzam bałucki park Promienistych. Przygotowany jestem na brak niespodzianek. Z pewnym zniechęceniem myślę o tym, co zaraz zobaczę i co powtarza się do znudzenia w każdej łódzkiej „oazie zieleni”: lawki, marmurowe stoły do

gry w warcaby, przy których z zaskądym siedzą karciarze; może jakaś fontanna, staw z labiryntami? Parki są miejscem gnuśnego wypoczynku; poza powietrzem nie ma tu zazwyczaj nic godnego uwagi: letniego kina, kawiarni, nawet kiosku, gdzie można ugasić pragnienie. Nie oszukujmy się! Przebywanie w parkach podczas upalnej pogody jest morderką. Widząc polegających na trawie ludzi, którzy popijają herbatę z termosów albo półlitrowek i opędzają się przed znużonymi, rozkapryszonymi dziećmi, mam chęć popelnić samobójstwo.

— A mnie — mówi Andrzej Borski — doprowadzają do szału najprzeróżniejsze przestrogi i zakazy. Nie ślęgać się, nie kap, nie graj w piłkę, nie wstaw na drzewa... Rozumiem, że trzeba szanować zieleni, ale znowu bez przesady... Uczciwi ludzie boją się gwałcić przepisy, w związku z czym z pełnej swobody korzystają w parkach tylko dzunglerzy.

— Kto to są dzunglerzy?

— Nie wie pan?

— Nie.

Borski patrzy na mnie z pobłażliwością. I rozwija wstydlivy temat...

— Przecież dzunglerza spotkać można w każdym łódzkim parku, a już szczególnie w Łagiewnikach. Dzungler to zagorzały miłośnik samotnych spacerów, chylkiem, na palcach przeciskający się między krzakami. Spójrzcie na dzunglera jest czujnie i płochliwie, a twarz spoczną i napietą podnieceniem. Dzungler to znowa zakochanych, postrach kobiet, które opalają się na ustronnych polankach. W każdym komisaracie znaleźć można wiele skarg na dzunglerów, ale milicja ma

Dalszy ciąg na str. 6

TRZY KORONY SZPULA i SZOPEN

Po prawej stronie torów kolejowych rozpanoszyła się na dobre Retkinia; bije szpicą bloków w zielony krajobraz, jeszcze skok i las, i ospały, willowy Lublinek. Jakby Łódź chciała osiągnąć Pabianic...

Kiedy pociąg mija Retkinie, w przedziałach rozpoczynają się dyskusje. Pociągami z Łodzi do Pabianic i odwrotnie jeżdżą robotnicy, inżynierowie, lekarze, artyści, urzędnicy, profesorowie wyższych uczelni, młodzież szkolna i studencka. A więc bez opisów literackich postaci, bez komentarza, głosy anonimowych rozmówców.

— Łódź dojdzie do Pabianic i powstanie jedno wielkie miasto.

— Brednie! Pabianice uciekają od Łodzi. Na zachód i ku południowi. Piaski, Wileńska—Wschód, Wileńska—Zachód, Osiedle im. Żukowa, Karolewska—Cicha. Tam mieszka już prawie 20 tysięcy ludzi.

— Właśnie! Teraz dojdzie jeszcze osiedle „Przy Petli”, gdzie kończy bieg tramwaj linii 41. Dwa 11-kondygnacyjne bloki tam staną, po 130 mieszkań każdy. I tutaj, proszę pani przynieść się centrum Pabianic. Dworzec blisko, autobusy, tramwaj.

— Ja mieszkam na Starym Mieście. Uroczy zakątek, ale pozbawiony tego wszystkiego, co potrzebne w codziennym życiu. Z pociągu nie korzystam, bo za daleko, autobusy MPK objeżdżają miasto, ale bocznymi ulicami, a tramwaj, ten „symbol” wielkomiejskiego życia? Miasto jest kieszonkowe i trzeba się trząść ładnych parę kilometrów aby je przejechać do parku Wolności po Duży Skret.

— Ani Piaski, ani Wileńska nie będą centrum. Ono pozostanie, już po przebudowie, w okolicach placu im. Obrońców Stalingradu. Tu skupi się sieć placówek kulturalnych, handlowych, usługowych, tu stanie dziesięciopiętrowy hotel na 300 miejsc...

— Ale chyba zgodzi się pan, że miasto powinno uciekać od szkodliwych wpływów przemysłu?

— Zgadza się! Piaski i Wileńska są dobrze usytuowane. Stare fabryki, niektóre szkodliwe dla otoczenia oddziały, zakłady, które chcą się odwarzać, będzie się wyrzucać na północ, za tory, w stronę Łodzi.

— Ja bym zlikwidował spółdzielnię pracy i utworzył jeden duży zakład. Taka spółdzielnia produkuje marnie, wartość 20 mln rocznie, a ile przy tym zachodu, kłopotów, biurokracji.

— Nie po to przyjeżdżamy z Warszawy Krajowy Związek Spółdzielni Włókienniczych, aby teraz postawić na spółdzielczość kreczę. Sklepy, branżowe rozsiadanie po całej Polsce, ustalona, liczna klientela...

— W Pabianicach jest tylko 17 spółdzielni. Trzeba myśleć ekonomicznie. Wartość rocznej produkcji jednej spółdzielni stanowi 1 proc. wartości produkcji „Pamotexu”...

Dyskusje się kończą, już dworzec, opleciony dzikim winem, w cieniu starych drzew. Stąd można wyjechać do Łodzi i Warszawy, do Lublina i Lublinka, Częstochowy, Wrocławia, Gdyni, Szczecina, nawet do NRD. W godzinach rannych, południowych, wieczorem pociąg zabiera lub wyrzuca z siebie setki ludzi; codziennie, w tym również tramwajami, do pabianickich zakładów przemysłowych przyjeżdża z Łodzi i okolic około 5 tysięcy ludzi i tyleż samo wyjeżdża do pracy w Łódź.

A kiedyś, w połowie lat dwudziestych, Władysław Rybak, 15-letni chłopak na posyłki u Krusche-Endera, przynosił do ciasnych facjatek i brudnych familiaków kupę radości: fabryka szła dwa — trzy dni w tygodniu, więc Rybak powiadamiał Weberów, kiedy trzeba stawiać się do roboty.

Pabianice były miastem włókienniczym...

Wacław Hetman, instruktor Wydziału Ekonomicznego KM PZPR:

— Do dziś w okolicznych wsiach, choćby w Woli Zaradzińskiej czy Ksawerowie, słychać turkot krosien. W samym mieście były drobne, kapitalistyczne zakłady i jeden wielki „Krusche-Enders”. Monokultura przemysłowa: 95 proc. gospodarki stanowił przemysł lekki, reszta to chemia — papiernia, szwajcarsko-polska spółka farmaceutyczna i zaczątki fabryki żarówek. Obecnie przemysł lekki stanowi połowę potencjału gospodarczego miasta; Łódź i województwo wypychają nam zakłady terenowe i odwrotnie, tworzą się trzy podstawowe grupy branżowe: zakłady przemysłu lekkiego, przemysł elektrotechniczno-maszynowy oraz chemiczny i rolno-spożywczy. Ten przewrót rozpoczął się w latach pięćdziesiątych, kiedy do Pabianic wkroczył łódzki „Strzelczyk”, teraz jest to prawie samodzielny zakład, prowadzący pełny ciąg produkcyjny, monopolista w produkcji szlifierek. Powstają nowe zakłady: Pabianicka Fabryka Narzędzi — „Narzędziówka”, jedyny w kraju producent noży tokarskich oraz Zakład Budowy i Remontów Maszyn Drogowych „Madro”; rozbudowano „Żarówkę”, czyli Zakład Lamp Żarowych, który wyprodukował już ponad miliard żarówek; aktualnie „Żarówka”, jako jedyna w kraju, wytwarza lampy specjalne i samochodowe, błyskowe itp. Modernizacji i rozbudowie uległy zakłady farmaceutyczne „Polfa” a „Tkaniny Techniczne” Srodki Opatrunkowe i Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Palla”, specjalizujące się w szyciu

odzieży damskiej, głównie młodzieżowej, to inwestycje odwrotnościowe.

— Czy aktualnie buduje się jakiś nowy zakład?

— W IV kwartale ub. roku rozpoczęto budowę nowoczesnej mleczarni, ukończenie inwestycji nastąpi w pierwszej połowie 1976 roku. Całość, na którą składa się zakład przetwórczy, budynek administracyjny i baza transportowa, kosztować będzie ponad 150 mln zł. Dzięki nowoczesnym, wysoko wydajnym urządzeniom, mleczarnia będzie przerabiała około 240 tys. litrów mleka na dobę. Urząd Wojewódzki zaliczył OSM do inwestycji ważnych dla regionu łódzkiego, a więc priorytetowych.

— A jak jest z zatrudnieniem?

— Do roku 1970 Pabianice były miastem, w którym notowano najwyższą aktywność zawodową mieszkańców. Do dziś zachowała się najwyższa w kraju aktywność zawodowa kobiet. Oczywiście w przemyśle, bo w handlu, usługach, służbie zdrowia istnieją poważne zaległości. Mamy wysoko uprzemysłowane miasto, ale jednocześnie znajdujemy się między młotem a kowadłem: z jednej strony Łódź, a z drugiej — Bełchatów. Już teraz czuje się podbieranie ludzi przez Bełchatów. I dlatego, począwszy od roku 1970, znów poczęliśmy inwestować w przemysł lekki.

— To wygląda na cofanie się do czasów powojennych.

— Przeciwnie, to jest postęp. Idzie o modernizację. Musimy modernizować przemysł lekki ze względu na duży stopień zużycia maszyn, budynków i narzędzi, które wpływają ujemnie na poziom pracy i kształtowanie się warunków socjalnych, a od tych ostatnich zależy, czy będziemy mogli zatrzymać w mieście fachowców. Nakłady inwestycyjne na modernizację już procentują: dynamiczny wzrost produkcji większy od średniej wojewódzkiej. Inaczej: jako ośrodek przemysłowy dajemy 18 proc. wartości produkcji Ziemi Łódzkiej. Oczywiście gros nakładów na modernizację poszło do „Pamotexu”. To jest potencjał przemysłowy, jeśli u nich nie wychodzą plany, odczuwa to natychmiast miasto...

Mury fabryczne rozrzucone na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych: przy Traugutta tkalnie i przedziałnie, wykończalnia na Marchlewskiego, przedziałnie przy Grobelnej, tkalnia — centrala przy Kilińskiego, brudna Dobrzyńska wbiła między czerwone mury przedziałni przy ul. Armii Czerwonej, przedziałnia odpadkowa na Żymierskiego. Trudności transportowe, od cholery portierni, bo Krusche z Enderem nie myśleli o spadochroniarzach, dostawali budy, jak leciało, były tylko wysysać z nich jak najwięcej forsę.

Starsi robotnicy mówią, że pracują u Endera, niektórzy, że u „Kruszendera”, dla nich pozostały też dawne nazwy: „Spalona Tkalnia”, albo „Łąki”, bo oddział zbudowano wśród łąk. Pełna nazwa zakładów: Pabianickie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 r. W 1905 strajkowali robotnicy i młodzież szkolna, stąd nazwa dla upamiętnienia tamtych wydarzeń. Najpopularniejsza nazwa: „Bawełna”, eksportowa — „Pamotex”.

Przez te mury przewija się każdego dnia 7 tys. ludzi, w Moszczynie, filii „Bawełny” (dawne enderskie tkalnie i przedziałnie) pracuje ponad dwa tysiące ludzi. W największym mieście

Ziemi Łódzkiej największy zakład przemysłowy w województwie: czekający w sklepach kolejkach mówią, że trzeba się spieszyć z zakupami, bo zaraz wyjdzie ten „kołchoz” i wszystko wykupi. W takiej masie ludzkiej giną drobne sprawy, trafiają się zgrzyty. Ot, ma facet 20 dni zwolnienia, lekarz stawia pieczęć, zakrywa pieczęcią zero, w rachubie liczą zasilek chorobowy za dwa dni i awantura gotowa, łącznie z pisanem skargi do prasy.

Szefowa działu osobowego, socjolog Maja Strzyńska:

— Wraca chłopak z wojska, kierownik pakuje go do transportu, a to odstrasza. Z transportem nie tego, już Bełchatów kradnie kierowców. Dziś nie te czasy, można uciec tam, gdzie lepiej, do budownictwa, na przeszkolenie do „Madro”, po którym łatwo da się zarobić trzy tysiące. Teraz ludzie stawiają warunki. Najtrudniejsze są sprawy kobiet, które stanowią ponad 65 procent załogi; proponuje 10 prac, ale to palec boli, to oko, żadna praca nie odpowiada, a jak nie ma to „ja pójdę wyżej, albo napiszę”.

Placze kobieta i mówi, że ma ją bije, na dzieci nie płaci. Proponuje rozwód, ale ona nie chce. Możemy, mówię, sami skierować sprawę do sądu o alimenty. „Co ja mam własnego męża ciągnąć do sądu?” I bądź tu mądry...

— Ale to są sporadyczne wypadki, nie ma też nagminnego, samowolnego opuszczania pracy, za pijaństwo i kradzież zwalnia się natychmiast; fachowcy pozostają, bo podpisują umowy na stypendia, a starsi pracownicy przychodzą i mówią: „To ja tu dwadzieścia lat pracuję i nie ma miejsca dla mojego dziecka w fabryce?”

Podczas uroczystych pożegnań emerytów, z kwiatami, upominkami, trafiają się wzruszające scenki: izy i prośba o dalsze pozostanie w zakładzie. Proszę, wypowiedzieli z ankiet socjologicznych: „Tutaj pracowałem mój pradziadek, zawsze jeden drugiego wciągał do roboty”. „Moja rodzina zawsze tu szpuluwała (pracowała na przedziałni — przyp. R.B.).

Niech pan popatrzy, to są całe rody włókiennicze: Alina Kade, prądka na niedoprzędzarkach, tak samo matka i siostra; Henryka Kosmalka, prądka od 1946, jej matka i babka też były prądkami; tkacz Eugeniusz Płócienniczak, dziś krochmalarz, rodzice tkacze; dziadkowie i ojcowie Cieślaków pracowali jako przedziałnicy, ich dzieci i wnukowie — Józef, Tadeusz, Czesław — pozostali w zakładzie, ale już jako pracownicy umysłowi. A jeśli by pan chciał coś odmiennego, niezwykłego, to jest jeszcze ten dyrektor, o którym wspominałem uprzednio...

Siedzę przed człowiekiem, który z pewnością zahamowaniem i nie ukrywaniem wzruszeniem sięga pamięcią do lat swojego dzieciństwa. Urodził się w wielkiej kamienicy czynszowej przy ul. Marińskiej. Ojciec był tkaczem, w roku 1919 bieda, toteż musiał jeździć po okolicznych wsiach i sprzedawać chłopom maszyny do mielenia zboża, aby wyżywić rodzinę. Zabili go w lesie dętowskim, zabrali uciętą głowę, pozostawiła wdowa z dwoma chłopakami, jeden, zaraz po ukończeniu podstawówki, musiał iść do roboty. W czerwcu 1925 roku rozpoczął u Endera pracę w małej drukarni i jednocześnie biegał na posyłki.

Nie ma żadnej pomyłki, mój rozmówca nazywa się Władysław Rybak,

tylko że teraz pol mnie kawą i częstuje carmenami, a na drzwiach wisi tabliczka z napisem: „Z-ca dyrektora d/s administracyjno-handlowych”.

Przeglądam się Rybakowi i wierzę mi się nie chce, że ten wyprostowany, o pewnych ruchach i młodej, pogodnej twarzy, energiczny mężczyzna, pięćdziesiąt lat życia przetrwał w jednej fabryce i niebawem przejdzie na emeryturę. Ale to się zaraz wyjaśni, bo toczą się mistrzostwa świata w pilce nożnej i tego nie da się pominąć w rozmowie. Wyrażamy opinie na temat szans Polaków, kiedy nagle Rybak podstawił mi pod nos rozwartą dłoń i mówi:

— Widzi pan ten krzywy kciuk? Złamał mi go wtedy, jak grałem w bramce. Ale moją koronną konkurencją była lekka atletyka, jakkolwiek grałem też w kosza i w siatkówkę. Podreperowałem się trochę finansowo, kiedy ukończyłem roczny kurs handlowo-buchalteryjny i objąłem funkcję pisarza w oddziale bielnika; nie oznaczało to jednak, że stałem się bogaczem, ponieważ kolce mogłem sobie kupić na raty. Ale tak właśnie było, sprzęt kupowałem się samemu, jednak dzięki zapłaconemu i samozaparcu osiągałymi niezłe, jak na ówczesne czasy, wyniki, a przykładem może być Wajsońska, która uprawiała sport w Pabianicach w tym samym okresie, co ja.

Jako 16-letni chłopiec zdobyłem 7 miejsce w pięcioboju na mistrzostwach Polski w Bydgoszczy; byłem wieloletnim mistrzem okręgu łódzkiego w pięcioboju i dziesięcioboju, w roku 1933 zostałem sklasyfikowany w tych konkurencjach na czwartym miejscu w Polsce. Gdyby na sport przeznaczano te setki tysięcy złotych, co dziś, Pabianice byłyby potęgą sportową w kraju. Nadal żywo interesuję się sportem, gnębi mnie jednak „nieszportowa” atmosfera, ten handel zawodnikami, ale wcale nie twierdząc, że gwiazdy powinny pozostać w Pabianicach, bo w otoczeniu szarych, przeciętnych zawodników te gwiazdy szybko by zgasły...

W trakcie tej wstępnej rozmowy i na podstawie przedstawionych dokumentów odnotowałem w skrócie karierę zawodową dyr. Władysława Rybaka: chłopiec na posyłki, pisarz w oddziale bielnika, mistrz bielnika, kierownik bielnika i apretury białej, dyspozytor wykończalni, kierownik wydziału wykończalni, z-ca dyr. d/s wykończalni, z-ca dyr. d/s administracyjno-handlowych. Uszeregowałem też zdobyte przez Rybaka odznaczenia i spisałem pełnione przez niego funkcje społeczne: Medal X-lecia, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, a z odznaczeń honorowych — Złota Odznaka Zasłużonego dla Przemysłu Lekkiego, Złota Odznaka Zasłużonego Działacza Sportu i Turystyki, Złota Odznaka PZLA, Srebrna Odznaka PZPN. Wśród odznaczeń znalazłem również Brązowy Medal za Odwagę i Odznakę Honorową.

Władysław Rybak przez 3 kadencje był radnym — MRN, przewodniczył Organizacji Technicznej w „Bawełnie”, pełnił funkcję prezesa KS „Włókiennik”, ostatnio przez pięć lat był prezesem Okr. Zw. Lekkiej Atletyki „Zemia Łódzka”.

Sekretarz KZ PZPR, tow. Samol:

— Nasz zakład wywiera nie tylko na życie gospodarce miasta, ale widzie prym w sporcie. Prowadzimy największy klub sportowy na Ziemi Łódzkiej, na jego utrzymanie przeznaczamy ok. miliona złotych. Aktualnie — Widocznie takie są potrzeby miasta.

— Właśnie. Potrzeby, o których w sześćdziesiątym siódmym roku nie mieliśmy zielonego pojęcia. Pisaliśmy wówczas w dobrej wierze, że Łódź dynamicznie się rozwija. Teraz widzę, że była w tym duża przesada. Łódź rozwijała się powoli, a kiedy po grudniu zaczęła przyspieszać, wszystkie horoskopy trafiały szlag.

9.

Stosowany od wielu lat szablon reporterski polega na wychwalaniu i wyolbrzymianiu osiągnięć przemysłowych, stawianiu nowych osiedli i utyskiwaniu (to można robić bezpiecznie) na kulturze.

Jakkolwiek czynię najszczerze wysiłki, nie bardzo udaje mi się z tego szablonu wyzwolić. Ranga przemysłowa dzielnicy nie podlega dyskusji. Moje zachwyt nad nowymi osiedlami, parkami, poszerzonymi i wyasfaltowanymi ulicami są uzasadnione; podziela je zapewne większość łodzian. Kiedy jednak przychodzi pisać o kulturze, bez której sylwetka największej łódzkiej dzielnicy byłaby niepełna, czuję się bezradny wobec narzucających się stereotypów myślenia.

Na przykład: na terenie tego wielkiego, dwustuttrzydziestopięciotysięcznego „miasta”, nie ma ani jednego teatru. No tak... są autobusy i tramwaje. Jwa, trzy przystanki i festyśmy w tródmieściu. Jednakże dla kogoś znającego Łódź, kogoś, kto nie zna mapy administracyjnych podziałów, pewna „waga” Bałut (od placu Wolności aż do Timanowskiego) wydaje się przynależną do centrum, w związku z czym brak jakichś silniejszych akcentów kulturalnych rzuca się w oczy. Tętno jest przecież nie tylko widownia dla publiczności i scena dla aktorów; jego obecność wywiera wpływ nawet na tych, którzy do niego nie chodzą i nigdy chodząc nie będą; jest miejscem spo-

Zdjęcia wykonał WŁODZIMIERZ PARYS

NA BAŁUTACH...

(Dalszy ciąg ze str. 4)

utrudnione zadanie, jako że nieobyczajność tych przedziwnych stworów trudna jest do udowodnienia.

O czym ten Borski gada? Park „Promienistych” robi na mnie dobre wrażenie. Nie miałem pojęcia, że znajdują się tutaj dwa boiska z elektrycznym oświetleniem, które jest przecież dla każdego sportowego obiektu luksusem. Nie wiedziałem, że jest w tym zakątku

ku taki piękny basen... Gdyby pozostałe bałuckie parki były budowane lub modernizowane pod tym kątem, gdyby na dodatek wyposażać je w restauracje i kawiarnie...

— Nie można zrobić wszystkiego od razu — mówią bałuccy działacze. — Są sprawy pilne, mniej pilne i problematyczne...

8.

Nie wątpię, że w rzędzie tych pilnych spraw znajduje się budowa wielkiego kolektora ścieków, które nie miały dotąd na Bałutach odpowiedniego ujścia.

Dalsze uzbrajanie terenu w sieć kanalizacyjną, wodociagową i ciepłą jest wymogiem pierwszej potrzeby. Przemysł też nie może czekać. Na Radogószce kształtuje się wielka dzielnica przemysłowa. Na Zabieńcu — bazy magazynowe zakładów produkcyjnych Bałut, podobnie zresztą jak cała Łódź, tętni już nie tylko rytmem krosien. Owszem — „Marchlewski”, „Wróblewski”, „Harnam”, „Fako” ale także „Polfa”, „Wuko” (urządzenia komunalne), „Delta” (sprzęt mechaniczny), „Skogar” (kombinat skórzaný), „Famed” (aparatura medyczna), „Stomil”, „Elta” i kilka innych, niewłókienniczych zakładów.

W listopadzie sześćdziesiątego siódmego roku spędziłem parę dni na Bałutach, zbierając materiał do reportażu o budowie EC-III. W reportażu tym pisałem przede wszystkim o ludziach: robotnikach, technikach, inżynierach, którzy w dramatycznej, nierzadko konfliktowej atmosferze, wznosili owa ważną inwestycję. Ale przecieko tam również trochę cyfr.

W 1946 roku Łódź dysponowała 100 gigakaloriami ciepła.

W 1967 roku — 440 gigakaloriami.

Pisałem w dwuletnim wyprzedzeniu: „W 1969 roku, wraz z dynamiczną rozbudową miasta, potrzeba będzie już

560 gigakalorii, a na tę nadwyżkę czeka się właśnie od EC-III. Gdyby EC-III nawaliła, to byłby w Łodzi, powiedzmy, kataklizm. W mieszkaniach i fabrykach zabrakłoby gorącej wody, trzeba by przebudowywać wnętrza, stawiać kamionki i piece, niewykluczone, że zostałyby zakłócone cykl produkcyjne przemysłu”.

— Ale EC-III nie nawaliła. Nawaliła za to moje (i nie tylko moje) rachuby. Pisałem naiwnie:

„Zdajemy sobie sprawę z korzyści, jakie przyniesie Elektrociepłownia: 505 gigakalorii ciepła (jedna gigakaloria można ogrzać tysiąc izb), 180 ton pary technologicznej, 200 MG energii elektrycznej, która, gdyby jej było za dużo, można transmitować do innych województw, a nawet za granicę. EC-III będzie jedną z najekonomiczniejszych inwestycji tego typu w kraju, a może nawet w Europie. Do EC-III podłączonych zostanie około dwięćdziesięciu zakładów przemysłowych, co zlikwiduje w zadymionej Łodzi co najmniej sto kominów. Poprawi to automatycznie warunki higieniczne miasta: mniej popiołu, śmieci i sadzy, więcej czystego powietrza”.

Czas okazuje się bezlitosny dla moich (i nie tylko moich) horoskoców.

Owszem, warunki higieniczne, znacznie się poprawiły, ale gdzie tu mówić o zbędnej nadwyżce energii elektrycznej, skoro zaistniała konieczność budowy nowej, CZWARTEJ elektrociepłowni na Widzewie?

— Coś tu się nie zgadza — mówię z pretensją do znajomego inżyniera.

A on:

— Raz już sparzył się pan na tej elektrociepłowni, niech pan da spokój.

— Kiedy chciałbym zrozumieć, jak to właściwie się stało, że nie tylko buduje się nową, rzeczywistie ogromną elektrociepłownię na Widzewie, ale w dodatku gwałtownie rozbudowuje tę starą na Bałutach.

— Ale pilkarze nie weszli do drugiej ligi, koszykarki po roku spadły z pierwszej ligi...

— Pilkarze szykują się do wejścia w przyszłym roku, a koszykarki? Przecież nie można grać w lidze dziewczynkami, że szkoły! Gdyby pójść na bakier z etyką, kupić trzy — cztery zdrowe dziewczyny... Nam to jednak młodsze zdobyły mistrzostwo Polski w koszykówce...

— Mówią, że bliskość Łodzi wpływa niekorzystnie na rozwój sportu w Pabianicach.

— Dobrze mówią, bo Łódź kradnie zawodników. Ale z drugiej strony, to co by robił taki Drozdowski czy Gapiński w klasie okręgowej? Nikt by o nich nie słyszał. Możemy się za to pochwalić tradycjami: olimpijczyce — pięściarz Nowak i dyskobolka Wąsowska, a w nowszych czasach — samolot nad stadionem, kilkanaście tysięcy kibiców i pilkarze „Włókniarza” w II lidze! Doczekamy się jeszcze ich powrotu, na pewno...

— Słyszałem, że w ośrodku sportowo-wodnym na Bugaju można dostać świeżych ryb, a w parku Wolności bezmyślnie wycięto starodrzew. Co towarzy o tym sądzi?

— Ludzie często nie bez racji patrzą krytycznie na pewne sprawy. Dzięki ich uwagom udaje się nieraz naprawić błędy pomysłodawców i wykonawców inwestycji. Bugaj obliczono na 2 tysiące ludzi, a przyjeżdża tam w niedzielę 8 tysięcy. Woda z rzeczki zamulona, ale już buduje się duże studnie głębinowe i będzie dobrze. W Parku Wolności wycięto stare drzewa, chociaż można było tego uniknąć, ale Park Wolności, z boiskami, asfaltowymi alejkami, kawiarnią, stawami, to prezent, jaki pabianiczanin sprawił sobie sami na 30-lecie w czynnie społecznym, i to jest cenne. Ja osobiście, nie lubię drzew oblanych betonem i ptaków w klatce, coś takiego widzę np. w Parku Słowackiego, ale trzeba patrzeć sprawiedliwie i obiektywnie na to, co się w mieście dzieje. Trzeba pamiętać, że wszystkie obiekty sportowo-rekreacyjne uzyskały Pabianice dopiero w Polsce Ludowej. Niebawem przybędzie miejsca do wypoczynku, ponieważ zalesi się ląki między ośrodkami na Bugaju i lasem miejskim, zostanie też oddany do użytku basen otwarty na stadionie PTC. Może to jeszcze mało, jak na potrzeby 65-tysięcznego miasta, ale i tak jest się czym pochwalić...

— Wiadomo było — mówi Władysław Rybak — że jeśli ruszy zakład, to odżyje miasto. U Kruschove wszystkie stanowiska kierownicze i mistrzowskie obsadzone były przez Niemców. W styczniu 1945 roku wszyscy oni uciekli, niszcząc częściowo fabrykę, wrzucali np. granaty do drukarni, która została całkowicie spalona, podobnie jak tkalnia „Centrala”. Polacy ratowali, gasili pożary, zabezpieczali mienie. Wraz z garstką pozostałych polskich robotników zajęli się uruchamianiem całego bielnika i apretury białej, farbiami i częściowo drukarni. Kotłownia zniszczona, a bielniku pozostawiona na mokro, zmarnięta tkanina, która mogła zepsuć się w toku procesów chemicznych: paliłszy na salach w piecach kokosowych i dzięki temu uratowaliśmy 600 tys. m. tkaniny, która, bez apretury, po samym tylko wybieleniu, poszła na bieliznę dla Wojska Polskiego.

Fabryka ruszyła, bez fachowców, całą technologią kierowało dwoje ludzi na wykończalni: mgr Świątkowska z laboratorium i technik H. Sumiński; w tej chwili na wykończalni pracuje 30 inżynierów...

W pierwszym okresie nikt nie pytał o zapłatę, pracowano bez ograniczenia czasu, za obłady, które wydawała uruchomiona w zakładzie kuchnia; na kursach dokształcających robotnicy zdobywali kwalifikacje i obejmowali funkcje mistrzów i kierowników oddziałów; ja najpierw ukończyłem Technikum Włókiennicze, a potem... Na bielnik przychodził inżynier Klimmek, wymyślał różne reakcje, wzory, kwas siarkowy, solny, wie pan, ha-czyki mi robił, i ja się w tym gubiłem. Pomyślałem, że nie dam rady, że muszę pogłębić wiadomości i dlatego wstąpiłem na Wydział Chemii, UL, a później na włóknio w PE, nie odrywając się, rzecz jasna, od pracy. Egzamin na PE zdawałem u Klimka, bo on został rektorem.

Wiem, że zdobył dyplom z zawodu, ale większość zasług przynajmniej, która przejęła cały ciężar obowiązków w prowadzeniu domu i życia rodzinnego.

Zmieniały się moje warunki pracy, zamieszkałem w nowym mieszkaniu, z wolna przeobrażało się miasto, ale wciąż straszły ciśnie, brudne uliczki robotniczego Bugaju, fabrykanckie familiaki, a wielka kamienica przy Marińskiej, z gołębiarni, królikami, awanturami rodzinnymi, jak stała, tak stoi...

Instruktor Wydziału Ekonomicznego KM PZPR Wacław Hetman:

— Stary Bugaj ginie, na jego miejscu rośnie osiedle im. Kopernika. Cztery bloki już stoją, trzy po 75 mieszkań, jeden na 50 mieszkań; dwa pierwsze zostaną zasiedlone 15 lipca. W przyszłości „nowy” Bugaj będzie liczył 20 tys. mieszkańców. W bieżącym roku PSM odda do użytku 450 mieszkań, Urząd Miejski — 70; rozpocznie się też budowa bloku zakładowego wznieszonego przez „Madro”; wiosną zasiedlono pierwszy w województwie blok patronacki ZMS. W obecnej pięcioletniej perspektywie ok. 2600 mieszkań, a w następnej, zgodnie z decyzją Plenum KM PZPR — 4600.

Znikną osiedlowe kotłownie, przybędzie wykopków, ale jest to konieczne, ponieważ uporządkowanie Śródmieścia nastąpi dopiero po wybudowaniu ciepłowni, a z tym wiąże się połączenie kilometrów magistrali ciepłowniczej i kanalizacyjnej; miasto będzie liczyć w przyszłości 100 tys. mieszkańców, należy więc uruchomić drugostronne zasilanie w wodę; wolniej postępuje zmiana nawierzchni ulic, szybciej powstają pawilony handlowo-usługowe, m.in. przy ul. Żukowa. Ostatniej Traugutta.

Są i drobne prezenty na 30-lecie: drugi etap rozbudowy Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego, przedszkole na osiedlu Wileńska-Wschód, Dom Mielowy przy ul. Bagatel, pawilon handlowy przy ul. Montuski. Wreszcie inwestycja najpoważniejsza, która budziła niepokój wśród mieszkańców, gdyż miała zostać zlokalizowana w Łasku: w tym roku nastąpi akt erekcyjny pod budowę szpitala miejskiego z prawdziwego zdarzenia. Koszt budowy wyniesie ok. 200 milionów...

— Pabianice się zmieniają zwracam się do dyrektora Rybaka — a wasz zakład?

— To mogą zauważyć tylko starsi pracownicy, młodzież przychodzi na nowe, zastane. Na początku myśmy nie znali apretur, takich jak wodoodporne, non iron, finish; produkcja kształtowała się w granicach 70—80 tys. m. tkaniny dziennie; obecnie zwiększyliśmy produkcję czterokrotnie, wyprodukowaną w ciągu doby tkaniną można by wyłożyć drogę z Pabianic do Warszawy i z powrotem. Ilość może jednak nie jest tak istotna, jak jakość tkanin i bogactwo gatunków: „Bawełna” daje dla kraju i zagranicy m.in. tkaniny białe (popeliny koszulowe, batysty, fulary barwione i drukowane, flanely drukowane i białe), tkaniny pościelowe, odzieżowe popeliny płaszczowe, sukienkowe drukowane, podomkowe, specjalne (obuwkowe, namiotowe i inne). Wartość produkcji w roku 1973 — ponad 2 mld zł, plan na rok bieżący 2 600 mln zł. Około 20 proc. naszej produkcji idzie na eksport, głównie do krajów azjatyckich, afrykańskich i krajów Europy zachodniej.

— Kiedyś na drukarni lub na parownikach sztuki tkaniny łączyło się drutami, taki drut często zaczął się o wałki i wtedy trzeba było wchodzić do piekarni gorącego „pieca”...

— Posiadamy obecnie maszyny do zszywania tkaniny na mokro i sucho, więc materiał się nie zrywa. Na podkreślenie zasługuje fakt, że wyniki, jakie osiągamy, należy zawdzięczać milionowym nakładom na modernizację; w miejscu starej wykończalni wybudowaliśmy nową, najnowocześniejszą w Polsce, budujemy dużą kotłownię — mamy w planie wnie-

uzupełniać na własną rękę, gdyż w naszej chlewni zawsze podpasą się 100 tuczników; mamy własny ośrodek w Sulejowie na 140 miejsc i ośrodek kolonijny w Kolumnie (250 miejsc, w przyszłości — 450). O naszej działalności sportowej już pan wie, ale warto się jeszcze pochwalić szkołą przyzakładową, która daje nam doskonałych młodych fachowców: tkaczy, przedziałników i wykończalniaków. W budowie znajduje się Miedzynakładowy Ośrodek Zdrowia, a w naszym własnym, już istniejącym, z 11 gabinetami specjalistycznymi, pracuje 18 lekarzy. Dalej: żłobek na 90 miejsc, trzy przedszkola w Pabianicach, jedno w Moszczenicy, no i wreszcie Zakładowy Dom Kultury z siedmioma zespołami artystycznymi, którego działalność promieniuje na całe miasto...

Jeden z pracowników KM MO powiedział mi, że „mocne życie kulturalne” toczy się w Pabianicach wieczorem i nocą, zwłaszcza po festynie w Parku Wolności, w „Mordowni”, w „Powszechniej” i „Stylowej”, gdzie pracują na portfelach i męskich uczuciach „działaczki” marginesowe, nie mówiąc już o „Mocce”, gdzie przed laty odbył się pierwszy w województwie striptease na stoliku, ale teraz jest to już zupełnie inna kawiarnia...

Kierownik Miejskiego Ośrodka Propagandy Partyjnej, Kazimierz Michałski:

— Pabianice to miasto, które walczyło o wyzwolenie narodowe i społeczne, miasto mające olbrzymi wkład w rozwój gospodarczy, polityczny i kulturalny, odznaczone w 1966 r. Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Już w okresie międzywojennym Pabianice były znaczącym ośrodkiem życia kulturalnego, wychodziła „Gazeta Pabianicka”, której tradycje kontynuuje „Życie Pabianic”. Tutaj urodził się J. Lorentowicz, pisarz teatralny i wydawca, z tym miastem związany był historyk, M. Baruch, tutaj przeżywał przed wojną A. Szczerkowski, wybitny działacz międzynarodowego ruchu robotniczego oraz T. Wojeński, działacz oświatowy; dziś Pabianice mogą się poszczycić takimi artystami, jak aktorka Mikołajewska, piosenkarka M. Jarzębska, muzyki — Karol Nicze i Bogdan Skrzypek, stąd wyszli minister Kacmarek i red. Badowski z „Klubu Sześciu Kontynentów”.

Centrum życia kulturalnego to późnorenansansowy, wzniesiony w XVI wieku dla regensów kapituły krakowskiej Zamek, gdzie po wojnie znalazło pomieszczenie Muzeum Regionalne. W Muzeum stale odbywają się wystawy i odczyty popularizujące m.in. artystyczną fotografię oraz koncerty szopenowskie przy świecach, które dzięki nastrojowej scenarii starych wnętrz pozostawiają niezapomniane wrażenia. O własnym teatrze, chociaż były już także próby, nie myślimy. Ze względu na bliskość Łodzi, do której codziennie wyjeżdża do teatrów kilka autokarów.

Drugim ważnym ośrodkiem kulturalnym jest niewątpliwie KMPIK, popularny „Empik”, a dalej ZDK, posiadający teatrzyk piosenek, Klub Spółdzielczy, lub PSM przy ul. Orlej 43 Młodzieżowy Dom Kultury. Brakuje tylko Miejskiego Domu Kultury.

Dzisiejsze Pabianice rosną w inteligencję: 2 licea ogólnokształcące, szkoła położonych i szkoła muzyczna, technikum ekonomiczne z zasadniczą szkołą handlową oraz technikum i zasadniczą szkołą chemiczną, technikum przemysłowo-pedagogiczne, zespół szkół zawodowych nr 1, 2, 3.

Żywa działalność przejawia Towarzystwo Przyjaciół Pabianic, organizujące wiele imprez, m.in. Pabianickie Dni Kultury, Ogólnopolski Konkurs Młodych Trebaczy; w pięknej muszli koncertowej parku im. Słowackiego prezentują się trzy pabianickie chóry i zespoły młodzieżowe.

Pabianice są jedynym nieakademickim miastem w Polsce, które posiada klub studencki „Kalefakt”...

W „Bawelnie” po znanym, burzliwym okresie, zmieniły się trzy dyrekcje. Władysław Rybak pozostał. Kiedy pytałem robotników, kim jest dla nich ten dyrektor, mówili, że Rybak to mądry, równy chłop, który potrafi ostro, ale sprawiedliwie ochrzanić, a jednocześnie wysłuchać, doradzić, wymusić przysięgę, że wyskok więcej się nie powtórzy.

— Moi rodzice byli tkaczami, ja wyrosłem w fabryce, pośród robotników i w ciągu 50 lat przeszedłem szczebel po szczeblu tej drabiny od dołu do szczytu. Najważniejsza sprawa — być człowiekiem, rozumieć każdego i być rozumianym. Mam szacunek u robotników, nikt mi niczego nie odmawia, bo ludzie przychodzą tutaj nie do dyrektora, lecz do dawnego kolegi. Miałem z tego powodu zarzuty ze strony zwierzchników, że jestem zbyt tolerancyjny, ale czy powinienem, proszę pana, natychmiast wyrzucić z roboty faceta, który przepracował trzydzieści lat i raz powinęła mu się noga? Takie nie śmie mi spojrzeć w oczy, chciałby wszystko naprawić, pozostać i czy dziś nie ma drobnych ludzkich dramatów w cieniu dobrodziejskiej modernizacji? Owszem, cała załoga się cieszy, bo lepsze warunki pracy i wyższe zarobki, ale jest wielu starych robotników, znakomitych fachowców, którzy po przejściu na nowocześniejsze maszyny czują się pokrzywdzeni, niepotrzebni ponieważ nie mogą sobie poradzić z tą automatyką... Dziś maszyna obraża się na robotnika...

— W domu też pan jest dyrektorem?

— Różnie bywa. Nieraz sobie porzucamy. Kiedyż żona mnie „przyciska”, pytam: czy ja jestem wariat albo żonaty? Córka się śmieje i mówi, że chyba to i to. Córka jest lekarzem, ale syn ukończył ten sam wydział na PE i ciągnie tradycję zawodową. Z córkami mam wnućkę, synowa dała wnuka, ale niech pan, broń Boże, nie pisze, że pragnęliśmy, aby wnukowie zostali włókiennikami. Oni sami wybiorą...

— Czym są dla pana Pabianice?

— Zwyczajnie — miastem z trzema koronami w herbie. Miastem marzeń i snów. Wszyscy w zakładach pracy śnią o wykonaniu zadań produkcyjnych, a marzą o wysokich premiach. Ale żarty na bok. Pabianice pięknieją pod względem estetyki i rozbudowy. Chciałbym, żeby utrzymano ten rozmach w budownictwie mieszkaniowym i porządkowaniu terenu. Byłbym dumny, gdyby miasto, w którym się urodziłem, stało się najpiękniejsze w województwie, a nawet w Polsce. To stara prawda, niemal frazes, ale najbardziej kocha się rodzinne miasto. Wielokrotnie przebywałem za granicą, widziałem różne piękne rzeczy, lecz zawsze tęskniłem za Pabianicami. Może nawet za widokiem tej starej, zapomnianej już kamienicy czynszowej przy ulicy Marińskiej?...

RYSZARD BINKOWSKI

NA BALUTACH...

lecznie uświęconym, która przydaje blasku i zmienia nastrój dzielnic.

Dzisiejsze Baluty, to dzielnica ludzi młodych. Całkowicie zmieniły się tu proporcje grup społecznych; lumpenproletariackie obywateli zniknęły bez śladu. Balutami zaważnęła świadoma swoich praw klasa robotnicza. Od dawna masowo napływa tu inteligencja: są całe bloki zamieszkałe przez aktorów, lekarzy, naukowców, inżynierów, kadre techniczne. Wytworzył się wspólny dla wszystkich (robotników i inteligencji) model życia, zatarły się różnice między poszczególnymi klasami zawodowymi. Znamy pokazaliśmy dom, w którym obok magistrata jeżdżącego do pracy rowerem mieszka włóknarz jeżdżący do roboty skodą. Poza tym — obaj żyją podobnie, w takich samych mieszkaniach wyposażonych w takie same meble i telewizory; magistrat wprowadził lepiej się ubiera, ale włóknarz jeździ za to na wczasach do Bułgarii.

Taki przekrój społeczny domaga się od dzielnicy zwiększonych świadczeń kulturalnych. Mistrzostwa świata w piłce nożnej są przecież tylko raz na cztery lata... W przelocie człowiek potrzebuje jakichś wzruszeń estetycznych, a tu co?.. Pieć kłm (w tym cztery obstrukcje), sześć domów kultury (po-wiedźmy), dwanaście klubów i trzydzieści pięć świetlic, z których większość przesycona jest nostalgiami.

Naczelnik dzielnicy poinformował mnie, że wybitnymi osiągnięciami kulturalnymi mogą poszczycić się baluckie szkoły i licea. Młodzież jest roz-spiewana, utalentowana plastycznie, ma olimpiadach artystycznych. Z drugiej

jednak strony naczelnik przyznaje, że aby uzupełnić księgozbiór dwudziestu kilku baluckich bibliotek, trzeba będzie wykroić jakoś z budżetu osiemset tysięcy złotych, bo... istnieje gradacja potrzeb.

Słysz, że przy osiedlu „Wielkopolska” powstanie wielkie, reprezentacyjne kino. Wspomina się też nieśmiało o budowie gmachu teatralnego. Przy ulicy Wojska Polskiego widać już zarys budynku Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która będzie miała niewątpliwie duży wpływ na oblicze tamtej części miasta.

Ktoś mówi, że ten budynek miał być inny.

Pytam: — Jak? — Okazały. — Ten też jest okazały. — No tak. Ale w stosunku do pierwotnych planów...

Zostawmy lepiej pierwotne plany w spokoju. Raz po raz łapie się na tym, że zaczynam myśleć jak malkontent, a przecież Baluty, będące do niedawna pustynią na kulturalnej mapie miasta, i na tym polu zrobiły ostatnio duży krok.

10.

— Gdzie chciałaby pani mieszkać? — Dwudziestoletnia dziewczyna długo się zastanawia. Wreszcie: — Chyba lubię ten swój Julianów...

— No, a gdyby tak pani zaproponowała Śródmieście? — To co? — Poszłaby pani?

Dziewczyna jest najwyraźniej zakłopotana. Nie mówi „tak”, nie mówi



„nie”. Milczy. A ja zdaję sobie nagłe sprawę z niesłowności mojego pytania.

Czy nie forsuję przypadkiem szowinistycznych nastrojów?

Dłaczego z takim uporem próbuję udowodnić, że Baluty są lepsze od pozostałych łódzkich dzielnic?

Po co te debaty?

Siedzę na opustoszałym stadionie „Startu”, dokąd zawiodło mnie gorące serce kibica, i snuję leniwe refleksje. Pilkarze „Startu” grali kiedyś w drugiej lidze, do której zresztą naja szansę powróć. W drugiej lidze grał także kiedyś nieszcześliwie zdegradowany LKS, którego stadion mieści się w drugim krańcu miasta, na Poleśu. A zatem oba te kluby musiały stawać dwa razy w roku do bratobójczej walki. Przypominam sobie jeden z tych pojedynków. „Start” wystąpił w roli gospodarza; na stadionie przy ulicy Teresy od wczesnych godzin porannych zaczął się gromadzić wielotysięczny tłum baluckich kibiców, którzy ażeby pozostawili miejsce dla przybyszów z innych części miasta. W południe — była to niedziela — sędzia gwizdnął i

rozpoczęła się święta wojna, której wygranie oznaczało dla „Startu” nadzieję pozostania w drugiej lidze, a dla LKS wydotanie się z niej.

Na meczu tym doznałem zaskakujących wrażeń. Nie... poziom meczu był lichej; twardy, bezlitosny bój o punkty, w którym zawodnicy raz po raz padali na trawę wijąc się z bólu. Ale reakcja widowni była szokująca. Balucy kibice, którzy z taką pasją dopingowali „startowców” w spotkaniach z drużynami Krakowa czy Warszawy, obrócili się raptiem przeciwko swoim. Oprócz działaczy i ambitnie walczących pilkarzy „Startu” — wszyscy byli za LKS.

I ja byłem za nim. Odstąpiłem, kiedy padała jedyna w tym meczu, ni o samobójcza, ni to strzelona przez Sadka, bramka. Potem jednak zacząłem analizować zachowanie się tłumy. W pierwszej chwili miałem pewność, że było ono zarówno nierozumiałe co i krzywdzące niesprawiedliwie, wyrażające baluckim sportowcom wielką krzywdę, jaką jest zdrada kibiców. Ale niebawem wycofałem z tego krącoć różne wnioski...

„Start” był w tym czasie klubem baluckim, natomiast LKS — utytułowany, z wieloletnimi tradycjami — reprezen-

tował wszystkie łódzkie dzielnice. Świadomie czy też podświadomie — balucy kibice zrezygnowali w tym sporadycznym wypadku z ambicji regionalnych i zgodnie poparli nadzórny interes miasta. Niesprawiedliwość wobec sportu baluckiego okazała się niesprawiedliwością wobec sportu łódzkiego, który dotkliwie cierpiał z powodu degradacji LKS i niecierpliwie oczekiwał od tej drużyny powrotu do grona najlepszych.

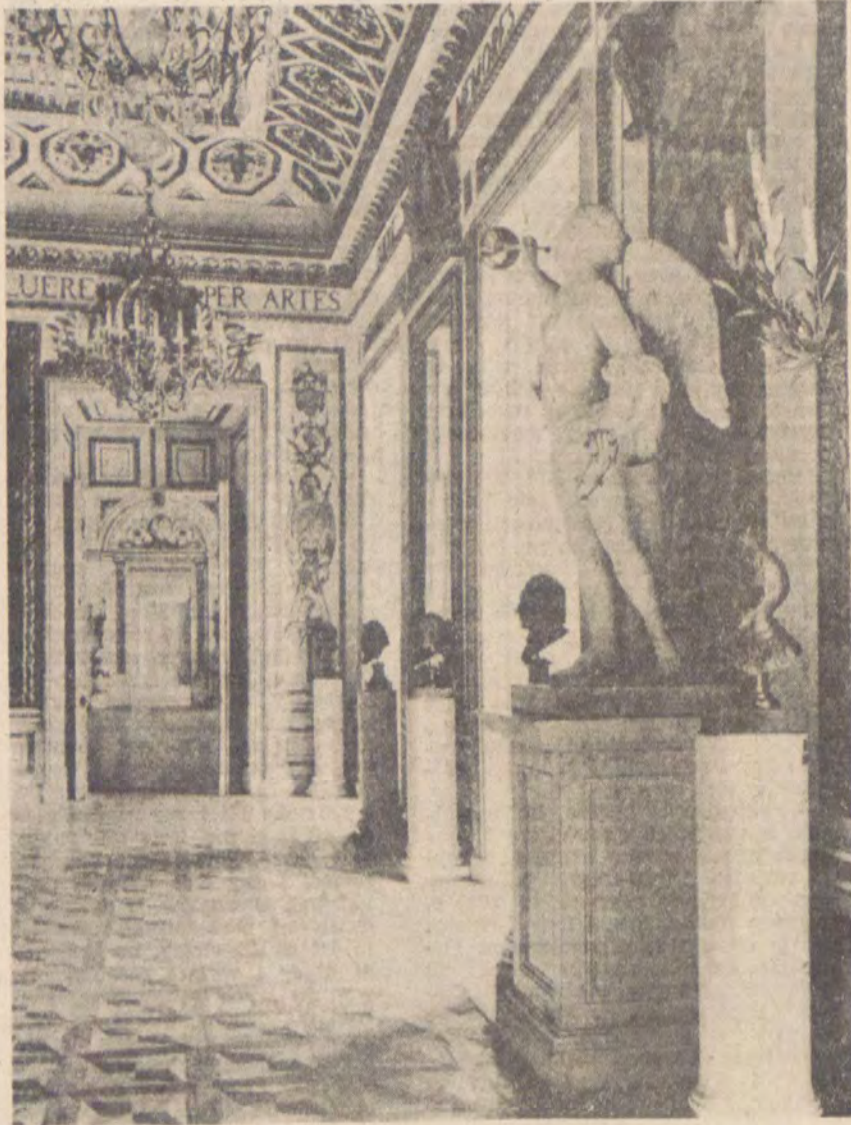
Baluty to przecież także Łódź.

W przeciwieństwie do lewo- i prawobrzeżnej Warszawy, podzielił administracyjne są w Łodzi czysto formalne. Jak to dobrze, że nie mamy Wisły, że nie dzielą nas żadne naturalne granice...

Ala czy ja znowu nie wpadam w szowinizm?

Bo przecież tak, jak Baluty są rozdzieloną częścią Łodzi, tak Łódź pozostaje przede wszystkim częścią naszej ojczyzny.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Fragment Sali Rycerskiej (1939 r.)

Fot. Archiwum

1.

17 września 1939 roku Warszawa przeżyła wyjątkowo ciężkie bombardowanie. Z powietrza i z ziemi na miasto spadła lawina bomb, pocisków burzących i zapalających. Zniszczono wiele budynków. Co chwila wybuchały pożary; ginęły gmachy, ginęli ludzie. Zapłonęły dachy Zamku i wieże: Zygmuntowska i Władysławowska. Na radiowy apel prezydenta miasta, Stefana Starzyńskiego, na ratunek pośpieszyli mieszkańcy Starówki — padali pod morderczym ogniem karabinów maszynowych, ostrzeliwujących Zamek z niemieckich samolotów. Zginął wtedy kustosz zamkowy, Kazimierz Broki. Zniszczeniu uległ tego dnia ogromny plafon Bacciarellego z sali balowej, noszący tytuł „Jowisz wyprowadzający świat z chaosu”. Okrutna ironia. Świat właśnie pogrążył się w chaosie na długie lata...

W przededniu rozpętania wojny Hitler wiedział już co zrobić z Polską i z Warszawą. Polska jako państwo miała przestać istnieć raz na zawsze; Polacy jako naród mieli być unicestwieni; milionowa Warszawa miała stać się 130-tysięcznym miastem, a na ruinach Zamku Królewskiego miał stanąć budynek Kongress oder Volkshalle...

Pod koniec lutego 1940 roku Zamek Królewski był szkieletem ogolonych murów. Był ruiną. Ale 27 czerwca 1943 roku wywieszono na wypalonej Wieży Zygmuntowskiej biało-czerwona flaga — znak nadziei, woli przetrwania i zwycięstwa. W dniach sierpniowych 1944, w dniach powstania Zamek, ten Zamek w ruinie, stał się znowu zamkiem obronnym jak za swoich dawnych, najpiękniejszych czasów; niepokonanym bastionem dla szturmowego zgrupowania majora Rogo; niemyym świadkiem straceńców walk obrońców Starówki...

A potem Niemcy wywiercili otwór w murach i załadowali ładunki dynamitu. Włączono detonatory i ruiny Zamku zmieniły się w stertę gruzów. Zadano ostatni cios.

Ostatni cios? Niemcy nie wiedzieli co naprawdę znaczy słowo: Warszawa!

Zaledwie front przetoczył się na zachód, zaledwie gruzowisko, które lat temu pięć było milionowym miastem, zostało wyzwolone, a już do tego gruzowiska ściągali zewsząd ludzie. W niemym osłupieniu patrzyli na ośnieżone ruiny. Patrzyli ze ściśniętym sercem, ale i z niezłomnym przekonaniem, że tu będą żyć. Ze tu, na tym miejscu zaczął wszystko od nowa. I chociaż wydawało się to być nieprawdopodobne — tak się właśnie stało. Ze świętych ruin dzwignęło się miasto; w trudzie mozolnym z miłości stanęła dzisiejsza Warszawa.

2 lipca 1949 roku Sejm Ustawodawczy podjął decyzję o odbudowie

larczy pracuje nad odtworzeniem stropu Bacciarellego, przedstawiającego „Rozwikłanie Chaosu”.

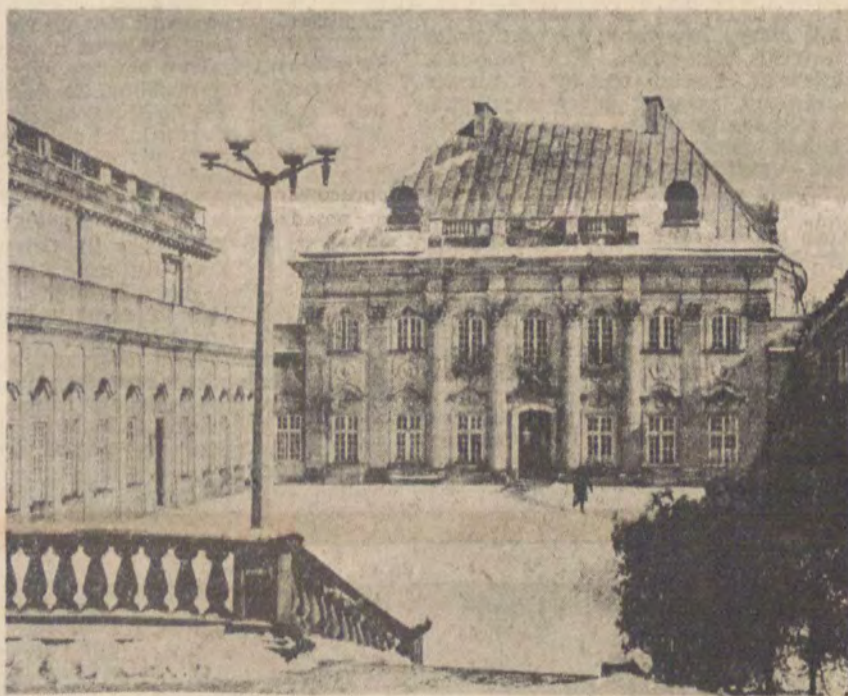
Zamek Królewski wrócił do życia i z nim dawna Warszawa. Stajemy pod Kolumną Zygmunta i spoglądamy w Krakowskie Przedmieście. Z Miodowej ku Placowi Zamkowemu skręca mały oddziałek harcerzyków z kilkunastoletnim zastępowym na czele. Zatrzymują się pod Kolumną Zygmunta. Młode, jasne oczęta, w które nie zajrzała groza wojny, zapatrzona są w mury zamkowe i wysoki, jaśniejący helm Wieży Zegarowej. Widać w nich zachwyt i dumę. Te mury, to przecież symbol majestatu Rzeczypospolitej!

3.

W tymże samym Kalendarzu Warszawskim na rok 1946 znajduje notatkę zatytułowaną: „350-ta rocznica przeniesienia stolicy do Warszawy (18.3.1596)”. „Stolica Mazowsza, wzorowo urządzona dzięki światłym burmistrzom, rajcom, ławnikom i wojtom, licząca dziesięć kościołów i pięć szpitali, prowadząca rozległy handel lądowy i morski, położona wreszcie w samym środku ogromnego państwa, nadawała się na siedzibę monarchii. Była miejscem częstych pobytów królów: Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Bony i Anny Jagiellonki. W 1569 na Sejmie Lubelskim zapadła uchwała o przeznaczeniu Warszawy, jako stałego miejsca odbywania walnych sejmów, a w kilkanaście lat później zdecydowano, aby tu było miejsce dokonywania zjazdów elekcyjnych. Bliskość Szwecji nęciła też niechybnie Zygmunta III Wazę ku Warszawie. Wreszcie pożar Zamku Królewskiego w Krakowie w 1595 roku przyspieszył postanowienie króla, 18 marca 1596 roku Zygmunt III z małżonką Anną, królowiczką Władysławem i królowkami zjechał na stałe do Warszawy i w łutejszym Zamku zamieszkał. Sprzęty jego skutami sprowadzono po Wiśle. Za królem podążył dwór i dostojnicy koronni i litewscy. Książęcy gród

2.

W Kalendarzu Warszawskim na rok 1946, który w podtytuł ma wydrukowane: „Rocznik poświęcony Warsza-



Pałac pod Blachą odbudowany w latach 1946—1947

Fot. Archiwum

wie, cierpieniom i bohaterstwu Stolicy, Warszawie wczorajszej, dzisiejszej i Warszawie jutra” znajdują wizję przyszłej stolicy, zamkniętą we wzruszających słowach prof. dra Jana Zachwatowicza. Tak pisze: „Na Placu Zamkowym znajdujemy poważne zmiany. Cały plac został obniżony tak, iż wydaje się, że odbudowany Zamek został nieco podwyższony. Odbudowa Zamku przeprowadzona została jednak zupełnie dokładnie. Poprawiono natomiast jego wygląd od Placu, przez zamierzone od dawna obniżenie części Placu. Przy tym obniżeniu odsłonięte zostały dolne części Bramy Krakowskiej. Kolumna Zygmunta pozostała na wyższym tarasie, dzielącym powierzchnię Placu. Kamienne obramienia okien, gzymsy i kartusze Zamku Królewskiego jaśnieją jeszcze świeżym, nie zapatynowanym kamieniem, wśród którego tu i tam ciemnieją bloki oryginalnych fragmentów, skrupulatnie pozbieranych z ruin i użytych na właściwym miejscu w czasie budowy.

Pomimo wczesnej godziny wpuszczają nas do Zamku. Na pierwszym piętrze wkładamy wołkowe papuce, i idziemy po łóżkach posadzki odbudowanych komnat królewskich. W Sali Canaletta wiszą znowu słynne widoki Warszawy, ale brakuje wśród nich kilku jeszcze nie odnalezionych. W dalszych salach trwają prace. Sala Balowa wypełniona rusztowaniami. Sztukatorzy polewają żółte, stiukowe kolumny, a kilku ma-

mazowiecki stał się stolicą państwa, a z czasem najgorętszym sercem Narodu”.

4.

A jednak Niemcom nie udało się zniszczyć wszystkiego, co było Zamkiem Królewskim. Stało się tak dzięki ofiarności ludzi odważnych, ludzi dobrej woli. Prof. dr Stanisław Lorentz, który kierował w czasie okupacji akcją ratowania skarbów kultury zgromadzonych na Zamku pisze: „Czy nie należałoby zapisać dla historii, że tego wywożenia, przewożenia, chowania dokonywano w dniach, kiedy już nad Warszawą rozpadło się w pociskach i płomieniach niebo? I czy nie należałoby tego zapisać, że w uwięzionej Warszawie już w pierwszych dniach października 1939 na polecenie prezydenta Stefana Starzyńskiego Wydział Techniczny Zarządu Miejskiego przystąpił do zabezpieczenia prowizorycznym dachem skrzydła Zamku od strony Wisły, gdzie właśnie znajdowała się Sala Balowa. Dla prac konserwatorskich zaczęto już zwozić materiały budowlane. Przypomnieć o tym trzeba, by uzmysłowić, jak wielkie było przywiązanie do narodowego pomnika przeszłości w społeczeństwie, które w chwili klęski, gdy tyle zrujnowanych domów mieszkających i użyteczności publicznej wymagało niezwłocznego remontu, gdy szalało już gestapo i nikt nie był pewny nie tylko następ-

niego dnia, ale następnej godziny — od ratowania Zamku Królewskiego rozpoczęło zapobieganie konserwacji zniszczeń powstałych w pierwszym etapie wojny”.

5.

Hitler wychodził z założenia, że naród, któremu odbierze się pamiętki jego przeszłości, w drugim pokoleniu przestanie być narodem, że naród taki będzie jak drzewo odcięte od korzeni, jak rzeka odcięta od źródeł. Dlatego z taką zacięłością kazał niszczyć pomniki kultury, grabić

6.

Na Placu Zamkowym są zawsze ludzie, przez cały dzień do późnej nocy. Warszawiacy jak gołębie zlatują na Plac Zamkowy. Ci, co pracują przy Zamku, pracują na oczach całej stolicy. Na oczach całego kraju. Na oczach tych, co przybyli z zewnątrz. Przecież wszyscy ciekawimy, bo nasza to sprawa. Wszak pierwsze słowa Apelu Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie brzmiały: „Rodacy! Polki i Polacy w kraju i na obczyźnie! Warszawiacy, żyjący w odrodzonej stolicy, warszawiacy rozsiani po całej Polsce, warszawiacy

KRÓL ZYGMUNT...

dziela sztuki. Dlatego z taką ofiarnością Polacy tych pomników i tych dzieł bronili.

Maria i Andrzej Szypowscy w swojej książce o Zamku piszą: „Najcenniejszymi z pozostałych w Zamku dziełami sztuki „zaopiekuj się” sam Frank lub prześlij je w prezencie do stojników Rzeszy. Meble i obrazy powędrują do mieszkań dygnitarzy gestapo po całej Generalnej Gubernii. Każdy z urzędników niemieckich miał prawo oficjalnie zabierać „na pamiątkę” ze zbiorów zamkowych, co mu się tylko podobało. Rysunki, sztychy, rzeźby i arcydzieła starego rzemiosła padły łupem stojącego w Pałacu pod Blachą oddziału Feldgendarmierii „Potsdam”.

Część skradzionych rzeczy okupanci wysłali „nach Heimat”, część sprzedawali na czarnym rynku. Polakom udało się wtedy ocalić parę sztuk mebli, rzeźb i arrasów, odkupując je za zebrane drogą składek pieniądze.

Do Zamku Niemcy spędzili setki Żydów na przymusowe roboty. Przedmioty sztuki, nie zrabowane, traktowano jako złom i surowiec budowlany. Siekierami rozbijano wsporniki klasycystyczne boazerie, kilofami wylupywano marmurowe kolumny i stopnie, rabano stiukowe kolumny, wylamywano wzorzyste intarsjowane posadzki, setki ram okiennych i drzwi z pięknymi złoconymi okuciami wyrzucano z pięter na podwórze. Segregowano, ładowano na samochody i wywożono do składów niemieckich firm budowlanych.

Od 9 listopada 1939 roku niemieckie jednostki saperów zaczęły wiercić otwory na ładunki dynamitu w dolnych partiach murów zamkowych. Wiercono je w dwóch rzędach, w odległości 40—50 cm od siebie. Każdy otwór miał półtora do dwóch metrów głębokości. Wywiercono ponad 10.000 dziur. Przez listopad, grudzień, styczeń, luty. W początkach stycznia sprowadzono nawet na Zamek ładunki dynamitu i poczyniono wstępne próby, czy pasują do otworów. Z bliżej nie znanych nam przyczyn decyzję wysadzenia Zamku odłożono jednak na czas późniejszy. A cała akcja demolowania i grabieży odbywała się pod nadzorem niemieckich uczonych, takich jak np. prof. dr Dagobert Frey i dr Joseph Mühlmann. Podczas gdy elektryczne świdy minierów już borały w ścianach zamkowych otwory na ładunki dynamitu, prof. dr Dagobert Frey przechodził się po Zamku w towarzystwie przedstawicieli gestapo i niemieckich władz okupacyjnych wskazując, które rzeźby należy jeszcze wywieźć, które kominki marmurowe wylamać, które boazerie oderwać”.

mieszkający w różnych krajach świata!

Obywatelski Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie zwraca się do was wszystkich z serdecznym apelem:

Zamek Królewski będzie odbudowany. Podnieśmy go z ruin wspólnym, narodowym wysiłkiem. W tym wielkim dziele nie może zabraknąć nikogo, kto czuje i myśli po polsku”. Pamiętajmy, jak słowa te wzruszały...

7.

Stoję na Placu Zamkowym pod Kolumną, w miejscu, o którym Słomski pisał:

„I cóż, że był kiedyś król
Niewielkich zasług i sławy?
A przecież duma i ból
I święte miejsce Warszawy”.

I zaraz powtarzam za Broniewskim:

„Król Zygmunt Trzeci to był
kieski król,
Ale ja kocham kolumnę...”

— Górowałaś kolumno nad tym Placem przez wiele lat. Ale teraz wieże Zamku jarzące się miedzianą blachą jak dukatowym złotem są znowu wyższe od ciebie. Było wiele spraw bardzo pilnych do załatwienia w zrujnowanej ojczyźnie, i te miedziane helmy wież czekały chwili, aż bedziemy na tyle silni, żeby wydzwignąć je wzwyż, na ich dawne miejsce. Jak widzisz, królu Zygmuncie, doczekały się.

8.

Ciekawą sprawą jest, co zachowało się ze starego Zamku. M. i A. Szypowscy, we wspomnianej już książce o Zamku (wydanej w 1971 roku) podają:

„Nie każdy zdaje sobie sprawę, jak wiele zamkowej budowli istnieje — dlatego, że szczęśliwym trafem ocalało, wbrew niweczącym zamiarom hitlerowców, albo dlatego, że narodziło się powtórnie, dzięki ogromnemu, upartemu, narażanemu na liczne trudności wysiłkowi ludzi dobrej woli.

Są fundamenty całego gmachu i dolne partie murów, co daje zarys budowli. Są gotycko-renesansowe i saskie piwnice, pod skrzydłami od strony Wisły — uporządkowane, przeizolowane. Stoi obok Bramy Grodzkiej czworogran Wieży Grodzkiej. Stoi całe skrzydło Biblioteki Stanisławowskiej z przepiękną kolumnową salą, już odrestaurowaną. Pałac pod Blachą od dwudziestu przeszło lat jest przywrócony życiu. Natomiast dopiero w latach 1968—1970 odbudowano pracownię malarską Bacciarellego, przeznaczając ją na Pałac Słu-



Zdjęcie wykonane z narażeniem życia przez pracowników muzeum.

Fot. Archiwum

bów. Obok Bacciarellówki odtworzono z ruin tzw. kuchnię królewską i przebieg do Kanonii. W zwróconej ku Wiśle ścianie kuchni królewskiej widać ciąg murów obronnych. Dawny ogród na Podzamczu jest uporządkowany, a u stóp skarpy wiślanej stoją odremontowane arkady Kubickiego, ogromny budynek służący Zespołowi Pieśni i Tańca Wojska Polskiego.

Ponad całym terenem góruje — tragiczny i patetyczny, a zarazem pełen nadziei — fragment jednego z ryzalitów, oknem pokoju Żeromskiego patrzący w niebo. Widzi go każdy.

Ale nie każdy wie o tym, że równie podniosłe przeżycia winna budzić dokumentacja zamkowa. W niezli-

To w pracowniach zamkowych pracował nad tajemnicami próżni Magni i budował teleskopy astrolabia i maszyny latające Burattini. To tu powstała koncepcja Szkoły Rycerskiej, uchwałą Sejmu powołana została Komisja Edukacji Narodowej, i uchwalona była Konstytucja 3 Maja.

Tu rodziły się na Obiadach Czwartkowych pod patronatem Stanisława Augusta Poniatowskiego postępowe idee Oświecenia.

Tu, w Bibliotece Stanisławowskiej namiestnik cara zorganizował koszarę, a Salę Sejmową podzielił stro-

ce do nas — szczegóły. Dopuszczalne są pewne modyfikacje nawet już w czasie prac realizacyjnych. Najbardziej widocznym tego przykładem była Wieża Grodzka, mająca kilka wersji zwieńczenia, z których ostateczna została zatwierdzona dopiero w 1973 roku. Oparliśmy się w tym ostatnim przypadku na tzw. panoramie monachijskiej z 1625 roku, jako na materiale uznawanym za najbliższy prawdzie.

Taka sama historia była z wieżyczkami narożnymi, których nie spotykało się na żadnym ze zdjęć czy rysunków przedwojennych.

Wieżyczki te powstały w XVII wieku, podczas budowy Zamku Wawzowskiego. Były one zapewne drewniane (choć kryte blachą miedzianą) lub stały może na drewnianych stropach i ostatecznie albo belki przegniły, albo wieżyczki spłonęły w jakimś pożarze i w rezultacie zaniechano ich odtworzenia.

Wiadomo, że w XVIII wieku były dwa wielkie pożary, w czasie których spłonęło skrzydło południowe, odbudowane następnie już trochę w stylu XVIII-wiecznym, to jest z większą ilością okien, z lizenami. Wieżyczki, takie, jakie były, już nie pasowały do gustów i wymagań ówczesnych.

Głównym dokumentem do ich odtworzenia stał się sztych Hondiusa przedstawiający stawianie Kolumny Zygmunta, m. in. moment jej mon-



Kaplica Stanisławowska (1942 r.)

Fot. Archiwum

...I MIEDZIANE HEŁMY

czonych publikacjach prasowych i książkach są wspaniałe zdjęcia przedwojennych sal zamkowych i nie okaleczonych jeszcze murów — odbite w Instytucie Sztuki PAN z precyzyjnych wielkich, szklanych klisz. Te szklane kruchość i ciężar polscy historycy sztuki i bezimienni warszawiacy — dla dobra kultury polskiej, dla dobra Zamku! — wykradli w czasie okupacji z piwnic alei Szucha, zgrozę budzącej siedziby gestapo.

I te fotografie, i wiele innych zdjęć żmudnie zbieranych po wyzwoleniu Warszawy, i plany, i inwentaryzacja wnętrza Zamku, skompletowane przez Pracownię Zamkową pod kierunkiem prof. Bogusławskiego — wszystko czekało. Czekano na dzień przystąpienia do rekonstrukcji Zamku, kiedy to ocalałe autentyczne części, fragmenty i elementy — na podstawie istniejących planów i przekazów — zestawione zostaną w konstrukcję budowlaną, w znacznej części nową, ale też w znacznej części autentyczną.

9.

Przewertujemy karty historii.

To na Zamku Królewskim przecież dokonano się staraniem Zygmunta Augusta wielkie dzieło Unii Korony z Litwą; tu właśnie Sejm w 1573 zapewnił różnowercom swobodę wyznania i opiekę Korony; tu w Zamku w Sali Senatorskiej na Sejmie w 1611 roku stanął przed Zygmuntem III jeńcami będąc car Wasyl Szuski po spole z braćmi przywiezieni przez hetmana Żółkiewskiego spod Smoleńska; tu w 1640 przed Władysławem IV dokonał się ostatecznie hołd pruski.

To w teatrze zamkowym grano „Hamleta” jeszcze za życia Szekspira.

To przecież opera wladyslawowska święciła swe premiery wyprzedzając Paryż, a ustępując jeno operom Wenecji i Florencji.

pem i ścianami na urzędnicze kłitki. Tu właśnie wydawano po Powstaniu Styczniowym wyrok śmierci.

11 listopada 1918 roku nad Zamkiem zalopotała flaga Rzeczypospolitej...

Stąd wyniesiono trumnę Gabriela Narutowicza...



Ruiny Zamku Królewskiego (styczeń 1945 r.)

Fot. Archiwum

Tu mieszkał i zmarł Stefan Żeromski...

Czy można się dziwić, że Hitler chciał zniszczyć Zamek?

Czy dziwne jest, że Zamek odbudowaliśmy?

10.

Mówią mgr inż. arch. Irena Oborska i mgr inż. arch. Mieczysław Samborski — główni projektanci z Pracowni Projektowania „Zamek” w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Stolica”:

„Projekt jest żywy, zmienia się niemal w oparciu o nowe, dochodzą-

tażu na tle Zamku z tak charakterystyczną wieżyczką lukarną i kominami.

Studiując bardzo dokładnie ten ikonograficzny przekaz epoki, stwierdziliśmy, że wszystkie charakterystyczne elementy znajdujące się na dachu Zamku, zostały narysowane bardzo dokładnie i są związane z budynkiem w sposób konstrukcyjny. Rozstawienie okien, kominów, lukarny itp. szczegóły upewniły nas, że rysownik odtwarzał wiernie to, co widział, a więc i taką wieżyczkę musiał widzieć i dokładnie narysować. A w konsekwencji obecny projektant generalny starał się, odtwarzając wieżyczki narożne, trzymać jak najbliżej kształtu przedstawionego przez tamtego rysownika.

Zmiany, które wprowadzamy do projektu i które zachodzą już w czasie realizacji odbudowy, są dwójakiego rodzaju.

Jedne wynikają z tego, że historycy lub historycy sztuki wynajdują wciąż nowe wiadomości i materiały, jak na przykład było to w wypadku rekonstrukcji kilku różnych fragmentów skrzydła saskiego (zmodyfikowanie lukarny, wprowadzenie na szczyt ryzalitu środkowego elewacji saskiej ogromnego kamiennego wazonu w miejsce projektowanego uprzednio kolumny). Drugi rodzaj koniecznych zmian sprawiających, że projekt zostanie nadal żywy i nie zamknięty — pociągają za sobą zmiany wyprowadzane z funkcji. Rozwiązaliśmy już na przykład pomieszczenia II piętra jako pracownię naukową i pokoje biurowe, a tu nagle przyszły użytkownik w pewnej chwili oznajmił, że dla muzeum mezbędne jest małe laboratorium fotograficzne. Brzmiało to na pozór niewinnie i łagodnie, ale wprowadzenie laboratorium pociąga za sobą określone zmiany: odpowiednią konstrukcję, wentylację, oświetlenie itp.

Z nową funkcją Zamku wiąże się generalnie sprawa instalacji klimatyzacji i tym podobnych, jak najbardziej współczesnych urządzeń. Nawet niektóre elementy dekoracyjne zostały powiązane z urządzeniami instalacyjnymi, jak na przykład zaprojektowane w ogrodzie zamkowym wielkie baseny wodne i fontanna, które będą wykorzystane jako czynnik chłodzący dla klimatyzacji.

Mury zamkowe były niegdyś potężne, grube. Obecnie z zewnątrz Zamek wygląda równie potężnie i wydaje się, że zbudowany został tak samo jak niegdyś. A tymczasem, choć oczywiście grubość murów zachowaliśmy taką, jaką znamy z przekazów, ale mury te w środku zostały tak „podziurawione” wszelkimi kanałami, węzłami, przewodami instalacyjnymi, że bardzo często mieliśmy kłopot z pozostawieniem odpowiednich, pełnych filarów ceglanych, a niejednokrotnie ze względu na konstrukcyjnych trzeba było zastosować specjalne żelbetowe wkładki.

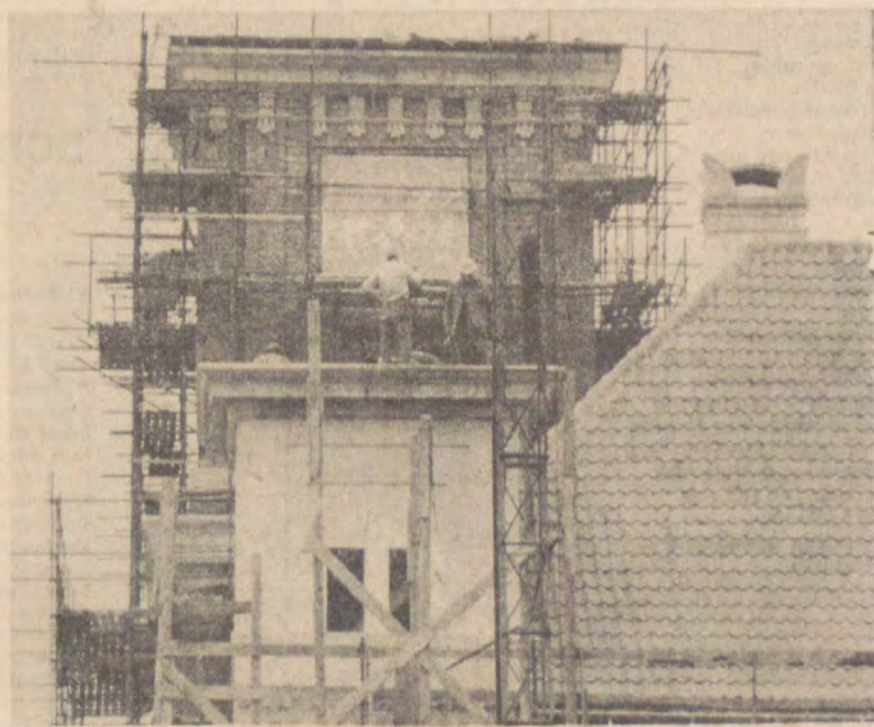
Wiosną 1974 roku była kamieniem milowym nie tyle w dokumentacji, ile w realizacji. Obecnie wyprzedziliśmy budowę o jeden, może nawet półtora roku. W pełnym tempie zajmujemy się pracą nad projektami wnętrza zamkowych, więcej — szeregi projektów wnętrza zostało już wydanych do produkcji, a pewne elementy są przygotowane, zmodelowane, złożone do magazynów. Przy opracowaniu elementów wyposażenia wnętrza korzystamy z pomocy różnych instytucji, i tak na przykład z pomocą w opracowaniu rysunków technicznych posadzki w Sali Audiencyjnej — przyszła nam dyrekcja stołeczna im. Komuny Paryskiej. Posadzka w tej sali miała wymiary 9x14 m, stanowiąc jedną kompozycję o bogatym, koronkowym wzorze. Praktycznie oznacza to, że nie można jej podzielić na jakies drobniejsze ele-

Zamku, warto może na zakończenie wspomnieć o tym, że ulega przeobrażeniu całe otoczenie Zamku i przebudowany będzie sam Plac Zamkowy. Obecnie poziom Placu Zamkowego podwyższony jest o metr w stosunku do poprzedniego i Zamek, który stał i stoi niżej niż budynki pierzei zachodniej Placu, znalazł się jeszcze bardziej w dole. Stanowiło to problem od wielu lat, a poza tym trzeba również i sąsiedztwu nadać godny wyraz architektoniczny i plastyczny. Tym bardziej że odbudowa Zamku i włączenie go w życie miasta bezpośrednio ingeruje także w układ komunikacyjny i w pewne arterie, które były dotąd powiązane z ruchem na Placu Zamkowym”.

11.

Na zamkowym zegarze wskazówki stanęły w owym pamiętnym dniu wrześniowym na godzinie 11.15. Już jest wieża z zegarem. W 30-lecie Polski Ludowej zegar na zamkowej wieży, przykrytej miedzianym hełmem, zacznie swój mozolny ruch o 11.15. I z dumą powiemy: nierzal historii naszej rzucano nas na kolana, ale zwyciężyliśmy i Polska nie zginęła!

I niech się stanie, że w dniu tym z woli naszej pamięci na Placu Zamkowym pojawi się korowód ceni; tych wielkich i tych bezimiennych. Niech obok królów idzie szewc Kl-



Czerwiec 1974 rok.

Fot. Włodzimierz Parys



Fragment rekonstrukcji murów.

Fot. Włodzimierz Parys

menty — tylko trzeba rysować całość w skali 1:1. Dla nas było to rzecz prawie niewykonalna. Z kłopotów wybrała nas załoga stoczni, gdzie do pracy przy wykonaniu rysunków w czynnie społecznym zgłosiło się ponad 80 traserów, technologów i pracowników wydziału przygotowania produkcji kadłubów statków. Po zrobieniu fotografii z normalnego rysunku architektonicznego z tzw. wieży traserskiej o wysokości 18 metrów wysłano na podłogę placu powiększenie doprowadzone do wymaganych rozmiarów, a pracownicy stoczni odrysowali według wyświetlonego wzoru projekt całej posadzki sali w skali 1:1. Mówiąc o

liński; obok obrońców Reduty Ordona chłopcy z opaskami biało-czerwonymi, ze stenami i butelkami z benzyną w rękach; obok Bacciarellego, Canaletta, Merliniego, Kamsetzera, Le Bruna, Monaldiego, Fontany, idzie Słowacki, Żeromski, Kopernik; obok łączniczki z Mokotowa żołnierz, co doszedł tu aż z Oki brzegu... Bo przecież to, że Zamek stoi, to nie tylko nasze, lecz także ich dzieło.

I niech wiedzą, że stanie w pełnym blasku dla nich i dla nas.

ANDRZEJ GRUN



WIELUN — linoryt — Zofia Jeżowska

JERZY WAWRZAK

PRZY KAMIENIU MILOWYM

Kto już został, niech teraz patrzy sowim okiem,
twarzy nie gubi w uśmiechu ochronnych bruzdach
i wskaże ruchem powiek, że rozumie
mowę kwiatu, znak ptaka i ucieczkę wody.

Kto już został, niech teraz powtórzy upadek,
by powstać potem mocno i nieść kłody nóg
i w mrok zielony, w widły błotnych rzek
i głowę nieść wysoko — kokon srebrny
z czarnym szronem snów.

A przy kamieniu miłowemu niech wam drzewa
przezuwane już będą za następnym kręgiem horyzontu.

JERZY WILMAŃSKI

Z M P

Moja pierwsza miłość w zielonej koszuli
w przepoconych skarpetkach
w butach cioci UNRRY

Z lewa zaciął deszcz
z prawa zaciął wiatr
deptaliśmy błoto rozkisłych kartoflik

Nie mieliśmy w tornistrach wierszy Jesienina
za poezję starczał Notatnik Prelegenta
Było prosto i pięknie w tę deszczową jesień

Mój pierwszy krawat miał kolor czerwony
nie umiałem go związać
ktoś to zrobił za mnie
Nie chciałem go rozsuplać
ktoś to zrobił za mnie

Moja pierwsza miłość
Moja pierwsza ufnosć
Szliśmy ulicami skandując donośnie
„Reakcji nie boimy się...”

Dziś nie boimy się własnych wspomnień
To więcej niż wówczas można było przeczuć.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

INTEGRALNY

Jeszcze
jest we mnie
ta blizna
z równiny rozdartej
granatem
z ziemi podę mną
skąd
nogami wyrastam
tu
zakopane bitwy
tutaj
krew zardzewiała
stąd
wytyczam siebie
ciało znów przydatne
podniesiony z ruin
zebrany z pobojowisk
znów zaludniam planetę
delikatnym ruchem
przynosząc moje prace
pełne żyłastych rąk
by z ziemi
moje siły nadmierne
połączyć

ROMAN GORZELSKI

PRZED POMNIKIEM KOŚCIUSZKI

Dokąd pędzisz mój rodaku na tym koniu w step niebieski
był dzień taki kiedy komus raz odjęło mowę rozum
jak ci smakuje sława mozołem szabli dobyta
co ci mówi historia co zostanie co będzie
twarze twoich żołnierzy śnieg spopielił
tвій brzą i ślady stóp deszcz wypłakał
wiatr przewiał lata w kolumnach marszowych
na wschód i na zachód — to oni ze śpiewem
do ziemi teraz schodzą w dębach zostają w skałach
ich życie odeszło w drzewo krzyży przydrożnych
w spadające po niebie zimne gwiazdy
tylko róża woskowa jak rana zostaje w taśmie czasu
więc z czego ta дума pułkownika
czy zapach żywych kwiatów rozechmurzy ci twarz
bo ty teraz przemieniony jesteś w ptaka białego
w drzewo kwitnące w granitowy kamień
podróż długa przed tobą tak do końca świata
ziemi łuk napinasz pochylony w tym wiecznym galopie

ANNA KIESEWETTER

MATER POLONIA

Idziesz w pochmurny, upalny dzień
nie jak staruszka pochylona
ciężarem korony nad wawelskich wież,
ale silnym, zdrowym krokiem
i włosy rozplata ci deszcz,
włosy ubrane szuwarem jezior
i falą leniwie płynących rzek.
Gdzieś pod stopami grają owady,
cała kapela skrzypków niezliczonych,
schylają drzewa ciężkie korony
przed tym wieńcem, który zdobi ci skroń.
A ty z uśmiechem na twarzy
patrzysz, jak wokół zmagają się świat.
Jeszcze niedawno nad własną ziemią
stałaś bezradna i głodna...
A teraz wielką, radosną melodią
budzisz ludzi ze snu.

MIECZYŚLAW M. SZARGAN

W HALI FABRYCZNEJ ROBOTNICY SŁUCHAJĄ POEZJI

1

Kwiat akacjowy ze słowa zapachniał
Z płatków mowy wyzłociła się pszczoła
Pylek kwiatowy jak gwiazdzisty kosmos
Lot międzykwiatowy z lubinu na różę

Z białego słowa wyfrunął bielinek
Strumień jak nóż rzucony na ziemię
Ze strasznym przekleństwem

Z moich rodzinnych Bożejewie
Mlecz złotogłowy z wiersza i z łąki

W hali fabrycznej robotnicy słuchają poezji

2

Co nad gwiazdy wynoszę to najbardziej sól ręki
Gdy w ziemi szuka swego nieskończonego kształtu
A upór to piękniejszy niżby się róża bronila przed śmiercią
I niżby jelen zdołał przed ogniem zbiec

Co nad gwiazdy wynoszę najbardziej to ludzki pot
Zbiłatego w ogniu zola
Bo patrzeć w ogień zrenicami z takim spokojem
Potrafi tylko człowiek lub kwiat



Z. P. Dzień „MARKO” — Wacław Kondak

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

LUCJAN SZENWALD

Plakatowy proletariusz — mówiono w środowisku
Cudowne dziecko co sobie nie umiało sprostać
Trwał między było i było Mieszkał w domu Y
Przy ulicy X W mieście którego już nie ma
Z Bogami rozmawiał po grecku Patrzył w niebo nad sobą
Potem do piekieł wstąpił nim dorósł do tego
Pisał złe wiersze Pisał dobre wiersze
tam między Polską a Rzymem i Krymem
Grywał Gdy innym reszka wyszła jemu orzeł
Więc wracał Z orłem Z wierszem Z karabinem
Do tego miasta którego już nie ma
Do kraju tego Do punktu Y
Niepojęty Don Kichot Tragiczny Wergill
Zasnął zmęczony Więc go Ojczyznę nakrył
Już nie wiadomo Był czy go nie było
Czy trwa gdzieś między dzisiaj jutro a przedwczoraj
Cudowne dziecko co sobie nie umiało sprostać
I człowiek który z sobą umiał się uporać

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

WIDZIAŁEM ŚMIERĆ

Widziałem śmierć na lodzie. Miała białą gunię.
Wodę z lodem wiązała z zegarową miną.
Nastąpi wybuch rzeki. Spęcznieje w południe
Grzyb — boletus satanas — i spadnie w dolinę.

I most będzie upiorem z dna straszył przy lunie.
Na dniach woda wyrzuci zwłoki oziminy.
Nawet wieher nie zdoła podeprzeć i unieść,
I technieniem usta-usta wskrzesić otrzęsiny...

Widziałem pochylonych nad rzeką w mozołe —
Jak pruli gilze lodu i szwy targał ogień...
Z rzeki śmierć rozbrajali... aż padła o brzasku.

Zwykłych zdarzeń ekspresja prześcisła symbole —
Gdyż żołnierz — nie żołnierz, lecz śmierci jest wrogiem —
Dobry geniusz istnienia z orzelkiem na kasku.



BORUTA — linoryt — Antoni Wirhanowicz

RAFAŁ ORLEWSKI

BIESIADA

te mowy są jak ciasto stęchnięte od środka
tu nie potrzeba było prawić o dulszczyźnie
ona i tak porasta nie zasianą glebę
nawet jeśli zasiewy były planowane

bo o czym takie mowy przy biesiadnym stole
o wszystkim i o niczym nie wyżej nie niżej
a potem nagle zrywaj wbrew prawu ciężenia —
stół biesiadny prawdziwą zyskał rangę bytu

te mowy te rodaków nocne naprawianie
RZECZYPOSPOLITEJ cierpliwej na megalomanię
na czczo i demagogię mocno osadzone
w siodle któremu nazwę zmieniono na stolek

a ONA jak kobieta wyszła z pierwszych pieluch
i rzuciła spojrzenie na krajobraz kuchni
i zdumiała się swoją dojrzalą urodą —

że oto nie dziewczętko z rozwianym na wietrze
puklem włosów tlenionych plakatową farbą
to dojrzłość to znaczy czas by wrzucić w ogień
rozklekotane stolki z biesiadnych pomieszczeń
słowa na nowy wypiek ze starym zakalcem

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

SOBIE — PRZYJACIELOWI

(fragment)

...nie wierz wróżbom przepowiadającym czarną przyszłość,
ani tym, którzy widzą radosne Nic przed sobą,
nie ufaj kaznodziejom głoszącym śmierć Boga
i wielkich Idei,
i nie oczekuj barbarzyńców jako rozwiązania
— ocalenie może przyjść jedynie od ciebie
schodź do podglebia, czytaj
przekroje ziemi, warstwy zmarłych i wstępuj
w głusze międzyplanetarne po to tylko,
byś przeszedł własne życie,
tu, na Ziemi.

Taki los twój. O więcej nie pytaj. Milczenie,
które było przed twoimi narodzinami
i które po tobie nastanie,
to jedyna odpowiedź, wielka,
bo zrodziła twój głos pytający.

BOGUSŁAW SIKORSKI

SZWACZKOM ZPDz „LIDO”

NA SPOTKANIE

Nad przejrzystą rzeką kolorowych nici
Senne jedwabniki nie przedą bistoru
A maszyny co rankiem rozspiewane
I oczy co jak dwie rzeki
Strumieniem błyszczą
I palce co jak motyle
Tysiącem wiosel
Fale sukni
Układają
Idę na spotkanie wita pierwsza zmiana

FELIKS RAJCZAK

JEDZIESZ TYM KRAJEM

Jakże ci dźwigać wiecznie to dziedzictwo
Na rękach w oczach. I gdziekolwiek stąpniesz
Otwierasz pole które przywołuje
Twoje pierworództwo. Lecz cóż jesteś winien
Ze czas cię wysłał jasnym lejmem drogi
Ze bieżą konie bez jeźdźców przy torach
Nie przesadzaj się na ich grzbiety wietrzne
Jedziesz tym krajem z którego wyszedłeś



PLAZA W ARTUROWKU — linoryt — Ludwik Gołec

Dotychczas w naszej historii mieliśmy trzy stolice — Gniezno, Kraków i Warszawę. Najnowsza historia Polski dodała do tej „trójcy” jeszcze jedną stolicę — Lublin. Zgoda, że nieoficjalna, nie nobilitowaną żadnym aktem państwowym, ale przecież to była prawdziwa stolica.

Trzydzieści lat temu, w lipcu w Lublinie, zaczął funkcjonować na ziemiach polskich pierwszy po sześciu latach niewoli Rząd Polski. I nie to, że nazywał się Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, nie to, że jeszcze większą część kraju była pod okupacją hitlerowską... Tu, w Lublinie, działał już prawdziwy, pierwszy Rząd Polski. Napisano na ten temat wiele tomów — zebrałaby się tego spora biblioteka.

My dziś chcemy na stołeczny Lublin z lipca 1944 spojrzeć nieco inaczej. Po trzydziestu latach — wydaje się — mamy prawo spojrzeć na tamte sprawy także od strony anegdoty, z tym wszakże zastrzeżeniem, że będzie to anegdota historyczna. Chcemy przypomnieć tamte codzienne zdarzenia słowami ludzi, którzy w lipcu 1944 byli w Lublinie i którzy przed laty spisali swoje wspomnienia w niesłusznym chyba zapomnianej książce „W stołecznym Lublinie”.

Wspomina pisarka, Helena Boguszewska:

„Dom był żółty, zaledwie o paru mieszkaniach, parterowy na wysokim tarasie od ulicy. Drzwi do mieszkania premiera wychodziły na front na jedną stronę ogrodu, nasze na drugą. Obok nas mieszkali radzieccy radio-szyfrowcy. Żołnierz z karabinem stał na warcie. Przez nasze jedyną, zakratowaną niskie okno widzieliśmy plecy tego żołnierza, o ile zaś nie było tych pleców, to widzieliśmy wąski pasek tarasu okolonego drewnianymi sztachetami, spoza których wyglądały czuby drzew, rosnących niżej w małym, pięknym ogrodzie, otaczającym inny żółty dom czy willę niżej położoną. W tej willi mieściła się tak zwana druga stołówka, a na jej teren schodziłyśmy po stromych drewnianych schodach. Inny obok tarasu, frontowy, ogrodzony żelazną barierą, wychodził na ulicę Spokojną, na wprost gmachu PKWN — ale wtedy nie było zejścia. Wchodziło się do nas tylko przez ogród owej drugiej stołówki, gdzie rosły srebrne świerki. W samej willi, gdzie mieściła się druga stołówka, były mieszkania, a raczej pokoje ministrów: Rzymowskiego — kultury i sztuki. Radkiewicza — bezpieczeństwa i Skrzyszewskiego — oświaty. Pokoje te były skromne, nieledwie ubogie. Ministrowie Polski Ludowej mieszkali jak studenci.



Fot. Archiwum

(...) Słońce leje się z bezchmurnego nieba, gorąco, kurz — ścisł. Handel. Rynek najniewgodniej w świecie położony na pochyłości, między wyższą i niższą częścią miasta, nogi wykręcają się na nierównym terenie pełnym dziur i wyrw, uszy wędzną od zawrotnych cen używanych łachów, przetrzuconych przez lokcie przekupniów. Śmiertelnie zmęczeni, ziani potem, chwiliami tracimy nadzieję, że w ogóle będzie można zdobyć coś, co nam zastąpi nasze strzępy. Dobry, miły poeta Leon Pasternak ofiarował nam wprawdzie coś z bielizny, ale reszta jest w dalszym ciągu brudna i zawieszona. W końcu kupujemy. Stara koszula męska w wypłowiałe pasieczki za sześćset złotych, krawiat za sto pięćdziesiąt, tak zwana „sukienka” za tysiąc sześćset. Dla naszego czarnego chłopca, który z nami przyszedł bosy i obdarty, pantofle za osiemset. Wystrojeni w te nowe — nienowocześnie, zasiadamy na pierwszym dniu nas, a drugim w Lublinie posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej.

Półokrągła sala z wieloma zaciemnionymi oknami, w wprost głównego wejścia w gmachu PKWN. Długie stoły dla posłów, białe-czerwono przybrane miejsce dla Prezydium w głębi. To tu — to tam oświetlające światła reflektorów. Obywatelka Fordowa w mundurze pilnuje zdjęć.

Specjalna atmosfera uroczystej oficjalności, urzędowości, państwowości... To nie, że okna zaciemnione, że nie ma dnia bez strzałów z zenitówek do samolotów niemieckich, że bomby jeszcze padają, że



Fot. Archiwum

między nami tu zebranymi a Warszawą stoi front huczący ciężką artylerią, którą aż tu słychać nocami. To także nie, że państwo nasze buduje się tymczasem na tym małym skra-

z ciętego dowcipu i różnych kawałów Lasockiego. Artysta zawiadomiał na piśmie, że jest bez pieniędzy i butów. Pierwszy problem — a więc pieniądze — został załatwiony „odre-

W STOŁECZNYM LUBLINIE

wku, na jednej piątej dawnego. Ale się buduje! Buduje się cały aparat państwowy, jakby już była cała Polska wolna, na wyrost — i to właśnie jest nadzwyczajne”.

Wspomina malarz, Aleksander Rafalowski:

„Z butami sprawa przedstawiała się gorzej. Lasocki, wielkie chłopisko, buty miał rozmiarów przegromionych, sądził, że szewe najsmprzód skonstruować musiał odpowiednie kopyta, następnie zaś zrobić buty. Znalazłony magazyn niemiecki uratował sytuację — buty zostały przesłane.

Po otrzymaniu butów zjawili się sam Lasocki, oczywiście znów w sprawie pieniędzy. Na uwagę, że niedawno otrzymał, spokojnie i rzeczowo odpowiadał: „Chciałem się przedstawić w nowych butach i własnoręcznie zainkasować to, co spodziewam się, że otrzymam”.

Pierwsza polska władza, pierwsze ministerstwa i pierwsze gazety. Wspomina Anatol Mikulko, który ze swoją gazetą dotarł aż do Łodzi.

„Gdy nazajutrz wyszedł pierwszy numer „Rzeczypospolitej”, ludzie dotykali gazety, obracali ją w rękach, sędzieli, że szewe najsmprzód skonstruować musiał odpowiednie kopyta, następnie zaś zrobić buty. Znalazłony magazyn niemiecki uratował sytuację — buty zostały przesłane.

Po otrzymaniu butów zjawili się sam Lasocki, oczywiście znów w sprawie pieniędzy. Na uwagę, że niedawno otrzymał, spokojnie i rzeczowo odpowiadał: „Chciałem się przedstawić w nowych butach i własnoręcznie zainkasować to, co spodziewam się, że otrzymam”.

„Gdy nazajutrz wyszedł pierwszy numer „Rzeczypospolitej”, ludzie dotykali gazety, obracali ją w rękach, sędzieli, że szewe najsmprzód skonstruować musiał odpowiednie kopyta, następnie zaś zrobić buty. Znalazłony magazyn niemiecki uratował sytuację — buty zostały przesłane.

Po otrzymaniu butów zjawili się sam Lasocki, oczywiście znów w sprawie pieniędzy. Na uwagę, że niedawno otrzymał, spokojnie i rzeczowo odpowiadał: „Chciałem się przedstawić w nowych butach i własnoręcznie zainkasować to, co spodziewam się, że otrzymam”.

„Gdy nazajutrz wyszedł pierwszy numer „Rzeczypospolitej”, ludzie dotykali gazety, obracali ją w rękach, sędzieli, że szewe najsmprzód skonstruować musiał odpowiednie kopyta, następnie zaś zrobić buty. Znalazłony magazyn niemiecki uratował sytuację — buty zostały przesłane.

„Gdy nazajutrz wyszedł pierwszy numer „Rzeczypospolitej”, ludzie dotykali gazety, obracali ją w rękach, sędzieli, że szewe najsmprzód skonstruować musiał odpowiednie kopyta, następnie zaś zrobić buty. Znalazłony magazyn niemiecki uratował sytuację — buty zostały przesłane.

Wszystkiemu przewodził Borejsza. Dwoił się, troił, uwielokrotniał. W pracy zespołowej bodaj najważniejszą rzeczą jest jednanie sobie ludzi, wzbudzenie zaufania. Tą rzadką cechą obdarzyła natura Borejszę. Znałem drugiego takiego człowieka. Był nim Henryk Dembiński w Wilnie, który urokiem osobistym potrafił zjednywać nawet wrogów. Borejsza zewsząd ściągał współpracowników. Coraz to przybywał ktoś z pisarzy, aktorów. Tak kształtowało się środowisko. „Rzeczpospolita” miała już ludzi pod dostatkiem, szkolili się przyszłe ekipy.

Przyjechał schorowany Jaracz. Zamieszkał również „u nas” na Radziwiłłowskiej. Dzieliłem z nim pokój. Przeglądałem się, widziałem jak gasi, ale nie było na to rady. Kaszlał, krztusił się, chciał koniecznie coś zrobić, pisać do „Rzeczypospolitej” o teatrze. W nocy podniecony mówił bez przerwy. A noce nad miastem rozciągały się gwieździste i parne. O noce lubelskie!”

Lubelskie noce mijają na długich rodaków rozmowach, ale przecież nie tylko na rozmowach. Wspomina Jerzy Zaruba:

„Na bankiecie tym, poza najznakomitszymi nazwiskami ze sfery oficjalnych, znaleźli się też liczni przedstawiciele sztuki. Wśród zaproszonych byliśmy: Janusz Minkiewicz i ja. Minio wahał się, czy iść — „bo na tych

— Owierajcie, otwierajcie — on tu. Myśmy go przywieźli.

— Kiedy otworzyłam, weszli ostrożnie i położyli go na wskazanym łóżku.

Gdy wszedłem do pokoju Minia, powiedział:

— Miałeś rację, Jerzy. Niepotrzebnie pilną tę buraczankę w knajpie.

No, trochę się załamałem. Przywieźli mnie jacyś wojskowi...”

Wszystko tworzyło się od nowa. Ludzie robili błyskawiczne kariery, o których nie śniło się im w okupacyjnej nocy.

Wspomina Jerzy Jurandot:

„Jeszcze w poniedziałek byłem stróżem. W pewnym nafaszerowanym nielegalnością przez wszystkie lata wojny majątku pod Warszawą, Trzech nas było stróżów u nieocenionej pani Cholewińskiej: jeden hrabia — były oficer sztabowy, jeden były starosta i ja trzeci. Otóż jeszcze w poniedziałek byłem stróżem w Morach, a już w środę zostałem przedstawiony w Lublinie ministrowi Wincentemu Rzymowskiemu i mianowany naczelnikiem Wydziału Estrady.

(...) W korytarzu obok nas i na innych piętrach gnieździły się pozostałe ministerstwa (czy też „resorty”, jak się wówczas mówiło). Cała władza przysięgłej Ludowej skupiała się w jednym jedynym szarym gmachu przy ulicy Spokojnej.

Taki prymityw miał swoją dobrą stronę: eliminował wszelką biurokrację, która nie tylko byłaby nie w stylu, ale w ogóle nie miała technicznych warunków do rozwoju. Stosunki między dygnitarzami i ich podwładnymi układały się niesłychanie prosto. Jeżeli na przykład potrzebowalem pieniędzy na wyjazd służbowy, albo po prostu zaliczki na pensję, udawałem się do ministra kultury, który wystawiał mi odpowiedni karteluszek, a potem do ministra finansów, który na podstawie kartelusza wypłacał gotówkę.

Oczywiście, jeżeli akurat miał. Zdarzało się bowiem, że pomrukując niechętnie — każdy minister finansów, kiedy ma wyasygnować pieniądze dla kultury, pomrukuje niechętnie — podchodził do ogromnej pancernej szafy w kącie pokoju, długo borykał się z jej skomplikowanym zamkiem, a potem rzucał na stół małą paczuszkę owiniętą w gazetowy papier.

— To są drożdże, akurat dostaliśmy transport. Sprzedajcie to sobie na rynku, można wytargować nawet więcej niż się wam należy.

W sprawach stołówki interweniowało się bezpośrednio u ministra aprovisionacji: „Co to dziś za zupa, obywałemu ministrze? Zupełnie bez smaku!” Stołówka była wspólna dla wszystkich resortów i wszystkich szczebli. Dużą popularność zdobyła tu sobie moja żona, jak się zaraz okaże, jeden z pierwszych racjonalizatorów w wyzwolonej ojczyźnie.

Otóż stołówka PKWN dość dobrze zaopatrzona w talerze i łyżki, cierpiała na dotkliwy brak noży i widelców. Mięso wobec tego wrzucono w całości do zupy, co wprawdzie teoretycznie zadanie rozwiązywało, jednak w praktyce powodowało pewną niewygodę w spożywaniu. Racjonalizatorski pomysł mojej żony polegał na zastosowaniu nożycek. Przynosiła je z domu i krajała nimi mięso w zupie na drobne kawałki, po czym już bez wysiłku dawało się nabrać łyżką.

Uspokojenie przyjęło się. „Jeżeli pani już skończyła, to poprosiłbym o pożyczenie na chwilę nożycek” — zwracali się z całą powagą panowie ministrowie i dyrektorzy departamentów.

Tak, zabawnie to dziś brzmi, ale jak napisała Helena Boguszewska, była w tym właśnie jakaś nadzwyczajność



Fot. Archiwum

(...) Nazajutrz koło południa, pragnąc dowiedzieć się, co się dzieje z Miniem, udałem się na Krakowskie Przedmieście, gdzie mieszkał u jakiejś swojej „rozparcelowanej” ciotki. Kiedy mi otworzono, zapytałem o Minia.

— Jest, jest — powiada ciotka — ale, proszę pana, co ja się nadenerwowałam!

Okazało się, że nad ranem obudziło ją walenie w drzwi. Światła nie było. Drżąc ze strachu ciotka pyta: „Kto tam?”

— Enkawude — brzmiała odpowiedź. — Czy tu mieszka Janusz Minkiewicz?

— Tak, mieszka — odpowiadam przerażona — ale go nie ma w domu.

tamtych dni. A przecież w tych pierwszych dniach tworzenia Polski nie brakło i tragedii, patosu, niespodziewanych śmierci... I później, w pierwszych latach nie było lekko, ale ludzie podejmowali trud tworzenia zgrębów Polski, która dziś wkroczyła w wiek dojrzały. Jeśli przypominamy tamte sprawy w tonacji niefrasobliwej codzienności — to także dlatego, aby uświadomić, że nawet największa i najpiękniejsza Historia rodzi się w wirze codzienności. Zwyklej — po prostu ludzkiej codzienności.

Opracował:
JERZY WILMAŃSKI

Jubileusz 30-lecia PRL upoważnia do próby naszkicowania bądź też przypomnienia przynajmniej w ogólnym zarysie niektórych aspektów związanych z polityczną, społeczną i gospodarczą rolą Ludowego Wojska Polskiego w tym okresie. Ważność podjętej problematyki zasługuje na uwagę tym bardziej że Ludowe Wojsko Polskie utworzone przez partię marksistowską w warunkach wojny narodowowyzwoleńczej i walki szerokich mas ludowych o przebudowę ustroju społeczno-ekonomicznego, od początku wystąpiło jako siła zbrojna walcząca wspólnie z Armią Radziecką o wyzwolenie Polski spod okupacji, a jednocześnie jako instrument tworzenia i umacniania ludowego państwa polskiego.

Realizując linię partii — kierowniczej siły w procesie budownictwa socjalistycznego — wypełniając jej wolę, wojsko nasze służyło całemu narodowi. W nowych bowiem warunkach budownictwa socjalistycznego idea partii, jej program społeczny i gospodarczy rozwoju stały się własnością ogólnonarodową. Ludowe Wojsko Polskie jest więc integralną częścią społeczeństwa socjalistycznego. Pokojowy czyn żołnierski dla kraju zrodził się już nazajutrz po wkroczeniu żołnierzy polskich na pierwszy skrawek ojczystej ziemi. Wykorzystując przerwy w bitewnych marszach stawiano „w kozy broń”, wypręgano konie z artyleryjskich przodków i zaorywano ziemię, przywracając jej prawo rodzenia.

Naczelny Dowódca Wojska Polskiego marszałek Michał Rola-Zygmierski w swym rozkazie nr 181 z 17 lipca 1946 r. scharakteryzował udział Ludowego Wojska Polskiego w odbudowie kraju w sposób następujący:

„Nie brakowało nas również w pionierskiej pokojowej pracy nad odbudową kraju. Nie pytaliśmy się, czy regulaminy i teorie wojskowe, opracowane w akademiach wojskowych, przewidują, by żołnierz orał, siał i kosił dla chłopów, by walczył o ład i bezpieczeństwo i brał na siebie ochronę życia i mienia obywateli, by zmieniał karabin na książkę, gazetę — siedzi do ludu ze słowami upokojenia i przycisnął do niego rękę, by walczył o ład i bezpieczeństwo, ale byliśmy i pójdziemy wszędzie, gdzie trzeba bronić Polski nie tylko karabinem, lecz młotem, pługiem, słowem i przykładem osobistym.”

Na swym wyzwolenym szlaku bojowym Wojsko Polskie zastawało zniszczone przez okupanta i wojnę fabryki i inne zakłady pracy, spalone domy, wysadzone mosty i koleje, zatopione i zawałone kopalnie, ograbione gospodarstwa rolne, wyniszczoną siłę pociagową i wreszcie brak aparatu państwowego. Straty materialne na terenach Polski (bez ziem zachodnich i północnych) zostały oszacowane na sumę 258 mln złotych przedwojennych.

Na wyzwolonych terenach wojsko było jedyną dobrze zorganizowaną władzą. Wielu żołnierzy delegowało — częściowo jeszcze przed zakończeniem wojny — do pracy w aparacie państwowym i partyjnym. Z żołnierzy AL oraz wojska tworzone organy MO i służby bezpieczeństwa.

Bardzo ważne znaczenie gospodarcze dla naszego kraju miało rozminowanie terenów wyzwolonych. Żołnierze przystępowali do rozminowania obszarów Polski bezpośrednio po ich wyzwoleniu, umożliwiając w ten sposób uruchamianie zakładów przemysłowych, wyścieleń drogowych i uprawę ziemi, wykorzystanie szlaków kolejowych i dróg kołowych. 26 lutego 1945 r. Naczelny Dowódca Wojska Polskiego wydał w tej sprawie rozkaz specjalny, w którym wymienione były jednostki mające przeprowadzać rozminowanie oraz etapy rozminowania kraju. Według ówczesnych ustaleń, sprawdzeniu i rozminowaniu podlegał obszar niemal całego kraju (dokładnie — 250 tys. km²), na których znajdowało się przypuszczalnie około 15 mln min oraz ponad 35 mln sztuk różnego rodzaju amunicji. Szczególną gęstość zaminowania występowała w tych rejonach Polski, gdzie działania bojowe toczyły się przez dłuższy czas: warszawskie, kieleckie, rzeszowskie i białostockie. W okresie akcji rozminowania saperzy ludowego Wojska Polskiego wykonali gigantyczną pra-

ce. Tylko w latach 1945-1948 unieszkodliwili ponad 14,5 mln min i około 34 mln sztuk różnej amunicji. Sukcesy saperów zostały, niestety, okupione znacznymi ofiarami. W sumie, w okresie tym, podczas akcji rozminowania poniosło śmierć 424 saperów, a 587 zostało rannych.

Rozminowanie terenu Polski zakończono w zasadzie dopiero w 1956 r. Skale saperów wysiłku najlepiej oddają liczby: wykryto i zniszczono ponad 14 769 000 min, i 69 036 000 sztuk amunicji różnego rodzaju. Rozminowano i umożliwiono oddanie do użytku

ku 2044 fabryk, hut, kopalń i innych ważnych dla gospodarki obiektów, 58 817 miast, osiedli i wiosek, 265 830 km dróg kołowych i żelaznych 8406 mostów i 47 rzek. Saperzy uratowali przed śmiercią lub kalectwem tysiące obywateli naszego kraju, umożliwiając im powrót do normalnych, pokojowych warunków pracy i życia.

Obok rozminowania, ważnym i pilnym zadaniem dla normalnego funkcjonowania kraju było uruchomienie systemu komunikacyjnego. Na uwagę zasługuje fakt, że już w sierpniu 1944 r. saperzy zbudowali w ciągu 56 godzin most na Wiśle, umożliwiając w ten sposób przerzucenie nowych sił na przyczółek Warecko-Magnuszewski, o którego utrzymanie toczyły się gwałtowne i krwawe walki. 27 marca 1945 roku żołnierze 3 brygady pontonowo-mostowej oddali do użytku most pontonowy łączący Pragę z Warszawą. Pod koniec kwietnia tegoż roku żołnierze 35 batalionu pontonowo-mostowego oczyścili Wisłę w rejonie mostów: Średnicowego, Kolejowego, Kiebrzedzia i Poniatowskiego. W czerwcu 1945 r. saperzy zbudowali most na Świdrze, na trasie Warszawa — Otwock oraz na Wiśle w rejonie Włocławka.

Ważnym zadaniem o doniosłym znaczeniu politycznym, w którego realizacji aktywnie uczestniczyło wojsko była reforma rolna. Już w dwa dni po ukazaniu się dekretu PKWN o przeprowadzeniu reformy rolnej, Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy opracował wytyczne, w których określił zadania dla pracowników politycznych w zakresie pracy uświadamiającej z żołnierzami i ludnością cywilną. Wielu żołnierzy brało bezpośredni udział w realizacji reformy rolnej.

Dla gospodarczego rozwoju kraju istotne znaczenie miała działalność i praca Dywizji Rolno-Gospodarczej, powołanej przez Naczelnego Dowódcę WP 13 kwietnia 1945 r. Dywizja składała się wyłącznie z żołnierzy — rolników. Jej zadaniem było uprawianie ziemi leżącej odległością od linii frontu, w której nie było zagrożenia, a także w nienależnie erkaem i dysków, żeby erkaemista i amunicyjny nie ustali w drodze. Ciemność, senność, zmęczenie i nierzadko jesienny deszcz. Nie daj Bóg, żeby się wtedy owijacz zsunął...

Nauczyliśmy się iść i spać. Czasami była przerwa na odpoczynek lub postój przynusowy, bo czoło pułku natrafiało na przeszkodę i wtedy bractwo pokolem padało na ziemię, na bruk i momentalnie zasypało. A jednak wszyscy doszli. Bez maruderstwa, bez otarcia nóg i pomocy kompani sanitarniej. W naszej kompani strzeleckiej nikt nie odstąpił. Mam na myśli 3 kompanie strzeleckie, 1 batalionu 2 pułku piechoty — dowódca por. Wojciechowski, zastępca

rozmieszczonych w Wałczu, Kaliszu Pomorskim, Złoczynie, Będlinie i Świdwinie. Dywizja przejechała na Pomorze Zachodnim 255 majątków o łącznej powierzchni 111 325 ha. Do końca 1946 r. przekazała ona władzom cywilnym około 170 uruchomionych obiektów gospodarczych.

Bardzo ważną akcją o charakterze politycznym i gospodarczym było osadnictwo wojskowe. Żołnierze zdemobilizowani osiedlali się w 12 nadgranicznych powiatach wzdłuż Nysy Łużyckiej, Odry i Bałtyku. Rozkazem marszałka Zymierskiego został powołany Generalny Inspektorat Osadnictwa Wojskowego na czele z gen. Karolem Świerczewskim. Tylko do końca 1945 r. rodziny żołnierzy objęły w posiadanie 56 360 gospodarstw, a liczbę osiadłych wraz z rodzinami szacowano na 200 400 osób. W 1946 r. osadnicy wojskowi w pasie przygranicznym stanowili 60% zamieszkałej tam ludności polskiej.

Dla przyszłości i rozwoju Polski, jej przemian społeczno-gospodarczych i politycznych po zwycięskim zakończeniu wojny z hitlerowskim najazdem, szczególnie doniosłe znaczenie miały wieloletnie kampanie polityczne — referendum ludowe i wybory do Sejmu Ustawodawczego. W warunkach ostrej walki politycznej odbywało się rozstrzygające starcie pomiędzy siłami postępu,

IAN POWAŁA

NASZE, LUDOWE

skupionymi w Bloku Stronnictw Demokratycznych na czele z PPR, a siłami wstecznymi, pozostającymi pod wpływami „rządu londyńskiego” i realizującymi jego cele. Udział żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego w przeprowadzaniu tych doniosłych aktów politycznych posiadał szczególnie ważne znaczenie dla umocnienia władzy ludowej. Do ochrony samego referendum zostaje zaangażowanych 36 400 żołnierzy Wojska Polskiego i 11 780 żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jeszcze większy był udział naszych żołnierzy w czasie wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Według najnowszych materiałów w końcowej fazie kampanii wyborczej brało udział, tylko w grupach ochronno-propagandowych, 42 proc. stanu osobowego wojska.

O rozmiarach akcji agitacyjno-propagandowej świadczy fakt, iż tylko na terenie województwa krakowskiego w czerwcu 1946 r. wojsko przeprowadziło 2600 wieców na rzecz Bloku Stronnictw Demokratycznych, w których uczestniczyło ponad 400 tys. osób. W tym samym czasie żołnierze KBW przeprowadzili 911 podobnych wieców z udziałem 271 tys. osób.

Żołnierze Wojska Polskiego i KBW odegrali decydującą rolę w rozbiciu reakcyjnego podziemia i band UPA. Rejonami najbardziej zagrożonymi były województwa: rzeszowskie, lubelskie, białostockie, warszawskie i krakowskie. Z rąk zbrojnego podziemia i band UPA ginęli członkowie partii, działacze ruchu ludowego, organizatorzy administracji państwowej. Ginęli także żołnierze Wojska Polskiego, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i służby bezpieczeństwa. Często mordowano chłopów, robotników, którzy aktywnie włączali się do przeprowadzenia reform społeczno-politycznych i gospodarczych w kraju. Prowadząc zdecydowaną walkę przeciwko zbrojnemu podziemi, jednostki Wojska Polskiego i KBW do kwietnia 1946 r. zlikwidowały 191 band, zdobywając: 16 moździerzy, 16 rusznic przeciwpancernych, 114 ciężkich karabinów maszynowych, 816 ręcznych karabinów maszynowych, 3107 pistoletów, 3197 granatów i ponad 3 237 000 sztuk amunicji.



Fot. Archiwum

Decydujące znaczenie w rozbiciu band UPA miała operacja „Wisła”, w której uczestniczyło 17 350 żołnierzy Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. W ciągu trzech miesięcy operacji „Wisła” przeprowadzono 357 akcji bojowych, w wyniku których zabito lub ujęto 1509 członków UPA, zdobyto także znaczne ilości broni i sprzętu, zniszczono 1178 różnego rodzaju schronów i bunkrów.

W okresie 30-lecia Polski Ludowej żołnierze naszych sił zbrojnych, wierni polityce partii, aktywnie współuczestniczyli w rozwoju społecznym i gospodarczym kraju. Byli zawsze tam, gdzie wznoszono wielkie budowle socjalizmu, gdzie toczyła się walka o chleb, gdzie zagrożone było życie i mienie ludzkie. Wyjątkowo dużo wysiłku żołnierze Ludowego Wojska Polskiego włożyli w odbudowę Warszawy, a przede wszystkim w budowę domów mieszkaniowych MDM, Młynowa, Grochowa i innych, własnymi siłami odbudowali Teatr Narodowy, Hotel Europejski, Pałac Mostowskich i wiele gmachów zajętych przez instytucje centralne MON. Również i dziś żołnierze nasi biorą aktywny udział w odbudowie Zamku Królewskiego oraz w budowie Trasy Łazienkowskiej i Włocławskiego. Znaną są budowle wzniesione przez wojsko w Gdańsku, Gdyni, Poznaniu, Szczecinie i Wrocławiu. Ewidentny jest również wkład żołnierzy w rozbudowę Łodzi i województwa łódzkiego.

Wojsko ma także poważny wkład w budowie Nowej Huty, zapory wodnej w Goczałkowicach, zakładach przemysłu maszynowego w Mielcu, wielu kopalni, kanałach, linii energetycznych, węzłach drogowych i modernizacji sieci drogowej. Ogólna kubatura wszystkich wybudowanych przez wojsko obiektów w latach 1950-1955 wyniosła 66 mln m³.

Znaczną jest pomoc wojska udzielona rolnictwu. W latach 1945-1948 jednostki wojskowe obsiały ogółem 439 tys. ha. W roku 1972 w akcji żniwniej, wykopkowej i przewozach ziemniaków wzięło udział 84 050 żołnierzy, 3796 środków transportowych i maszyn. W tym samym roku na rzecz rolnictwa żołnierze społecznie pracowali 566 tys. roboczodni, a wartość wykonanych prac szacuje się na ponad 115 mln zł. Również w roku 1972 w akcji przeciwpowodziowej uczestniczyło ponad 10 tys. żołnierzy, a wartość wykonanych w tej akcji prac ocenia się na 12 mln zł.

Dla rozwoju gospodarki narodowej istotne znaczenie mają czyny społeczne, podejmowane przez żołnierzy, z inicjatywy członków partii i organizacji młodzieżowej. Tylko w realizacji zobowiązań dla uczczenia VI Zjazdu PZPR wartość prac wykonanych przez żołnierzy w Śląskim Okręgu Wojskowym oszacowano na ok. 40 mln zł, w Pomorskim Okręgu Wojskowym — ok. 26 mln zł, w Wojskach Lotniczych — ok. 30 mln zł, i podobnie w pozostałych rodzajach sił zbrojnych.

W całokształcie świadczeń wojska na rzecz społeczeństwa szczególną wymowę ma prowadzona od lat akcja honorowego krwiodawstwa.

Wojskowa służba zdrowia w miarę możliwości udostępnia swoje zakłady

lecznicze ludności cywilnej. W 1971 r. z leczenia szpitalnego w zakładach wojskowych skorzystało 28 237 osób.

W pracach społecznych na rzecz gospodarki narodowej żołnierze naszych sił zbrojnych wykazują zawsze godną, zaangażowaną postawę. O społecznej postawie kadry zawodowej i całego wojska świadczy udział w ogólnopolskiej akcji budowy szkół 1000-lecia. Wojsko było fundatorem pierwszej w kraju szkoły Tysiąclecia w Czeladzi. W okresie 7 lat trwania zbiórki na SFBS, w siłach zbrojnych zebrano 125 mln złotych, przekraczając o 35 mln pierwotne założenie. Z żołnierskich złotych na terenie całego kraju wzniesiono 43 szkoły o 640 izbach lekcyjnych, 220 izbach mieszkalnych dla nauczycieli oraz 1045 mieszkań w internatach.

Istotnym wykładnikiem społecznej i politycznej roli wojska jest doskonalenie ogólne i szkolenie specjalistyczne żołnierzy służby zasadniczej. W latach 1960-1972 nauczaniem ogólnym objęto 106 563 żołnierzy. Żołnierze podczas służby wojskowej uzyskują lub podnoszą kwalifikacje w różnych specjalnościach i po pójściu do rezerwy oddają duże usługi gospodarce narodowej.

W wojskowych ośrodkach naukowo-badawczych prowadzone są prace wykonywane dla potrzeb wojska, ale dające się wykorzystywać również w gospodarce cywilnej, prowadzone są również prace wyłącznie na zamówienie instytucji cywilnych. W pierwszej grupie znajdują się opracowania z dziedziny maszyn matematycznych, automatyki, cybernetyki technicznej, metaloznawstwa, technologii obróbki materiałów, budownictwa i wielu innych. W drugiej znajdują się tematy opracowywane przez wojskowe placówki naukowo-badawcze i naukowo-dydaktyczne na zamówienie różnych instytucji cywilnych, a przede wszystkim przez instytuty i zakłady Polskiej Akademii Nauk. Ogólnie znana jest w tym zakresie, kontynuowana od szeregu lat działalność Wojskowej Akademii Technicznej.

Wojsko w tym układzie nie jest tylko konsumentem — w miarę swych możliwości wnosi ono do ogólnego potencjału ideowego intelektualnego i gospodarczego kraju konkretne i znaczące wartości na zasadzie sprzężania zwrotnego, w wielu wypadkach stymulujące i wzbogacające ogólny proces rozwoju społecznego i postępu technicznego. W tym wyraża się szczególny wkład wojska w realizację uchwał VI Zjazdu naszej partii.

Zgodnie z uchwałami VI Zjazdu I i Krajowej Konferencji PZPR Ludowe Wojsko Polskie nadal będzie poszukiwać nowych możliwości i rezerw, by spożytkować je owocnie na rzecz stałego zwiększania wkładu żołnierskiego w dzieło budowy nowoczesnego, socjalistycznego państwa.

Zobowiązując nas do tego wysoka ocena Sił Zbrojnych zawarta w dokumentach partyjnych i państwowych oraz uznanie wyrażane wielokrotnie przez I sekretarza Komitetu Centralnego naszej partii — towarzysza Edwarda Gierka, który m.in. stwierdził: „Mamy dobrą armię. Jest ona jednym z filarów istnienia Polski i dumą narodu”.

NAJKRÓTSZĄ DROGĄ...

(ZE WSPOMNIENI ŻOŁNIERZA)

Znawcy obliczyli — wolę wierzyć niż sprawdzać — że z Sielca znad Oki do Warszawy były 843 kilometry. Nie wiem tylko, jak liczono? Z wszystkimi zakosami — Sielce — Moskwa — Wiaźma — Lenino — Żytomierz — Kiwerce — Dorohusk — Dublin — Warszawa, czy też prosto „jak kilimkiem strzelił”?

Ala jakakolwiek byłaby to miara, była

to najkrótsza droga do kraju i najpewniejsza. Tak, jak w tej pieśni, którą śpiewaliśmy jeszcze w Sielcach:

„Najkrótsza droga do Warszawy
Dywizjo nasza, prowadź nas,
Narodzie wstań do walki krwawej,
Rozprawy z wrogiem wybił czas!

W 1943 i gdzieś do czerwca 1944 roku (do Kiwerce) stosowane były przeważnie marsze nocne — najcięższy — 256 km z Wiaźmy przez Krasnoje i Smoleńsk na poczcie wyścigowej po Lenino. Ten marsz to cała epopeja. Ja do dzisiaj go w kościach czuję (w przenośni i dosłownie). Szło się w pełnym uzbrojeniu i umundurowaniu, szło się przeważnie nocą pokonując różne przeszkody zbaczając z „warszawskiego szosy”... Na przelazie, pojedynczo przeskakiwać przejęcia. I biegiem do czoła kolumny marszowej. Trzeba było dawać zmianę w niesieniu erkaem i dysków, żeby erkaemista i amunicyjny nie ustali w drodze. Ciemność, senność, zmęczenie i nierzadko jesienny deszcz. Nie daj Bóg, żeby się wtedy owijacz zsunął...

Nauczyliśmy się iść i spać. Czasami była przerwa na odpoczynek lub postój przynusowy, bo czoło pułku natrafiało na przeszkodę i wtedy bractwo pokolem padało na ziemię, na bruk i momentalnie zasypało. A jednak wszyscy doszli. Bez maruderstwa, bez otarcia nóg i pomocy kompani sanitarniej. W naszej kompani strzeleckiej nikt nie odstąpił. Mam na myśli 3 kompanie strzeleckie, 1 batalionu 2 pułku piechoty — dowódca por. Wojciechowski, zastępca

p.por. Ustinow, oficer oświat, p. por. Zaleckowski. Mineliśmy Chelm, Lublin, lotnictwo nieprzejazdowe nie przeszkadzało nam w marszu. Mimo upału i obciążenia — trzecia dekada lipca — szło się w pełnym uzbrojeniu — szło się dość raźnie. Szliśmy przeważnie dniami.

Gdzieś w połowie drogi między Lublinem a Deblinem nocowaliśmy we wsi. Pachniały wieczorem sady, zboża jeszcze świeżego w stodółkach nie było, wdychało się zapach zeszłorocznej słomy, siana i koniczyzny z tegorocznego, pierwszego pokosu. Był to jedyny na tej trasie nocleg we wsi. Zapamiętałem go dobrze, bo mi przypominał znajomy podolski zapach a cóż może być lepszego niż nocleg na podziółce, po znoimym dniu marszu? Gospodarz pamiętający I wojnę światową, były żołnierz, rano zaprzął konia, żeby nam towarzyszyć „podwieźć dyski i co tam jeszcze macie ciężkiego”...

Mineliśmy miasteczko, bodajże Kurów, kiedy od czoła rozciągał się kolumny zamieszanie, niespodziewanie krzyk, na podaj dale! „lotnik! krwi się!” Jeszcze nie przebrzmiał rozkaz, a tu już skrzekot nurlającego nad gościńcem samolotu. Posypały się liście drzew przydroż-

nych a od nawierzchni gościńca jak ziarnka grochu — od stołu odbijały się poskiki. Rozciągnęliśmy się na boki, przez rów, w pole biegiem, przypadliśmy do ziemi. Zaczęły bić zenitówki, poleżałyśmy trochę czekając, czy samolot lotem koszącym nie wróci i zaczęliśmy formować się w marszu na gościńcu. A na gościńcu koń rżał, gospodarz leżał odrzucony parę metrów od zaprzęgniętej furmanki.

Po nieudanym forsowaniu Wisły pod Deblinem szliśmy w kierunku Warszawy, szliśmy przez piachy, szliśmy w dzień, nieprzyjacieli był blisko, za Wisłą, a przecież żadnego nalotu nie było. Tylko tamten jedyny raz.

Kiedy będę miał więcej czasu, a serce posłusze — piechur był kiedys ze mnie dobry — wybiorę się na stary, lubelsko-radomski trakt, szlakiem naszego marszu. I popytam we wsiach za Kurowem: czy był tu taki gospodarz, co w żniwa pojechał za wojskiem?

A może on nie zginął? Będzie mi wtedy lżej...

KAZIMIERZ GUZIK

JUBILEUSZOWE NAGRODY WOJEWÓDZKIE

Nagrody przydzielano co roku — tradycyjnie w uznaniu dla wysiłku ludzi nauki, sztuki, działaczy kultury, dziennikarzy, którzy przyczyniają się do dalszego rozwoju województwa łódzkiego. Przydzielano je także w uznaniu wysiłku indywidualnego i zbiorowego.

W tym roku, wśród laureatów nagrody Wojewódzkiej Rady Narodowej znalazł się zespół pracowników nauki Uniwersytetu Łódzkiego, który zajmuje się w swojej pracy naukowej analizą funkcjonowania terenowych organów władzy i administracji państwowej. A wyniki tych badań przyczyniają się do usprawnienia pracy rad narodowych i urzędów, począwszy od gminnego a skończywszy na wojewódzkim.

Zespół tworzą pracownicy nauki: doc. dr hab. Janusz Borkowski, prof. dr hab. Natalia Gajl, doc. dr hab. Wacław Piotrowski, doc. dr hab. Eugeniusz Smoktunowicz, prof. dr hab. Tadeusz Szymczak, prof. dr Jerzy Wróblewski.

Wśród nagrodzonych znalazły się jeszcze dwa inne zespoły, każdy z innej dziedziny życia województwa łódzkiego.

Nagroda przypadła zespołowi dziennikarzy „Głosu Robotniczego”, pracownikom działu partyjnego, redaktorom: Władysławowi Udalskiemu, Jerzemu Pili-chowskiemu i Józefowi Woldanowi. Publikują swoje artykuły przede wszystkim w wojewódzkim wydaniu „Głosu Robotniczego”, od dawna wyróżniają się wnikliwością, rzetelnością pracy dziennikarskiej, z użyciem penetracji rozległe rejony rolnicze województwa łódzkiego, podejmując nie tylko aktualne sprawy rolnictwa, ale szukając w życiu wsi tych wszystkich zjawisk, które godne są popularyzacji, przyczyniają się do postępu na wsi.

Nagrodę otrzymał też inny zespół. Wśród laureatów wojewódzkiej nagrody zawsze znajdowali się ludzie, zajmujący się rozwojem techniki, racjonalizacją i wynalazczością. W tym roku nagrodę otrzymał zespół pracowników Kutnowskich Zakładów Farmaceutycznych „POLFA” za opracowanie i wprowadzenie do produkcji sposobu wytwarzania polifamiksów. Produkcja polifamiksów w kutnowskiej „Polfie” ma poważne znaczenie gospodarcze. Jest to bowiem preparat niezbędny w nowoczesnym żywieniu zwierząt, który pozwala przy niewielkim zużyciu paszy uzyskiwać znaczny przyrost wagi u hodowanych zwierząt. Autorami tego opracowania są członkowie załogi kutnowskiej „POLFY”: Tadeusz Harenza, Jerzy Meller i Eugeniusz Dubiel.

Nagrodę wojewódzką w tym roku otrzymał też dr Tadeusz Olejnik, kierownik Muzeum Ziemi Wieluńskiej, historyk, zajmujący się badaniami naukowymi nad przeszłością tego regionu województwa łódzkiego. Tadeusz Olejnik ma w swoim dorobku naukowym przeszło 30 publikacji rozsyłanych po specjalistycznych periodykach.

Laureatką tegorocznej nagrody jest też Filomena Robakowska — rzeźbiarka ludowa z powiatu łęczyckiego. Rzeźbi ona sceny z życia wsi, rzeźbi bohaterów ksiązek, które aktualnie czyta, bohaterów legend ludowych. Jej prace znalazły uznanie wielu specjalistów, były nagradzane i wyróżniane.

Gratulując nagrodzonym i życząc im dalszej owocnej pracy dla dobra województwa łódzkiego, a tym samym dla dobra całego kraju, wypada też podzielić się pewną ogólniejszą refleksją. Otóż żyjemy obecnie w okresie, kiedy coraz skuteczniejsza staje się praca zespołowa, kiedy indywidualny wysiłek, potrzebny i ważny, już nie wystarczy. W niektórych dziedzinach kultury i sztuki i życia społecznego. W nauce, technice a nawet i tam, gdzie nauka łączy się ze sztuką, powodzenie przynosi wysiłek zbiorowy, zespołowy. I tę prawidłowość trzeba również uwzględnić w regulaminie różnego rodzaju nagród.

Oczywiście najważniejszy jest sam fakt wyróżnienia, docenienia ludzkiego wysiłku, wyrażenie społecznego uznania. To się liczy przede wszystkim i naszymi gratulacjami przyłączamy się do społecznego uznania, wyrażonego nagrodami wojewódzkimi.

B.M.

W 1970 roku stolicą włoskiej prowincji Calabrii zostało miasto Catanzaro, a nie Reggio. Wojna domowa, która z tego powodu wybuchła w prowincji (300 osób odniosło rany) przeniosła się na futbol. Wystarczyło odwołanie spotkania piłkarskiego między drużynami obu tych współzawodniczących z sobą miast, żeby kibice Catanzaro ogłosili strajk powszechny.

We włoskim mieście Caserta doszło do pogromu z powodu wykluczenia miejscowej reprezentacji piłkarskiej z drugiej ligi. Straty spowodowane tą „akcją” rozszalałych kibiców sięgały około 3 milionów dolarów.

W turniejach o Puchar Międzykontynentalny, w których biorą udział zdobywcy pucharów europejskich i południowoamerykańskich reprezentacji piłki nożnej, patriotyczne a także szowinistyczne nastroje kibiców, stojących do stronie tej lub innej drużyny, mogą mieć zasięg kontynentalny.

Podczas finałowego meczu w 1969 roku z udziałem „Milano” i „Estudiantes de la Plata” w Buenos Aires, niektórzy argentyńscy piłkarze, pewni poparcia swoich zwolenników, wpadli w furję. Bramkarz Alberto Poletti, już po finałowym gwizdku sędziego, nie przestawał bić włoskiego napastnika, Agirre Suarez rozbił łokciem nos środkowemu napastnikowi „Milano” Nesterowi Combeno.

Po zwycięstwie reprezentacji „Milano”, policjanci wdarli się do szatni włoskich piłkarzy, którzy w tym momencie puścili w koło puchar napelniony szampanem. Policjanci aresztowali najlepszego piłkarza włoskiej reprezentacji, środkowego napastnika Combeno, za uchylanie się od służby wojskowej; mając 18 lat wyemigrował on z Argentyny do Europy...

W zasadzie futbol może wywołać akcje agresywne tylko tam, gdzie drzemie konflikty i zasze incydenty przepelniały już miarę cierpliwości. W takich sytuacjach wystarczy mecz piłki nożnej, żeby rozgorzała wojna, jaka, na przykład, miała miejsce w 1969 roku między Hondurasem a Salwadorem. Oba te małe południowoamerykańskie państwa od dawna już patrzyły na siebie niechętnym okiem. Ludność Salwadoru — licząca ponad 3 miliony — 75 procent — stanowili metysi i 12 procent Indianie, cierpiąca nędzę i bezrobocie. 300 tysięcy mieszkańców Salwadoru przesiedliło się do sąsiedniego, bardziej zamożnego Hondurasu, którego terytorium jest 5 razy większe a liczba ludności nie przekracza 2,1 miliona. I chociaż Honduras odmawiał im obywatelstwa, niektórzy imigranci urządzili się lepiej niż mniej obrotna ludność miejscowa, nabyli ziemię i zdobyli dobrze płatną pracę. Wystarczyło, że Honduras popadł w trudność, a dyktatorzy rządzący krajem, w obronie własnej skóry, całe odium ludności skierowali przeciwko salwadorskiej mniejszości.

Wydarzyło się to w 1969 roku, kie-

dy żołnierze rozprężyli kilka demonstracji, używając gazów łzawiących. Żeby odwrócić uwagę mieszkańców od nie rozwiązanych problemów socjalnych, wojskowy dyktator Hondurasu, gen. Oswaldo Lopez Arellano, wydał zarządzenie o nacjonalizacji zagranicznej własności ziemskiej, a w pierwszej kolejności — własności ziemskiej salwadorskich emigrantów. Jednocześnie radio rozwinęło propagandową kampanię przeciwko sąsiadom Salwadorowi.

W tych okolicznościach piłkarska reprezentacja Salwadoru przyjechała do Tegucigalpy, stolicy Hondurasu, na eliminacyjny mecz piłkarskich mistrzostw świata 1970 roku. Honduras wygrał 1:0. Jednakże mecz rewanżowy w San Salvador wygrała reprezentacja Salwadoru w stosunku 3:0. W odpowiedzi w Hondurasie doszło do pogromu emigrantów z Salwadoru. „Oba kraje — pisała później angielska gazeta „The Daily Express” — szukały powodu do wojny”.

Tę „wojnę futbolową” prowadzono

Na zachodzie futbol wciągnięto w orbitę polityki, piłka nożna stała się częścią składową systemów walki politycznej. Politycy wykorzystują do własnych celów także jej potencjalne możliwości, jak agresywność, właściwość odciągania uwagi mas od drażliwych problemów oraz konsolidowanie społeczeństwa. Ale politycy poczuli też i na własnej skórze wymykające się spod kontroli, irracjonalne oddziaływanie piłki nożnej, siłę oczarowanych nią mas i potęgę ogromnej bezpostaciowej „partii” kibiców.

To wydarzyło się nocą. Dzwonki telefonów, niemal o tej samej godzinie, wyrwały ze snu wszystkich radnych członków SPD. Sygnały telefonów odzywały się po 25 razy. Nieznane osoby protestowały przeciwko podjętej przez samorząd miejski decyzji... w sprawie piłki nożnej. Ze względu na oszczędnościowych, radni — członkowie SPD, na posiedzeniu samorządu miejskiego Hannoveru, dwudziestoma głosami przeciwko pięciu odrzu-

tycznych członków municipalnych władz Hannoveru.

I tak, radni-członkowie SPD powtórnie głosowali nad wnioskiem, tylko że tym razem 17 członków zarządu miejskiego opowiedziało się za dokonaniem rekonstrukcji stadionu...

Politycy na Zachodzie, a nawet całe partie, często występują z poparciem futbolu nie tylko z racji zainteresowania dla tej dyscypliny sportu, co dla określonych korzyści. Państwo bierze na siebie wydatki, kiedy działaczom piłki nożnej nie starcza środków. W większości przypadków wszystkie frakcje parlamentu krajowych RFN oraz samorządów miejskich głosują „za”. Miłośnicy piłki nożnej znajdują się wśród przedstawicieli wszystkich kierunków i prądów „linii”, futbolowa „partia” nosi charakter ponadpartyjny. Piłka nożna usprawiedliwia tam wydatki państwa na ten cel, pozostawiając działaczom możliwość do podejmowania kroków i wystąpień zwiększających ich autorytet.

Prawdą jest, że nie każdy mecenasz może konkurować w tej dziedzinie z królem Maroka Hasanem II: król jest prezydentem wojskowego klubu piłki nożnej „FAR Rabat”, a reprezentacja, pozostająca na jego utrzymaniu, lata na mistrzowskie mecze osobistym samolotem króla. Co roku odbywa się międzynarodowy turniej piłkarski o „nagrodę króla Hasana”...

Możliwości krajów zachodnich są skromniejsze, ale i nimi nie można pogardzić. Ministrowie RFN jeździli z zachodniemiecką reprezentacją piłkarską do Meksyku i zawsze umieli się znaleźć w polu widzenia telewizyjnych kamer, skierowanych na piłkarzy — ulubieńców publiczności.

Amerykański tygodnik „Newsweek” pisał, że w 1970 roku, kiedy Brazylia po raz trzeci została piłkarskim mistrzem świata, prezydent Brazylii Medici skorzystał z ogólnej euforii radości, „żeby wyciągnąć dla siebie korzyści polityczne”, starając się pokazywać wśród tłumów w towarzystwie Pele, brazylijskiego bógyszcza piłki nożnej.

Medici mówił nieraz, że „opuszczał nawet posiedzenia rządu, żeby oglądać turnieje piłki nożnej”. Po trzecim zwycięstwie Brazylijczyków na mistrzostwach świata ogłoszono amnestię, a święto narodowe z tej okazji trwało trzy dni...

Żeby wzmocnić reprezentację piłkarską Urugwaju na mistrzostwa świata w 1974 roku, prezydent tego kraju anulował w 1973 roku wszystkie kary nałożone na piłkarzy urugwajskich, zdyskwalifikowanych za brutalną grę. Dlatego na łagodne mistrzostwa świata w piłce nożnej przyjechali środkowi napastnicy reprezentacji Urugwaju — Luis Cubilla, który swego czasu napłuł w twarz sędziemu i zignorował decyzję komisji dyscyplinarnej. Działacze piłki nożnej złożyli protest, niektórzy arbitrzy odmówili udziału w sędziowaniu, ale urugwajscy kibice triumfowali...

Po zwycięstwie monachijskiej reprezentacji piłki nożnej „Bawaria” nad drużyną angielskiego klubu futbolowego „Liverpool” w rozgrywkach o Puchar Mistrzów Europy w 1971 roku — pisze sportowy sprawozdawca hamburskiego „Der Spiegel” — jednemu z brytyjskich piłkarzy wwrwał się okrzyk: „Za to my wygraliśmy wojnę”!

JERZY CZECH

KULISY PIŁKARSKICH EMOCJI

(II)

DRUŻYNA KRÓLA HASANA II...

przy pomocy czołgów i samolotów. Wojska Salwadoru wkroczyły do Hondurasu i zbombardowały Tegucigalpę. Zginęło 3 tysiące ludzi. 16 tysięcy emigrantów uciekło z Hondurasu do sąsiedniego Salwadoru i musiało się gnieździć w nędznych obozach w oczekiwaniu na pomoc z zagranicy...

Nie mogła się także nie odbić na piłce nożnej wojna domowa w Północnej Irlandii. Z okazji przyjazdu do Północnej Irlandii zdobywcy pucharu Włoch, włoskiej reprezentacji „Roma”, w Belfastcie, w miejscowej gazecie „News Letters” ukazał się przerażający artykuł: „Włoskiej reprezentacji nie jest sądzone powrócić do ojczyzny, ponieważ prasa włoska i telewizja wystąpiły z napaściami na Ulster i Anglię. Czujemy się w obowiązku przeprowadzić i przeprowadzić, akcje egzekucyjne”. Od tej chwili drużyna włoska chroniła się specjalnie wzmocnionymi kordonami policji. Na szczęście, tym razem, skoczyło się na pogroźkach. Pragnąc uniknąć podobnych incydentów, działacze piłki nożnej w Północnej Irlandii przetransmisowali niejednokrotnie międzynarodowe spotkania piłkarskie do Anglii.

clif w 1970 roku projekt rekonstrukcji stadionu w Hannoverze w związku z mistrzostwami świata w piłce nożnej w 1974 roku. Prace te miały kosztować 18 milionów marek.

Korzystając z okazji, frakcja CDU w zarządzie miejskim poparła żądania kibiców: „Trudno sobie wyobrazić lepszą reklamę dla miasta niż telewizyjne transmisje dla milionów widzów”. Przewodniczący Federacji Futbola Dolnej Saksonii, August Wenzel, dołał oliwy do ognia oświadczając, że decyzja radnych SPD „zadaje śmiertelny cios piłce nożnej w Dolnej Saksonii”. Spór skłócił nawet zespół redakcji „Hannoversche Allgemeine”, w kronice miejskiej gazeta pochwalila decyzję o konieczności oszczędzania funduszy komunalnych, ale na kolumnie sportowej zgromiła SPD.

Przed kolejnym spotkaniem drużyn I ligi, zwolennicy rekonstrukcji stadionu rozpowszechnili przy bramie stadionu 40 tysięcy ulotek. „Należy zmusić socjaldemokratycznych radnych samorządu miejskiego do podjęcia właściwej decyzji” — czytali w ulotkach widzowie meczu. Na odwrocie ulotek wydrukowano numery telefonów domowych socjaldemokra-

POLITYKA ZAGRANICZNA, KTÓRA JEST ROZUMIANA I DOCENIANA

Nie ma bodaj tygodnia, aby środki masowego oddziaływania nie odnotowywały przejawów aktywności polskiej polityki zagranicznej. Inicjatywy na międzynarodowym forum, udział w pracach prawie 600 organizacji i stowarzyszeń międzynarodowych, liczne rozmowy polityczne w Warszawie i stolicach innych krajów, uczestniczenie w komisjach nadzorujących pokój, a także Doraźnych Siłach Zbrojnych ONZ — wszystko to składa się na obraz naszego działania na arenie światowej.

Wytęcza polskiej polityki zagranicznej pozostaje niezmiennie zapewnienie pokoju i rozwój przyjaźni współpracy między wszystkimi państwami. Miejsce Polski we wspólnocie socjalistycznej i jej sojusze stworzyły możliwości współdziałania w wypracowywaniu realnej perspektywy położenia kresu wojnom światowym. W zmieniającej się sytuacji europejskiej i światowej wraz ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi zmierzaliśmy do przyjęcia zasad pokojowego współdziałania przez wszystkie państwa. Zawsze mieliśmy na uwadze stworzenie takiego systemu, w którym bezpie-

czeństwo Polski i Europy opierałoby się na trwałych podstawach. Nasze kraje inicjowały więc bądź kompleksowe programy budowy ogólnoeuropejskiego bezpieczeństwa, bądź kroki częściowe, które ostatecznie prowadziły do tego samego celu.

Z myśli polskiej dyplomacji zrodził się plan utworzenia strefy bezatomowej w Europie Środkowej, a potem nieco węższej — zamrożenia broni jądrowej w centrum naszego kontynentu. Podjęliśmy inicjatywę zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji, która następnie stała się wspólnym programem krajów socjalistycznych, a w uborku została urzeczywistniona. Na forum ONZ zgłosiliśmy szereg propozycji, spośród których przyjęte zostały: konwencja o nieprzetrzymywaniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, opublikowanie raportu sekretarza generalnego o skutkach użycia broni nuklearnej, bakteriologicznej i chemicznej, rezolucja o ochronie i rozwoju wartości kulturalnych narodów...

Szczególnie bogate w międzynarodowe kontakty i dialogi są ostatnie trzy lata. Kalendarium wizyt, rokowań i porozumień jest niezmiennie obszerne. Multilateralne i bilateralne

negocjacje stały się szczególnie częste po proklamowaniu przez XXIV Zjazd KPZR programu pokoju, który przyniósł szereg konkretnych propozycji uzdrowienia stosunków międzynarodowych. Ofensywa pokoju krajów socjalistycznych dała oczekiwane rezultaty, doprowadziła do korzystnych zmian jakościowych w stosunkach między państwami o różnych systemach. W tej ofensywie Polska bierze aktywny udział. Z żelazną konsekwencją podejmujemy kluczowe zagadnienia, zbieżne z tendencjami rozwoju sytuacji światowej. Jednocześnie naszej polityki zagranicznej, jej pryncypialności, ale i elastyczności zarazem, sprawiły, że jest ona w świecie rozumiana i doceniana.

Weszliśmy w okres kulminacyjny obchodów trzydziestolecia Polski Ludowej. Z okazji tego jubileuszu podkreślaliśmy miejsce i pozycję naszego kraju w świecie. Czynimy to nie tylko dlatego, że dumni jesteśmy ze swojego dorobku, którego wielkość nie da się określić żadnymi przymiotnikami. Robimy to również dlatego, aby wyrazić zarysować dalszą drogę, uzmysłowić sobie nasze możliwości, a w rezultacie zarysować kształt Polski lat dwudziestych.

I w tej jubileuszowej refleksji właściwe jej miejsce zajmuje polityka zagraniczna.

W Tezach Komitetu Centralnego PZPR na 30-lecie czytamy:

„Osią naszej polityki zagranicznej jest i pozostaje sojusz, przyjaźń i braterska współpraca ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi. Siła naszej wspólnoty uwielokrotnia skuteczność działania Polski i każdego kraju socjalistycznego na forum międzynarodowym...”

Prowadząc nadal konsekwentną pokojową politykę zagraniczną bierzemy przyczynić się w miarę naszych możliwości do postępu odprężenia w świecie, do pełnego zwycięstwa leninowskiej idei pokojowego współdziałania państw o różnych systemach społeczno-politycznych, do rozszerzenia międzynarodowej wymiany gospodarczej i kulturalnej na zasadach równości i wzajemności”.

Nasze osiągnięcia społeczno-gospodarcze dają nam dobrą podstawę do prowadzenia polityki zagranicznej z pozycji kraju szanowanego w świecie, który ma licznych przyjaźni. Mijające trzydziście lat potwierdziło słuszność i dalekowszroczność polskiej polityki zagranicznej, zapewniającej bezpieczeństwo zewnętrzne krajowi.

Co tydzień na tym miejscu dokonujemy przeglądu najważniejszych aktualności międzynarodowych. Dziś odstąpiliśmy od tego zwyczaju na rzecz rocznicowej refleksji. W lipcowych dniach 1974 roku myśliśmy bowiem przede wszystkim o Polsce.

W. ŚLAWSKI

TEATR

Wydana w roku 1971 nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego powieść **Jerzego Wawrzaka** „LINIA” zwróciła na siebie uwagę krytyki jako odważna próba współczesnej beletrystyki politycznej, na której chronięcej wprost brak cierpi nasza literatura. Sportretował w niej autor, wykładając rzetelną znajomość realiów i mechanizmów społecznych, funkcjonariusza partyjnego, szczerą powiatowego, choć mamy w powieści ośrodek dyspozycyjny władzy, niezbyt wysokiego szczebla, to przecież decyzje, które podejmuje Michał Gorczyński, jego konflikty moralne i osobiste dramat można odczytać w sposób uniwersalny, co chyba przesądziło o sukcesie „LINII”, wyróżnionej nagrodą Ministra Kultury

ślusne (...) Dajcie mi medra, który mi powie, jak mamy to robić. Tak, żeby to rzeczywiście było sprawowanie władzy, i tak, żeby się ona nie stała tworem oderwanym od idealów, w imię których została powołana do życia”.

Oto brzemię, które na co dzień musi dźwigać każdy polityk. Jak sprawować władzę, aby nie stała się ona zaprzeczeniem idei, której służy? Polityk jest tylko człowiekiem, ma swoje ludzkie słabości i pragnienia, podczas gdy racja stanu wymaga niekiedy działań będących w konflikcie z jego osobistą sytuacją; jest w tym nie tylko sprzeczność, ale także głęboko ludzki dramat, którego nie potrafiła dostrzec literatura okresu schematyzmu.

Pisarze tamtego okresu ukazywali człowieka jako coś jednoznacznie danego i nie ulegającego zmianom, konstruowali go poprzez inwentarz pryncypów, w które wyposażano pozytywnego bohatera. Skoro sprawa była słuszną, wszystkie jego działania były także głęboko słuszone, bo służyły temu nadrzeczemu celowi. Ale to uproszczenie pozbawiało jednocześnie bohaterów moralnego wyboru, wartości-

konstruuje „faktomontaż w trzech aktach”, w którym osobiste racje Gorczyńskiego przeciwstawione zostają racjom zbiorowości, a w jego działania pewnym normom zwyczajowym w aparacie władzy. W ten sposób sprawa pierwszego sekretarza partii w powiecie rzucona zostaje na szersze tło społeczne i obyczajowe, staje się wieloaspektowa i niejednoznaczna, wymaga badania i dociekania, zmusza do refleksji i ocen sytuacji moralnych. Cenne jest właśnie to, że reżyser spektaklu **Jan Perz** wypunktował te walory adaptowanego tekstu, że nie dał się uwieść tylko rodzajowości, którą narzucały zewnętrzne realia. Świadomy tego niebezpieczeństwa, zrezygnował z wszelkiego naturalizmu, w czym pomogła mu oszczędna, lecz nader pomysłowa scenografia **Henri Poulaina**.

Poznajemy Gorczyńskiego na scenie w sytuacji krańcowej, kiedy bohater walczy ze śmiercią w kamieniczce szpitalu i przed naszymi oczami przeżywa się w montażu majaków i wizji, po prostu film jego życia, dzięki któremu poznajemy drogę życiową przyszłego działacza, jego awans, które wyniosły go na stolec pierwszego sekretarza partii, jego niezaakceptowaną



Na zdjęciu — Piotr Stefaniak i Remigiusz Rogacki.

Fot. Jerzy Neugebauer

MORALNOŚĆ I POLITYKA

i Sztuki. A co ważniejsze losy bohatera powieści wzbudziły zainteresowanie w środowisku działaczy partyjnych, często identyfikujących się z jego rozterkami, jak tego dowiodła dyskusja zorganizowana przez redakcję „Życia Partii”. Jeden z dyskutantów, podobnie jak Gorczyński, pierwszy sekretarz KP PZPR powiedział wprost: „Czytając „LINIE” czytałem książkę jak gdyby o sobie. Czasem taka lektura jest bardzo potrzebna”.

Władza nie jest czymś abstrakcyjnym, sprawowana jest przez ludzi, z którymi często bywa utożsamiana, toteż ich postawa, zaangażowanie, a przede wszystkim zrozumienie spraw środowiska, mają niewątpliwie wpływ na kształtowanie się nastrojów społecznych. Polityka jest dziedziną szczególnie odpowiedzialną, wymaga nie tylko zdolności kierowniczych, ale także „umiejętności wyboru takich metod realizacji celów państwowych, aby możliwe zmniejszać ryzyko społecznych wstrząsów. Polityk musi umieć przewidywać, gdyż jedna nie przemyślana decyzja, może obrócić wawecz nawet wieloletnie wysiłki jeden fałszywy krok może spowodować nieodwracalne skutki. Pół biedy, gdy kłeska ma charakter osobisty i godzi tylko w polityka. Sprawujący władzę zdaje sobie sprawę, że jego porażka może mieć także ogólnospołeczne konsekwencje. W taką świadomość jest wyposażony Michał Gorczyński z „LINII”. Mówi przecież:

„Czy wiesz, na czym polega sprawowanie władzy (...). Nie, nie wiesz. Twierdzę tak, bo byłem przecież jednym z was. Dla was wszystko jest jasne, dla mnie nie. Byłoby tylko być zachowania linia. Uważacie, że nam pozostaje tylko wejście w życie to, coście wymyśliли, przemiesz, uterenować, jak to okropnie nazywamy, wasze uchwały. Tak, na pewno

ciowania, zdejmowało z nich jak gdyby odpowiedzialność, stawiało ich w sytuacji ubezwłasnowolnionych.

Jest bezsporna zasługa J. Wawrzaka, że rysując postać Gorczyńskiego zaprzeczając takiemu schematyzmowi wizerunkowi polityka, czy też, jak go skromniej nazywa autor, działacza partyjnego. Pozbawiony aitu niemożliwości, zdemistyfikowany, prezentuje nam się ten sekretarz partii w powiecie, jako silna osobowość i człowiek głęboko uczuciowy, nie pozbawiony jednak także cech ujemnych, jak choćby jego skłonność do autokratyzmu. Osobisty dramat, który doprowadza do konfliktów i w konsekwencji rozejścia, nadaje jednocześnie tej postaci głęboko ludzkie rysy. Nie wiem czy jest to bohater typowy, czy tak właśnie przeżywa swoje sprawy przedstawiciele tej formacji umysłowej w Polsce, która dziś nazywamy „pokoleniem ZMP” ale jest on głęboko prawdziwy, realny i życiowy. I dlatego właśnie wzruszający. Zamiast że spłazi ulepił J. Wawrzak swego Gorczyńskiego z krwi i ciała, wyposażając go w aparat refleksji, w zdolność myślenia i przewidywania, ale także w prawo do czynienia pomyłek i ośledów. Nie dziwi mnie więc, że Gorczyński czekał się kilku już sposobów interpretacji na scenach teatru i adaptacji filmowej. Nie tak dawno zresztą „LINIE” J. Wawrzaka przedstawili teatr w Nowej Hucie, a Kazimierz Kut, przystąpił do realizacji filmu opartego na motywach tej powieści, obecnie zaś doczekaliśmy się nurecznie nowej adaptacji tego dzieła na naszej rodzimej scenie Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej.

Adaptator Władysław Orłowski sięgając po „LINIE” wzbogacił wątek fabularny o elementy zapożyczone z innej powieści tego autora — „Węże groty”.

przez małowartościową opinię normálną ludzką miłość do lektarki miejscowego szpitala. Cały akt pierwszy sztuki toczy się w świecie odrębnym, który wymagał od zespołu aktorów szczególnie starannego wypracowania, właściwego akcentowania w odpowiedniej chwili słowa i gestu, a od ekipy technicznej pomysłowości w operowaniu dźwiękiem i światłem (wykorzystano także efekt strobooskopu), by właściwie odczytać przekazywane przez autora treści.

Dopiero akt drugi jest właściwym wprowadzeniem w realia sprawy Gorczyńskiego, kreowanego na scenie przez Piotra Stefaniaka, który w pełni sprostał tej nielatywnej próbie roli. Wraz z Ewą Marią Hesse, która gra lektarkę Bukowską tworzy sceniczny Gorczyński parę wzbudzającą sympatię widza a osobisty dramat tych dwójga młodych, wartościowych ludzi, nadaje moralną kwalifikację wszystkim działaniom zwróconym przeciw temu zwińkow. Katarzyna Bukowska uciłowiała Gorczyńskiego, nadając jego racjom osobistym sens uniwersalny, ludzki a zarazem tragiczny, jego intencjom zaś — szlachetność i dostojność. Ale najbardziej przekonującą postacią stworzył sceniczny Juzala, przewodniczący komisji kontroli partyjnej Remigiusz Rogacki. Juzala reprezentuje doświadczenie i rozsadek, przenikliwość i upór, pryncypialność i uczciwość. Jest typem działacza starego typu, ale potrafi myśleć nowocześnie, doświadczenie życiowe nauczyło go zachowywać dystans wobec przeszłości, a jednocześnie wybiegać myślą w przyszłość, przewidywać, dostrzegać, pełnić rolę Gorczyńskiego błędy potrafi Juzala zrozumieć ich źródło i usprawiedliwić w pewnym sensie pospiewanie „oskarżonego”. Działaczem starego typu jest także przewodniczący

powiatowej rady Cendrowski, którego gra Henryk Dudziński. Jego racje są logiczne i zrozumiałe, reprezentuje on bowiem tradycję, ciągłość losu ludzi miasteczka, które Gorczyński stara się radykalnie przemodelować. Interesujące przeobrażenie przechodzi Walicki grany przez Zbigniewa Bielskiego. Przesłany do Kamieńca, aby „dobić” skompromitowanego Gorczyńskiego, po zapoznaniu się z przebiegiem wypadków, staje się najgorliwszym jego obrońcą. Ten pozorny lektoduch potrafi zrozumieć, że kłeska Gorczyńskiego byłaby kłeską nowego sposobu myślenia, dochodzi więc do tych samych wniosków, co reprezentujący sumienie partyjne Juzala. W wyróżnienie zasłużył także Kazimierz Jaworski grający trudną rolę Kulasa, kombatantha zagubionego w życiu, który swoją grą zagęścił wizerunek obyczajowy Kamieńca.

Nie sposób zresztą omówić wszystkich ról, bo sztuka jest wieloobsadowa. Wymienimy więc tylko, że rolę Gorczyńskiego grał **Anna Cellari**, inspektora Brzezńskiego **Włodzimierz Tympański**, przewodnicząca Miejskiej Rady Narodowej Kowalską — **Barbara Wieckowska**, „Starego” pierwszego sekretarza KW — **Edward Łowicki**, Naczelnego „Gazety Robotniczej” —

Tadeusz Trygubowicz, dra Bukowskiego — **Tadeusz Teodorczyk**, jego żonę, matkę Katarzyny — **Danuta Cwynarówna**. Prócz tego w spektaklu udział biorą: **Irena Ferworm**, **Euzebiusz Olszewski**, **Janusz Dudziński**, **Andrzej Błaszczak** i **Wiesław Szewczyk**.

Akt trzeci sztuki stanowiący „ślad” nad Gorczyńskim pozostawia bohatera w sytuacji otwartej. Scena ta jest może nieco przydługa, lecz pełni ważną dramaturgiczną rolę, w niej bowiem najpełniej konfrontują się przyczyny postawy moralnej Gorczyńskiego. Jego osobowość znajduje pełne uzasadnienie, Gorczyński nie wychodzi z tej sytuacji zwycięzca, ale też nie zostaje pokonany. Wierzymy, że jego doświadczenia, nie zawrócą go z obranej drogi, chociaż przydadzą na pewno jego dalszym poczynaniom więcej rozwagi.

KONRAD FREJDLICH

Jerzy Wawrzak: „LINIA”, faktomontaż w trzech aktach. Adaptacja Władysław Orłowski, reżyseria Jan Perz, scenografia, **Henri Poulain**, opracowanie muzyczne **Bronisław K. Przybylski**. Szósta premiera sezonu 1973/74 w Państwowym Teatrze Ziemi Łódzkiej.

Pułkownik Grosz przyjął mnie bardzo serdecznie. Wprawdzie na wejście do jego gabinetu, czarnego od dymu mocnych papierosów, wypadło mi czekać około dwóch godzin, ale wreszcie stanąłem przed nim wyprężony na baczność.

— Proszę usiąść.

Usiadłem w głębokim skórzanym fotelu. Pułkownik przeczytał z uwagą podaną kartkę i unosił znad biurka zmęczone i jak mi się wydało, moeno przekrwione oczy, zaskoczył mnie nieoczekiwanym pytaniem.

— Czy rzeczywiście chcecie zostać oficerem polityczno-wychowawczym?

— Nie, panie pułkowniku, zanim zostanę oficerem skończy się wojna. A ja chciałbym już znaleźć się na froncie.

— Teraz linia frontu przebiega wszędzie. Nawet i tu w Lublinie — powiedział jakby do siebie i natychmiast dodał: — Skoro upieracie się przy swoim, proszę bardzo. Dam wam specjalne skierowanie. Zostaniecie sprawodawcą frontowym... Znalazicie Szeniwa-

da? — spytał nieoczekiwanie.

— Nie, znam tylko jego wiersze.

— Szkoła on także był sprawodawcą. A teraz zgłoszcie się do radia. Właśnie tuż obok, na Krakowskim Przedmieściu, uruchamiają rozgłośnie. Niech was wypróbuje. Korrespondencje z frontu trzeba będzie czytać przed mikrofonem. To wszystko, życze powodzenia.

I tak oto skończyła się moja kariera wojskowa. Do radia udałem się z mocnym bliznym sercem. I dopiero w drodze uświadomiłem sobie, że przecież nie mam żadnego listu ani skierowania. Na miejscu okazało się jednak, że dyrektor Billig został już poinformowany telefonicznie o mojej wizycie.

W parę minut później znalazłem się w prowizorycznym studio sam na sam przed kancelarią obliczonym ogromnego mikrofonu. Pogodny i wyraźnie żywiliem usposobiony ciemny brunet o niewielkim aksamiłym głowie, który mnie tu wprowadził, na widok mojej nobladnej twarzy uśmiechnął się i zażartował.

— Proszę czuć się jak u siebie w domu.

Oczywiście nie przypuszczałem wtedy, że radio istotnie stanie się moim domem na długich sześć lat, tak jak nie wiedziałem i o tym, że sympatyczny brunet nosi nazwisko **Albert Harris** i jest kompozytorem oraz autorem tekstu „Piosenki o mojej Warszawie”.

A teraz proszę uważać. Po moim wyjściu ze studia, na widok czerwonego światła, zacznie pan mówić do mikrofonu.

— Co mam mówić?

— Obajcie... Może być któryś z pańskich wierszy. Na przykład ten, który czytałem w ostatnim „Odrodzeniu”.

Wyszedł. A kiedy zabłysła czerwona żarówka, w nainymy przekonaniu, że mój głos dopiero wtedy dotrze do najbliższych zakątków świata, kiedy wykorzystam go w całej pełni, ryknąłem do mikrofonu z taką siłą, że gdzieś za drzwiami rozległy się alarmujące okrzyki. Do studia wpadł przerażony technik i nie panując nad sobą, zawołał:

— Ciszej, do jasnej cholery, o mało pan nie rozwalil całej aparatury!

Dalsza próba miała pomyślniejszy przebieg. Okazało się, że jako sprawodawca frontowy, mogę sam wygłaszać swoje relacje. Ponieważ jednak radio odczuwa brak speakerów, gdzie dotychczas wszystkie dyżury od rana do wieczora pełnił jeden młody człowiek, natychmiast zatrudniono mnie w rozgłośnie.

Nazajutrz poznałem **Tadeusza Chabrosa**, pierwszego speakera Polskiego Radia, który swą pracę rozpoczął już

W ciągu najbliższych dni raz tylko znalazłem się na niedalekim froncie, przywołując piętnastominutową relację do dziennika wieczornego.

8 września zostałem programowem Polskiego Radia, kapitan Nadzina. Dobroduszny kapitan o niewielkim wzroście

i obsługa mikrofonów sprawozdawczych. Z wrażenia na moim czole pojawiły się kropki potu. Kapitan uśmiechnął się przyjaźnie.

— Stucham was od kilku dni i jestem przekonany, że dacie sobie radę. A zresztą nie taki diabeł straszny jak go malują.

Na pożegnanie wręczył mi kartę

... I ZOSTAŁEM SPEAKEREM

i czarnych jak smoła wąsikach, w nie-nagannie skrojonym mundurze, powitał mnie jak starego znajomego.

Sprawa była istotnie ważna. W najbliższych dniach, a ściślej mówiąc już jutro, rozpocznie się uroczyste posiedzenie Krajowej Rady Narodowej. Obrady trwać będą przez kilka dni. Na posiedzenie przyjdą także zagraniczni

wstępu na jutrzejsze posiedzenie, która umieszczał w portfelu z wielkim pietnizmem.

Nazajutrz ubrany w cywilne ubranie, z duszą na ramieniu, znalazłem się w Sali Konferencyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej, przy ulicy Spokojnej. Przyszedłem oczywiście nieco wcześniej.

Technicy kończyli już przegląd mikrofonów. Zatrzymałem się przy mikrofonie przeznaczonym dla przewodniczącego obrad i rozpocząłem próbę głosu: — Uwaga, licze: raz, dwa, trzy, cztery... — Doszedłem tylko do pięciu, kiedy tuż koło mnie zatrzymał się mężczyzna w ciemnobrowym garniturze i kładąc mi dłoń na ramieniu, zapytał:

— Czy moglibyście przesunąć ten mikrofon bardziej w prawo?

— Ależ oczywiście.

W parę minut później dowiedziałem się, że obywatel w brązowym garniturze jest przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej i nazywa się **Bolesław Bierut**.

Wkrótce na sali zgromadzili się pozostali członkowie KRN i PKWN: przewodniczący i kierownik Resortu Spraw Zagranicznych — **Edward Bolesław Osóbka-Morawski**, wiceprzewodniczący, kierownik Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych — **Andrzej Witos**, kierownik Resortu Obrony Narodowej — gen. broni **Michał Rola-Zymierski**, zastępca kierownika Resortu Obrony Narodowej — gen. dywizji **Zygmunt Berling**, przedstawiciel rządu ZSRR — **Mikołaj Bułganin**, przedstawiciele prasy miejscowej, radzieckiej oraz goście zagraniczni.

Posiedzenie otworzył przewodniczący

wej powtarzali za przewodniczącym tekst ślubowania:

„Ja, członek Krajowej Rady Narodowej, syn narodu polskiego, cierpiącego barbarzyńską niewolę niemiecką, ślubuję uroczyście poświęcić swoje zdolności rzetelnej pracy, według mego najlepszych rozumienia i zgodnie z sumieniem, nad kierowaniem losami narodu w walce o wolną i niepodległą demokratyczną Polskę.

Wobec niebezpieczeństwa, grożącego ze strony okupanta hitlerowskiego i wysługujących się mu zdrajców polskich, obowiązki swe pełnić będę z zachowaniem bezwzględnej konspiraacji i odpowiedzialności przed narodem polskim”.

W chwili później zasłuchiwałem nieprzewidziane wydarzenie. Nad miastem rozległa się wycie fabrycznych syren. Ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Obrady zostały przerwane. Goście zagraniczni, a szczególnie Amerycy z wyrażonym pośpiechem udali się do schronu. Wiekosze zgromadzonych nie opuściła jednak sali.

Po kilkunastu minutach nieprzyjacielski samolot, który przedarł się przez linie frontu, umknął ostrzelany salwami artylerii, a obrady potoczyły się dalej bez najmniejszych zakłóceń.

W parę dni później, 13 września, w Sekretariacie Prezydium Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wręczono mi uroczyste legitymacje i przepustki wielokrotną dającą mi prawo wstępu w godzinach pracy do Resortu Informacji i Propagandy. Legitymację podpisał i wręczył mi osobiście sekretarz Prezydium PKWN, **Jan Karol Wende**.

IGOR SIKIRYCKI



Fot. Archiwum

przed paroma tygodniami, nadając pierwsze komunikaty wojenne ze studia mieszczącego się w wagonie kolejowym.

Od tej pory Polskie Radio Lublin, czyli popularna „Pszczółka” zabrzmiła naszym speakerowskim dwugłosem.

goście, między innymi Francuzi i Anglicy. Po raz pierwszy nasze radio przeprowadzi transmisję z tak podniosłej uroczystości.

Krótko mówiąc, przypadł mi w udziale zaszczyt zapowiedzi wstępnej obrad

„KRAKOWIACY I GÓRALE” JESZCZE RAZ

19 lipca br. Teatr Wielki zaprezentuje premierę „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego. Utwór ten powstał w przededniu Powstania Kościuszkowskiego i uważany był powszechnie za „pobudkę do rewolucji”. Łódzka publiczność była świadkiem pierwszej po wojnie inscenizacji „Cudu mniemanego...” dokonanej przez Leona Schillera w Teatrze Wojska Polskiego. Obecna inscenizacja przygotowana przez Jan Skotnicki i Jan Uryga.

— Jakże są, zdaniem Pańców, trwałe wartości tego utworu? Czy są to tylko wartości historyczne?
Jan Skotnicki — Nie wiążę tym „Krakowiaków i Górali” tylko z sytuacją polityczną XVIII wieku. Nie dochował się przecież pierwotny rękopis, a wiadomo, że Bogusławski wprowadzał później wiele zmian. „Krakowiaków” wystawiał kilka razy i zawsze coś tam dodawał na jakąś okazję — był przecież wspaniałym politykiem. Zbliżony do kręgów wolnomularskich miał określone poglądy na problem wojny i pokoju oraz rolę ludzi światłych w społeczeństwie.

„Cud mniemanego” jest przede wszystkim opowieścią o mądrym człowieku, wywodzącym się z ludu i lud ten rozumiejącym, o człowieku, który poradził dwie zwaśnione grupy społeczne. I to jest właśnie trupa do dziś wartości tego utworu. Nie na dar-

mo jest to, jak sądzę, utwór o krakowiakach i góralach, a nie na przykład o mieszkańcach Mazur i Kujaw. Bogactwo folkloru krakowskiego stanowiło o kulturze tej ziemi. Natomiast tuż za nią istniała terra incognita — dżiki region górski, którego nikt dobrze nie znał i który różnił się zasadniczo od całej Polski. Trzeba pamiętać, że był to region ludzi nie mających nie wspólnego z państwową, wolnych nie i biednych. Jest to więc utwór o konflikcie dwóch kultur i o człowieku, który pogodził dwie zwaśnione grupy społeczne.

Nie wolno zapominać, że „Krakowiacy i Górale”, to śpiewogra, a więc o treści tej sztuki nie decyduje, tylko tekst. Stefanemu udało się ukazać krakowski folklor muzyczny lepiej niżeli góralski.

Jan Uryga — Stefani nie mógł dobrze znać rdzennego folkloru tatrzańskiego. Folklor podgórski znał lepiej. Mógł się z nim zetknąć na jarmarkach w Suchoj Beskidzkiej, Limanowej, Piaskach czy Wieliczce, najdalej w Krakowie. Toteż ogromna część wysiłków w pracy nad naszym spektaklem związana jest z uwiarygodnieniem góralskiej muzyki.

— To znaczy?
Jan Uryga — Opierając się na Stefanem i Kurpińskim, a także na autentycznych motywach góralskich, prawie nie zmieniając rytmiki i porządku poszczególnych pieśni. Franciszek Bartus opracował jak gdyby zupełnie nową muzykę. Brzmiała ona trochę jak ektat. Jest instrumentowana na kapele góralską i wykonywa-

na przez nią na scenie. Trzeba więc było „uzgodnić” sposób poruszania aktorów z rytmem muzyki i uwzględnić obecność kapeli — np. przed kolejnymi występami grajków bohaterowie sztuki wpłacają pieniądze do kieszy muzyków. Jest to zabawa zgodna ze zwyczajami tego regionu.

Jan Skotnicki — W ogóle staraliśmy się wyciszyć ów folklor góralski. Te sprawy dostrzegaliśmy już w pracy nad „Krakowiakami i Góralami” w 1970 roku w Nowohuckim Teatrze Ludowym.

Kiedy sięgnęliśmy do historii kostiumów okazało się, że górale w tym czasie nie nosili kolorowych zbrojniczych ubiorów.

Jan Uryga — Górale chyba nigdy nie nosili tak pięknych, ale szalenie niewygodnych w ich zbrojniczej działalności strojów. Wysoka zbrojka czarna, bogaty pas, liczne ozdoby — tak chyba najpierw ubrano tajemną moc — wiatr halny, który przybywał z gór. Potem zaczęto tak wyobrażać sobie postać zbrojnika. No i przede wszystkim pod ówczesny Kraków zbójcy nie mogliby przyjechać w pełnym „rynsztunku bojowym”, nie obawiając się policji.

— A czy za cenę zgodności z prawdą historyczną nie ucierni w tym spektaklu jego walor wizerunkowy?

Jan Skotnicki — O, nie! To w ogóle jest chyba nawet bardziej miłośnicze. Dysponujemy wielką sceną, ogromnym zespołem aktorskim, który na tej scenie można ciekawie komponować.

— Jan Uryga — Scenograf, Marian Stanczak, osadził spektakl w czasie wiosny, choć na ogół zwykło się uważać, że akcja „Cudu mniemanego” dzieje się latem. Okres zimny, praca w polu — wszystko to nie sprzyjało tak wielkim uroczystościom jak zasłabiny. Z reszty wesela odbywały się w wiosna. Natomiast wczesna zieleń, kwitnienie sady i kontrastujące na tym tle czarno-białe kostiumy góralskie i krakowskie — błękitno-czerwono-białe znakomicie podkreślają stronę wizualną inscenizacji.

— Wielka scena tego teatru ma więc dla Pańców wiele zalet. Sądząc jednak, że nastroje również i trochę kłopotu. Wymaga szeregu zabiegów inscenizacyjnych.

Jan Skotnicki — Tak. Utwór ten jest napisany na scenę operową, co powoduje zasadnicze trudności — trudności czysto dramaturgiczne. Sceny masowe przeplatane są bardzo indywidualnymi scenkami aktorskimi, a cały akt IV rozgrywa się tylko między sześcioma osobami. Jak na tę scenę to za mało. Mielśmy więc dwie koncepcje inscenizacyjne do wyboru. Albo kameralna, albo wielka feta. Okazała 30-lecia, środki jakie nam tu dano do dyspozycji, to wszystko powoduje, iż kierujemy naszą inscenizację raczej w stronę teatru, co nazwałbym wielką fetą. Ale to z kolei zmusza nas do uwzględnienia owych trudności dramaturgicznych utworu, dokonywania zmian jak wręcz „faserowania” sztuki tak, by solisci mogli się wysławiać. Ponadto nie uważamy, że inscenizacja za ostateczną. To utwór otwarty. Opracowania jest bardzo pięknie warstwa tekstowa, warstwa muzyczna zaś nie jest ostatecznie skodyfikowana.

— Inszenizacja „Krakowiaków i Górali” będzie, szczególnie w Łodzi, okazją do porównania z tamtym pierwszym, w powojennej Polsce, wystawieniem sztuki Bogusławskiego. W jakim stopniu korzystają Państwo z wzorca inscenizacji Leona Schillera.

Jan Skotnicki — Schiller przywrócił „Krakowiaków i Górali” polskiej scenie. Nie można odstępować od jego wizji sceniczej, bo nie można odstąpić jej zmienić zasad dramaturgii, które on

przecież w utworze Bogusławskiego wprowadził. Trzeba jednak pamiętać o tym, że inscenizacja Schillera powstawała w konkretną sytuację społeczno-polityczną wyzwolonej Polski. Wszystkie następne powtórzenia tej inscenizacji już nie osiągnęły takiego sukcesu. Odezwane od wspomnianej sytuacji i od wielkiego reżysera zdąży się być martwe.

Schiller wprowadził wiele pieśni. Niektóre uwzględniłmy zgodnie z prawem „wyczyszczenia” nierówności kompozycyjnych utworu Bogusławskiego. Zachełaliśmy, trochę na życzenie zespołu, zupełnie ahistoryczny wtręt w postaci „Pieśni Kosynierów” Ancezy i Hofmana, która przecież powstała blisko 100 lat po „Krakowiakach”. Zastanawiamy się czy nie dopisać kupletów o 30-leciu, tak, jak to zrobił Schiller wprowadzając do swojej inscenizacji tematy aktualne w powojennej Polsce. Czy jednak nie urzeka nas wystarczająco swoją naiwnością i prostotą autentyczny tekst Bogusławskiego? Nie lepsze nie napiszemy jak to, co on napisał. „Pocziwość, wierność, miłość i zgoda niechaj pod naszym dachem panuje”. Cóż tu można lepszego dodać? Dlatego w warstwie tekstowej staraliśmy się raczej powrócić do wersji oryginalnej.

Jan Uryga — W warstwie muzycznej, w ruchu scenicznym i grze aktorów pragniemy jak najbardziej zbliżyć się do autentycznego folkloru.

— Śpiewogra — ten gatunek jest ostatnio coraz bardziej popularny. W czym upatrują Państwo źródło tej popularności?

Jan Skotnicki — Śpiewogra była i jest popularna od wielu wieków. To znaczy — są w historii teatru okresy, kiedy wchodził tekst i teatr mówiony. Są to okresy gwałtownych przemian społecznych, kryzysów, rewolucji. W chwilach spokoju i stabilizacji powraca się do teatru muzycznego i wszyscy zachwycają się „Śnem nocy letniej”. Przerobionym na operę. Przy zabiegach tego typu wartości humanistyczne utworu gubią się w inscenizacyjności, śpiewie, bogatych kostiumach. Nie jest to oczywiście

TEATR

żelazną regułą, bo na przykład „Hair” jest muzycznym przedstawieniem, które stoi w opozycji do całego muzycznego teatru. Ale to musical, którego nie należy mylić ze śpiewogą. Śpiewogra jest polskim gatunkiem (mimo kłaki z niemieckiego — Singel), bo przywiązujemy do tego terminu określone treści. Śpiewogra jest utworem, w którym wartości ludowe czy narodowe kultury polskiej są najistotniejsze.

— Te ludowe i narodowe treści mają specyficzny wpływ na klimat przedstawienia. Po prostu jednoczą scenę i widownię we wspólnej zabawie.

Jan Uryga — I to wpływa na popularność śpiewogry. Przyciąga ludzi do teatru.

Jan Skotnicki — Bo takie są również i źródła teatru. W naszym wypadku opierają się przecież na wielu obyczajach, zabawach, festynach, weselach, pogrzebach. A te zawsze odbywały się we wspólnym kręgu uczestników. My staraliśmy się przenieść ów krag na scenę pudełkową i dziwnym się, dlaczego to nie zawsze się udaje. Tym bardziej trudno jest tu pokonać tradycję opery, która jest przecież formą rozrywki ustabilizowanego społeczeństwa — siadającego w wygodnych fotelach i oglądającego sceniczny świat. Przecież aż się prosi zbliżyć miejsce gry do widowni. A w gmachu opery rozdziela je jeszcze kanał. Nie jest to oczywiście naczelnym naszym pragnieniem, ale owa wspólnota sceny i widowni w śpiewogrze pragnęlibyśmy również wykorzystać.

Rozmawiał:
PIOTR SŁOWIKOWSKI

TOAST ZA NARODOWĄ ZGODĘ

Ta książka wyszła z konkursu literackiego z okazji 30 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej. Konkurs rozpisano Wydawnictwo „Śląsk”. Tytuł powieści „Pojednania” Jej autorem jest Wiesław Jażdżyński.

Konkursów literackich było i jest u nas na ogół dużo. Mówi się nawet, że za dużo. To nie konkursów jednak jest, czy było za dużo. Taką imprezą powinna być zawsze opłacalna dla literatury. Dla pisarza również, ponieważ wydobywa go często z anonimowości, zwraca uwagę na walory jego pióra, a zwiększony nakład pokonkursowy pozwala mu dotrzeć do tzw. „czytelnika masowego”. Jeśli więc mówiło się o nadmiarze konkursów literackich, miało się na myśli książki wylaniane z konkursów, które nie wnosyły do literatury niczego nowego, albo takie, które spełniały ten postulat w sposób ograniczony.

Jurorzy chętnie nagradzali pozycje nie sprawujące kłopotów, bezdyskusyjne, a więc — wygodne. Tym większe uznanie należało się jurorowi konkursu na powieść z okazji 30-lecia PPR.

Dzielo literackie to oczywiście i przede wszystkim treść. Wiadomo także, że z treścią jest nierozdzielnie związana forma. Zgadza się też, że recenzent nie powinien się rozpisywać na temat formy książki, bo ten rodzaj analizy literackiej należy do zawodowej krytyki. Recen-

zent, pisze dla czytelnika, a więc możliwie zwięźle i dokładnie rekapitulując fabułę powieści. Jego rolą jest zacheć do przeczytania, do kupienia książki, wyrażanie dobrych gustów, słusznych postaw za pomocą literatury.

Cóż robić jednak z książkami, których treść tak dalece zawisa od formy, że bez takiej, a nie innej, określonej konstrukcji, nie byłoby i powieści. Nie byłaby to książka tak dobra, lub taka interesująca, inna od wielu, a więc coś nowego właśnie wnosząca do literatury. W sumie, zawsze przecież chodzi o literaturę, o dorobek myśli narodowej, a do takiej roli może aspirować powieść Jażdżyńskiego.

To dużo — to bardzo wiele powiedziane. Czas sprawdza wszystko, co było i jest napisane i czas tylko może potwierdzić ten sąd. A może ściślej — przewidywanie, że ta książka w literaturze pozostanie. Po prostu dlatego, że jest świadectwem swego czasu, toczących się w nim sporów, ludzkich tragedii i zwycięstw — przegód. Jażdżyński zaprezentował w niej dojrzały sposób narracji — pełen dystansu do opisywanych wydarzeń, zbyty osobistych emocji, zaciemnionych sądów. Czuję się w tej prozie w wielu miejscach raz dobitliwy, raz cierpliwy smak ironii, znamionującej pisarza i człowieka, który sporo prze-

myślał, dużo widział, co pozwała nie tylko wyrażać racje, ale i szaleństwa młodości potraktować z łagodnym przymrużeniem oka. To sprawia właśnie, że „Pojednania” tak dobrze się czyta. Różne w nim bowiem mamy szaleństwa — młodych bohaterów, a więc przeciętne, niejako normalne i szaleństwa pierwszych dni wolności odradzającej się Polski, szaleństwa rewolucji, które Lenin nazywał „dziecięcą chorobą lewicowości”.

Odnajdziemy w tej książce siebie z tamtych lat — okupacji i pierwszego okresu po wyzwoleniu.

Należy tu zwrócić uwagę na fascynację pierwszymi miesiącami polskiej rewolucji, jakiej ciągle podlegają pisarze. To zauroczenie potwierdza raz jeszcze tezę, że temat przełomu lat 44/45 nie został wyeksploatowany do końca, a każdy twórca widzi te wydarzenia po swojemu.

Powieść Jażdżyńskiego jest właśnie ilustracją owego „wzduchnia po swojemu”. Autor „Pojednania” stara się być sprawiedliwy. Widzi polską rację stanu i rolę w niej komunistów. Widzi szlachetność, dalekowzroczność programu polskiej lewicy, obozu zjednoczonej demokracji. Dostrzega też zawiści, czy początki błędów, które zaciąga później na praktycznej budowie socjalizmu, przysporzą wielu kłopotów ludowej władzy. To są

na pewno aktywa powieści. Jażdżyński w osobach swych bohaterów zwraca uwagę na niewątpliwie fakt znaczący, a nawet głęboki różnic w postawach ludzi o przekonaniach prawicowych, czy prościej powiedzcie, tradycyjnych, odziedziczonych po własnej klasie, Polse pańskiej i burżuazyjnej. Takich dowodów AK-owskich, jak major Anioł, czy porucznik Kmicie liczyli sobie Polska z lat przełomu 44/45 na kopy. Jedni, jak Anioł, zmierzali do zgody narodowej, inni, jak Kmicie mordowali bez pardonu. O mordach nie wolno nam zapomnieć nigdy i nigdzie. Tak bowiem w historii trzeciej Rzeczypospolitej, pierwszy raz obnażył swoje kły rodzimy faszyzm. Czy ludzie wówczas zdawali sobie z tego jasno sprawę? Można powtórzyć za Jażdżyńskim — nie wszyscy. Z tego względu przypomnienie tych faktów historycznych we właściwym świetle jest terapią społeczną, narodową i po prostu — ludzką. Z perspektywy lat trzydziestu można to zrobić, a nawet należy. Samowiedza to pierwszy stopień do mądrości. Podnoszenie samowiedzy zbiorowej wychowuje, pomaga szarym obywatelom przeprowadzać szybkie, trafne analizy społeczne i polityczne.

Być może Jażdżyński ma więcej serca do swego Anioła, a więcej rozumienia autorskiego zostało włożone w postać Poświata — Mściela, ale nie ma sensu rozważanie, co więcej, warte, rozum, czy serce. Cóż bowiem znaczy rozum bez serca, albo samo głupie serce bez rozumu? Kapitałną wręcz sceną w książce jest historia pierwszego po wojnie przedstawienia teatralnego w miasteczku. Sztuka nazywała się właśnie „Pojednania” i napisał ją młody amator, partyzancki felczer. Z pojednania narodowego na scenie nie

nie wyszło. Aktorzy — partyzanci różnych grupowań okupacyjnych pobili się na deskach podczas awarii zdezelowanych wojennych urządzeń elektrycznych. Naprawdę nie wiadomo kto kogo strzelił, kto potrafił, bo miejsca na podium było mało, chętnych do występów dużo, a w ciemnościach łatwo o uchybienie grzeczności.

Zapewne jest to autorska metafora, ale i dowcip — przedni. Mielśmy mnóstwo książek, opowiadań, powieści o walce i martyrologii narodu polskiego, związanych z nim nierozdzielnie losach polskich Żydów. Nasza literatura szczepi się najsilniejszą w piśmiennictwie europejskim stawką powieści z drugiej wojny światowej. Są to książki o bohaterach walki czynnej, z bronią w ręku. Jażdżyński napisał powieść o silej tajnej służby medycznej, lekarskiej. Już sam zakres tematyczny czyni tę książkę inną i przez to — ciekawą.

Na koniec — jej forma. Losy bohaterów „Pojednania” są rozpięte na kanwie, na mistycznej „drabince” etapów, stanowiących nie tylko czas powieściowy, zmyślony przez autora, ale również realny czas historyczno-polityczny. Każdy z tych „etapów” symbolizuje jeden ranny doktora Budryna, szefa tajnej służby lekarskiej w miasteczku. Zaczynamy od rannego plutonowego z września — Fabijańskiego, który sam, z własnej inicjatywy zaraz po klęsce zbiera broń na polach bitew i chowa ją na cmentarzu. Idziemy przez Poświata — Mściela, już zorganizowanego komunistę, a później także dowódcę ludowej partyzantki, do Żyda, bojownika z powstania warszawskiego, telegrafisty — zrutek regularnej armii polskiej ze wschodu i ra-

KSIAŻKA

dziecki partyzant, lejtnant Borowski. Po drodze doktor Budryna i jego felczer — Wojniłowicz, główny narrator powieści, lecz i opatrujący rannych w starciach, z polskim podziemiem, żołnierzy niemieckich i samego Wolfa — gestapowca, komendanta miasteczka.

Łatwo zauważyć, że tak pomysłowa konstrukcja książki stanowi czynnik składowy fabuły, staje się, przechodzi w treść. W ten sposób może być mowa nie tylko o jednoci treści i formy „Pojednania”, ale o formie, która jest treścią.

Ostatnią sprawę, wartą wspomnienia, stanowi wątek erotyczny powieści. Jażdżyński opisał miłość dwójki kochanków i towarzyszy walki podziemnej, Moniki i Wojniłowicza. Miłość, pełną subtelności i delikatności uczuć ze strony kochanka. Rzadko tak cieniły rysunek miłosny wychodzi spod pióra mężczyzny. Niech go zilustrują słowa samego bohatera książki.

„...niech będzie błogosławione dzięki tobie istnienie odmiennych pól, bo ono sprawia, że ty jesteś i jestem ja, gdzie ty panem tam ja panią, wolajmy o nasze zwykłe szczęście na przekór obojętności świata...”

BARBARA
NAWROCKA-DOŃSKA

PRAWO DO WYOBRAŹNI

Najpierw pojawiły się zwiastuny w prasie fachowej. Potem posypały wywiady i doniesienia z planu, także w łódzkich gazetach. W mieście zaczęto mówić coraz pewniej, że powstaje film o Łodzi. Nieufni kiwali głowami, ale myśleli skrycie — ani chybi, prawda. Maja warszawiaczy, maja Ślązacy, będziemy mieli i my. Domysły potwierdziła informacja, że ogólnopolska premiera dzieła odbędzie się w Łodzi, co zresztą się stało.

Ala przedtem pokazano film Waldemara Podgórskiego „Pójdiesz ponad sadem” (bo o nim tu mowa), zaladze ZPE im. J. Marchlewskiego, zakładów, w których realizowano blisko połowę zdjęć. Ci ludzie mieli więc szczególne prawo przypuszczać, że film będzie nie tylko o Łodzi,

ale także o ich fabryce, a więc po trosze o nich samych.

Dawno nie słyszaliśmy równie żywej polemiki, równie żarliwych sporów, odbiegających szczęśliwie daleko od intelektualnych polityczek towarzyszywa krytyków i recenzentów. Widownia podzieliła się zdecydowanie na dwa obozy. Jeden stanowili pracownicy zakładów, którzy wyrażali swoje pełne oburzenie zdumieniem wobec takiego potraktowania tematu. Drugi — znajdował w tym utworze wiele cech dodatnich, wiele prawd zwyczajnych, a zapomnianych.

Koronnym zarzutem oportunistów było pomieszczenie czasów i wynikać stąd konsekwencje. — Reżyser nie określa dokładnie kiedy dzieje się akcja — mówili. — Pokazuje nam obraz dzisiejszej

szel Łodzi, a na jego tle trudny start wiejskiego chłopca w robotniczym mieście, jego samotne dążenia do osiągnięcia wytkniętego celu. Miejsce, do którego trafia Franek jest odradzające, ludzie też. W finale filmu oglądamy jak ci ludzie, którzy nie nauczyli go niczego poza pięciem wódek, niosą Franka na własnych ramionach na uniwersytet. Gdzie tu prawda? — pytamy. Ten chłopiec przechodzi nie tylko ponad sadem, ale i ponad komunią i fabryk nie zyskawszy nie od swego otoczenia. Jedyną co zdobywa w życiu to wiedza książkowa. Mało tego, gdyby nie jego upór i trwanie przy swoim, pewnie by się stał jednym z tych poprzynanych, dziwacznych wódkarzy. Taki jest obraz klasy robotniczej w tym filmie, a raczej

Jej odbicie w krzywym zwierciadle. Kierownictwo zakładu? Nie zajmuje się Frankiem w ogóle, puszczając go samopas, traktując nie lepiej, niż to przed wojną w fabrykantów bywało. On jest od ciężkiej roboty, za którą otrzymuje określone pieniądze i na tym kończy się „opieka” zakładu. Takie sytuacje nie mają w naszym, a pewnie i w innych łódzkich fabrykach miejsca. Nie można dla fikcji, dla jakichś założonych idei, deformować rzeczywistość. Poza tym nie oddaje ducha książki bogatej, wielowarstwowej, w której ludzie ze wsi i robotnicy ukazani są w różnych działaniach. Ich sylwetki są pełne, żywe.

Były też niemiernie liczne głosy aprobujące dzieło. W tej drugiej grupie wiodli prym robotnicy o długim stażu pracy i kobiety. Wydaje się, że oni właśnie trafnie odebrali ten film: liryczny, poetycki. Nie wdając się w drobiazgową porównania rzeczywistości z fikcją fabularną rozumiel, że sprawa najważniejsza w tym utworze nie są ani zakłady „Poltex” traktowane wy-

łącznie jako tło rozgrywającej się akcji, ani Łódź jako taka, lecz los młodego, wiejskiego chłopca, także przecież typowy dla wielu z nas, pokolenia 30-latków. Głównym argumentem za, była dla nich kolejna propozycja nowego bohatera codziennego, sympatycznego przez swoją odrębność, przez siłę charakteru tkwiącym w tym kruchym, bujającym w obłokach chłopcu. Mówiono wyraźnie, że trzeba nam podobnych Frankowi wzorców, że droga jaką przebył młody i dzisiejszy, żyjący dostatecznej młodzieży, skłonić do refleksji.

Słowem — potrafiono odczytać wszystkie niedomówienia, nastroje, składające się na kameralny klimat „Pójdiesz ponad sadem”. Afirmacja więzi rodzinnej, godności człowieka, uporu w dążeniu do wytyczonego celu, co zdaje się być przesłaniem filmu, trafiły wśród tej grupy dyskusantów na podatny grunt.

Wydaje nam się, że ci widzów, którzy utożsamiali rzeczywistość filmową z tą, w któ-

FILM

rej żyją, padli najwyraźniej ofiarą reklamy, a raczej pewnych sugestii.

Wiem, że każdy z nas czeka na film o Łodzi, że chcielibyśmy mieć swoją „Perłę w koronie”. Być może kiedyś, któryś z reżyserów zrobi nam taki prezent. Ale na razie mamy „Pójdiesz ponad sadem” i to jest dobry początek. Twórcą ma prawo do własnego podejścia do tematu.

Ma widzieć prawo do puszczania wodzy własnej wyobraźni, to w imię czego odbierać jej twórcy filmowemu, który szczerze mówiąc, z tej wyobraźni po trosze żyje.

LUCYNA HOSZOWSKA

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Ciekawe, czy ktoś wpadł na pomysł napisania antologii sumującej wspomnienia pierwszych dni wolności. Przypuszczam, że nie i nawet wcale nie jestem pewien czy taka książka jest konieczna. Ale z pewnością byłby to bardzo interesujący zbiór wrażeń, refleksji, obserwacji...

Znalazłby się tam ów fragment zapisu Zofii Nałkowskiej, notatka z datą 18 stycznia 1945. „Czy to już, czy to wreszcie to? Leżąc na łóżku (na kanapie) i kaszląc wielkim głosem mam obok na stołku maszynę i mimo wszystko piszę jak opętana te „Wzły życia” i mierzę temperaturę, która jest”.

Jest temperatura i jest ten cały ogrom egocentryzmu wielkiej pisarki. Bo oto zatłoczone uciekającym wojskiem niemieckim szosy, oto zbliża się wolność, a ona wystukuje na maszynie „Wzły życia” i mierzy sobie temperaturę. Powie ktoś, że jest w tym miłość? Nie — jest w tym egocentryzmie jakaś niepojęta wielkość.

Inaczej notuje w swoim dzienniku ów dzień 18 stycznia

WSPOMNIENIA PIERWSZYCH DNI

1945 prof. Wacław Kubacki. Przebywał wówczas w Częstochowie i pod tą datą zapisał: „Niedaleko naszego domu trzy spalone tanki radzieckie. Z jednego żołnierz zdołał się wydobyć tylko do połowy ciała. Wychylił się z ognia i zwiast bezwładnie zwieszoną głową i spopielałymi ramionami. Szara bryła, która zachowała ludzki kształt i rozpaczliwy ruch ratowania się z płonącego kotła...”

I zaraz następna data — 19 stycznia: „Mrowie ludzi na Rynku przed kościołem św. Zygmunta. Gole głowy na mrozie. Przejmująca cisza, jak w czasie nabożeństwa. Z wozu radiostacji rozlega się „Jeszcze Polska nie zginęła”. A potem szloch radości i tłum zaczyna śpiewać „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...” Pieśń — przysięga i śpiew — ślubowanie”.

Zestawiam te wspomnienia na chybił-trafił, bez aluzji i podtekstów. A jednak muszę tu przypomnieć, że kiedy w roku 1971 ukazały się „Dzienniki” prof. Kubackiego — jemu to właśnie zarzucano... egocentryzm. A przecież ile w tych

dwu krótkich notach przejmującej obserwacji, reporterskiej niemal...

Skoło już padło słowo „reporterski” machinalnie sięgam na półkę po wspomnienia warszawskiej dziennikarki Jadwigi Krawczyńskiej. „Dzień 18 stycznia 1945 spłótł się w mojej pamięci z rodzinnymi wydarzeniami. Tego dnia młodszy mój szwagier wybrał się z Mszany Dolnej do Krakowa. Szedł pieszo, częściowo podwołając się napotkaną w drodze ciężarówką. W Krakowie przeprawił się po lodzie przez Wisłę, gdyż Niemcom szybko wycofującym się z miasta, udało się jeszcze wysadzić most w powietrze. Kraków był oswobodzony niemal bez strat. Tego samego dnia mój młodszy siostrzeniec, Feliks Dubowy, odbywający służbę w Krakowskiej Straży Pożarnej, zawisł na wieży Wawelu polską biało-czerwoną chorągiew”.

Oczywiście dzień 18 stycznia powtarza się tu dlatego, że większość miast w centralnej Polsce wyzwolono właśnie w dniach styczniowej ofensywy.

Ale przecież różne były te pierwsze dni wolności.

Oto relacja Adolfa Gawałowicza, więźnia Bergen-Belsen: „Pierwszy dzień wolności na wet nam, setkom leżącym na rozmołkiej, kwietniowej ziemi, zżeranym przez miliony wszy i przeróżne choroby, nam, którzyśmy nie potrafili ani na chwilę stanąć o własnych siłach na nogi — przyniósł w darze herbatę! Rozdzielono ją dosyć sprawiedliwie, a chociaż była nalewana do tych uniwersalnych puszek po konserwach, smakowała jak nektar”.

Różne były te pierwsze dni wolności. Z grypa na kanapie i z tyfusem, gruźlicą i krąco wymyśleniem na rozmołkiej ziemi obozu. Z zapatrzeniem w siebie i z zapatrzeniem w otaczający świat. W styczniu, kwietniu, w lipcu i w maju.

Od tamtych pierwszych dni minęło już trzydzieści lat. Cała epoka Wzłęd jednak musimy o tamtych dniach pamiętać i nie wolno nam utracić tej pamięci.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



PIOSENKA I POLITYKA

Pieśni protestu, popularnie określane terminem „protest-song” kojarzą się najczęściej z nazwiskami ich popularnych wykonawców: Joan Baez, Boba Dylana, Petera Seegera, Barry’ego McGuire’a i in. Ten specyficzny gatunek muzyczny wywodzi się przede wszystkim z muzyki ludowej, ballady folklorystycznej. Problem rasizmu, wojna wietnamska, krytyka stosunków społecznych, walka przeciwko zbrojeniom atomowym, to główne tematy amerykańskiej protest-song.

Twórcy tych piosenek odkryli odpowiedni społeczny wyraz dla sposobu odczuwania życia i stanu nastrojów dzisiejszej młodzieży, względnie większej jej części, która odczuwa odrzuce do landrynowatej sentymentalności, eklektycznej frywolności i ciężkiego humoru szlagieru komercyjnej produkcji, a która nie znalazła upodobania w subtelnościach ambitniejszych piosenek, czy pieśni artystycznej. Polscy entuzjaści muzyki beatowej mają duże rozeznanie w aktualnych

kierunkach rozwoju tej muzyki, kompletują skrupulatnie nagrania płytowe, znają na pamięć listy przebojów i składki personalne grup beatowych, ale tylko nieliczni wiedzą o tym, że spora część zagranicznych przebojów posiada teksty zaangażowane, które są wykładnikiem współczesnych nastrojów społecznych i politycznych.

Pieśni protestu mają, niestety, również drugą stronę medalu. W ostatnim czasie na Zachodzie pojawił się nurt, który umownie można nazwać anty-protest-songiem. Typowym przykładem może być nagranie Barry’ego Sadlera, sł. sierżanta US Army, który nagrywał gloryfikując wojnę w Wietnamie „Balladę o Zielonych Beretach”. Próba przemycania w piosence rozrywkowej treści charakterystycznych dla okresu zimnej wojny podjęli również piosenkarze zachodnoniemieccy.

Rolf U. Kalsen, postępowy krytyk muzyczny z RFN, obserwuje występowanie zjawis-

ka będącego przeciwieństwem protest-songu. Grupy uprawiające tego typu działalność określane są nazwą „Sing-out”; „młodzi ludzie wyznający ideologię zimnej wojny, nie śpiewają pieśni protestu, lecz aprobują w pełni istniejący porządek rzeczy. Niebezpieczne w tym ruchu pseudoprotestacyjnym jest to, że wykorzystuje on muzyczne środki folk i beatu w wydaniu showu i przez to szybko może być przyswojony przez młodą publiczność rozkończoną w pop-music”.

Wysłuchałem niedawno pewnej krajowej audycji poświęconej protest-songowi, której głównym pozytywnym bohaterem był wspomniany wyżej Barry Sadler i jego „Ballada o Zielonych Beretach”, sławiąca bojowe wyczyny amerykańskich marines (!). I do tej pory nie wiem, czy nadanie tej audycji było wynikiem nieznajomości języka angielskiego, czy też absolutnego braku rozeznania jej redaktorów w światowym nurcie piosenkar-

skim. Ale nie jest to jedyny przykład. Oto Connie Francis coraz częściej śpiewa piosenki „ideowe”, których „zaangażowane” treści sprzeczne są z powszechnymi ogólnoludzkimi odczuciami każdego postępowego człowieka. Ale jeszcze w 1972 roku płyty z nagraniami tej skompromitowanej gwiazdy można było zobaczyć w muzycznych księgarniach Łodzi i Warszawy. Na „dobro” dystrybutorów Ars Polony należałoby uznać fakt, że płyty te sprzedawane były po dość obniżonej cenie.

Brak muzycznego rozeznania u ludzi zawodowo zajmujących się tzw. rozrywką doprowadza do obniżania sensu ideowo-wychowawczego pracy z młodzieżą, która jest przecież potencjalnym odbiorcą rozrywki, a nawet — jak wykazują przytoczone wyżej dwa przykłady — do braku jakiegokolwiek sensu.

ANDRZEJ JOŹWIAK

LEWYM OKIEM

CZAS WEWNĘTRZNY

W książce dziś już po trosze zapomnianej, ale w swoim czasie bardzo sławnej, popularnej i przekładanej na wiele języków — mianowicie w dziele Carrela p.t. „Człowiek, istota nieznaną” — wysunął autor ciekawą tezę o „wewnętrznym czasie człowieka”. Chodziło w niej o to, że poszczególne odcinki czasu przeżytego przez każdego z nas nie są jednakowe dla naszych organizmów, i to nie tylko dla procesów fizjologicznych, ale także dla naszej psychiki, wyobraźni, życia uczuciowego i intelektualnego. Inaczej mówiąc: są okresy, kiedy żyjemy szybciej, kiedy dzień, miesiąc i rok są dłuższe, ważniejsze, cenniejsze — i takie, kiedy ledwie się własne istnienie zauważa, kiedy tempo słabnie, przyspina, jak byśmy pogrążyli się w rodzaj półsnu. To nierówne tempo życia jest z jednej strony wynikiem procesów biochemicznych, rośnięcia, dojrzewania, umierania, z drugiej zaś stymuluje nasz system nerwowy i wpływa na cały organizm.

Spostrzeżenie Carrela, ujęte w naukowe teorematy, znane było ludziom od wieków. Podobno w starożytnej Persji uznawano za prawdziwe życie tylko te okresy, kiedy człowiek czuł się szczęśliwy — stąd ów piękny napis na jakimś bardzo starym nagrobku perskim: „Tu leży ten, co przetrwał lat sześćdziesiąt, a żył tylko cztery”. Poetycka to miara, choć — oczywiście — niesprawdzalna, bo co to znaczy „być szczęśliwym”?

Gdzieś tam w odległych górskich uroczyskach żyją ponoć ludzie po sto pięćdziesiąt lat. A to znaczy, że przez z górą sto lat budzą się rano, pilnują owiec na łące, jedzą, kładą się spać. Czy długość życia to jest to samo, co ilość wstań i zasypań? W Związku Radzieckim na farmach, gdzie hoduje się srebrne lisy, zasłania się klatki czarnym papierem o określonych godzinach, co dzień innych, skracając tym samym „dzień” i wydłużając „noc”. Lis daje się oszukać i zasypia snem zimowym, po czym odwrótną metodą przyspiesza się „wiosnę” i lis budzi się do normalnego życia. Z jednego kalendarzowego roku czyni się „dwa lata”, co pozwala na szybsze uzyskanie pięknego futra. Ale czy ten lis, zasypiając i budząc się dwa razy częściej, naprawdę żyje dwa razy dłużej?

Czas wewnętrzny meksykańskich i azerskich starców jest na pewno inny od czasu ludzi żyjących intensywnie, twórczo, wszechstronnie. Trzeba przecież odróżniać słowo „trwać” od słowa „żyć”, a odnosi się to nie tylko do każdego człowieka z osobna. Czyż w życiu narodów nie obserwujemy również ich „czasu wewnętrznego”?

Oto miały trzydzieści lat od ogłoszenia Manifestu Lipcowego. Trzydzieści lat — to dużo czy mało? Kiedy przypomnimy o tym okresie swój „czas wewnętrzny”, odpowiedź musi być dwójaka. Byłem dorosłym człowiekiem w dniu wybuchu wojny i pamiętam znaczącą część okresu międzywojennego. Wciąż jeszcze wydaje mi się, jakby tamten okres był dłuższy od okresu powojennego, a to przecież nieprawda. Ta trzydziestka uleciała nam jak z bicia trzaski, a myśmy się spóźnili kiedy włosy zbierały i krok jakby nie ten i bez szkieł nazwy ulicy nie odczytaliśmy. Ale jak się trochę zastanowić to nagle widzi się i czuje, jak przez tamten, „dłuższy” okres nie się prawie nie zmieniła poza naszym przepoczwarzaniem się z dziecka w mężczyznę, a przeciwnie — jak ogromnie dużo zdążyło się wydarzyć w ciągu „krótszych” trzydziestu lat. Kochani, toż naprawdę wierzyć się nie chce! Ani myślę kusić się o najkrótsze choćby wyliczanie, za wiele tego, zbyt to ogromne i trudne do wyrażenia. Wystarczy popatrzyć wokół siebie, wystarczy — powiadam — chwila myślenia. Przemyśliśmy jako naród okres niebywale obfitujący w zasadnicze przemiany, a to znaczy żeśmy żyli intensywnie, bogato, wszechstronnie. To był dobry dla narodu czas, chociaż pojedyncze ludzkie losy mogły być i bywały tragiczne. Dobrze, trudne Trzydziestolecie, które w historii naszej znaczy i będzie znaczyć więcej, niż całe setki lat w innych tej historii okresach.

LEKTOR

CWIEK

PO TRZYDZIEŚCI LATACH

Dnia 22 lipca 1944 r. o godzinie 10.45 czasu polskiego w audycji radiowej Związku Patriotów Polskich nadano tekst Manifestu do Narodu Polskiego wraz z komunikatem o powstaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i objęciu przezeń władzy na wyzwolonej ziemi polskiej. Na zakończenie audycji zabrzmiała dźwięki Mazurka Dąbrowskiego. Świat dowiedział się o historycznych wydarzeniach, których znaczenie lepiej niż wówczas potrafimy ocenić dziś, z perspektywy osiemnastu lat. Wzrostła Polska Ludowa, która narodziła się w ogniu walki w tamtym lipcu 1944 roku. Poprzedniego dnia 21 lipca, komisja pracująca pod przewodnictwem J. Beresjusa opracowała ostateczny tekst Manifestu, przyjmując za podstawę programową redakcję programowego szkicu, napisanego jesienią 1943 r., na krótko przed śmiercią, przez A. Lampego. Przyjęty przez komisję tekst Manifestu przedstawiono PKWN już 22 lipca: po uchwaleniu został on natychmiast przesłany do drukarni polowej, by mógł ukazać się następnego dnia w pierwszym, historycznym numerze „Rzeczypospolitej”. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego ogłaszał fakt dokonany powstania nowej, socjalistycznej polskiej państwowości, który w niedalekiej przyszłości miał przesadzić o losach kraju i narodu. Dziś, z perspektywy trzydziestu lat budownictwa socjalizmu w Ludowej Polsce uświadamiamy sobie z całą wyrazistością jego przełomowe znaczenie. 23 lipca 1944 roku — czytamy w Tezach Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, uchwalonych na XIII Plenum KC PZPR w dniu 15 lutego 1974 r. — założono podwaliny trwałej, niepodległości i dynamicznego rozwoju, służącego całemu społeczeństwu, o co ofiarnie i wytrwale walczyły liczne pokolenia patriotów, zwolenników postępu. Te przełomowe decyzje podjęte zostały w toku ciężkiej walki narodowowyzwolenczej, walki nie tylko o niepodle-

gły byt, ale wręcz o biologiczne istnienie narodu polskiego, zagrożone eksterminacją przez ludobójczą politykę faszystów niemieckich. Dzięki rozgromieniu hitlerowskiego najeźdźcy mogliśmy odbudować Polskę niepodległą, zapewnić sukces polskiej rewolucji, wkroczyć na szlak socjalistycznych przeobrażeń”.

O tę przyszłość, która dzisiaj jest naszą teraźniejszością i ma już swoją historię, o tę przyszłość — powiadam — w lipcu 1944 r. trzeba było jednak walczyć z bronią w ręku, nie szczędząc wysiłków i ofiar, bowiem droga, na którą wkroczył naród w tamtych dniach nie była bynajmniej usłana tylko różami. Utworzenie PKWN usunęło grunt spod nóg obozowi londyńskiemu, stanowiącemu wciąż poważną siłę polityczną. W emigracyjnym Londynie nie dostrzeżono jego istotnego znaczenia: przyjęto wiadomość z konsternacją i nieskrywaną dezaprobatą, uszytychając dotychczasową linie polityczną. Emigracyjny premier wyjeżdżając na ustalone już wcześniej polityczne rozmowy do Moskwy został zobowiązany przez swój rząd do niepodważania jakiegokolwiek rozmów z przedstawicielami PKWN. Skrajny przeciwnik jakiegokolwiek kompromisu, jakim był K. Sosnkowski, groził nawet w wypadku jakiegokolwiek „fuzji” z PKWN nieobliczalnym w skutkach kryzysem w silach zbrojnych, aż do wypowiedzenia posłuszeństwa. Nie trzeba komentować, co to oznaczało w ówczesnych warunkach politycznych. Jest natomiast charakterystyczne, że stanowisko emigracyjnego Londynu wobec utworzenia PKWN było daleko mniej realistyczne nawet niż... rządów brytyjskiego i amerykańskiego, którym również ten akt nie był w smak. Choć raz nie Londyn, ani Waszyngton jak na razie nie uznawały nowej polskiej władzy, przecież jednak przewidywały, że w propozycjach, przekazanych rządowi radzieckiemu — zawarcie jakiegoś „układu roboczego” z PKWN, tym samym przyjmowały do wiadomości jego istnienie i dopuszczaly perspektywę rozmów między PKWN i rządem emigracyjnym w Londynie, która ten ostatni całkowicie odrzucał. Dla wyjaśnienia sytuacji po-

litycznej podstawowe znaczenie miało uznanie przez rząd radziecki PKWN za jedyną legalną polską władzę. W podpisaniu dnia 28 lipca 1944 r. przez E. Osóbkę-Morawskiego i W. Molotowa „Porozumienia między PKWN i rządem ZSRR o stosunkach między radzieckim wojskiem naczelnym a polską administracją po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski” rząd ZSRR uznawał PKWN jako jedyny polski organ, uprawniony do tworzenia aparatu państwowego i kierowania nim, zgodnie z ustawodawstwem Rzeczypospolitej Polskiej. Warunki toczące się wojny sprawiły, że w strefie frontowej najwyżej władza miała spoczywać w rękach Naczelnego Dowództwa, któremu pod względem operacyjnym było podporządkowane również Wojsko Polskie. Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych ZSRR w wydanym jednocześnie oświadczeniu podkreślał, że „waża działania wojenne Armii Czerwonej na terytorium Polski za działania na terytorium suwerennego, zaprzyjaźnionego, sprzymierzonego państwa”, zaś na ręce przewodniczącego PKWN przesłał urzędowe pismo, w którym potwierdził uznanie go przez swój rząd oraz proponował w związku z tym, wymianę przedstawicieli dyplomatycznych. Pierwszym oficjalnym przedstawicielem rządu ZSRR przy PKWN (który zastąpił przedstawiciela nieoficjalnego, którym był gen. Żukow (nie mylić z marszałkiem)) został N. Bulganin, który przebywał do Lublina 3 sierpnia 1944 r. PKWN wyznaczył jako swego przedstawiciela w Moskwie S. Jedrychowskiego: oficjalna nominacja nosiła datę 11 sierpnia 1944 r. „Historyczna decyzja lipcowa — czytamy w Tezach KC PZPR na 30-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — stanęłaś obok Związku Radzieckiego w awangardzie ludzkości, podejmując budowę socjalizmu i uczestnicząc w tworzeniu skłupionej wokół ZSRR socjalistycznej wspólnoty narodów”. Tak oceniamy dziś tamte początkowe chwile nowej polskiej rzeczywistości.